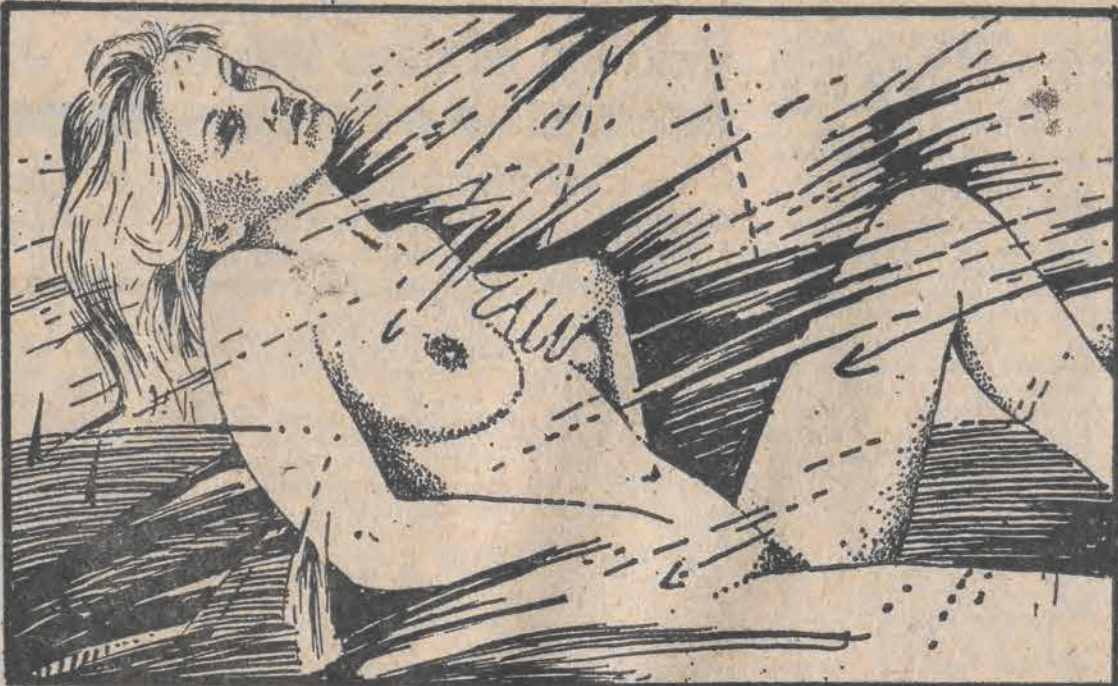




Rys. Janusz Szymański-Glanc

Każdy mężczyzna chciałby być Don Juanem bądź Casanovą. Podobno pierwszy z nich uwiódł 2875 kobiet, a drugi 116.

Wojna o rogowca i ladacznice

MIROSLAWA SARBINSKA

Helena argiwska od wieków uchodziła za symbol miłości i piękna. A przecież była ladacznicą i córką ladacznicy oraz wyrodną matką. Ta najbardziej boska z kobiet zdradziła i porzuciła męża, zostawiła nieletnie dziecko i uciekła z kochankiem do obcego kraju. W sumie czterokrotnie zmieniła mężów. Najpierw była z Menelaosem, potem Parysem, następnie Dejfobosem i później znowu z Menelaosem. Przez nią zginęło wielu dzielnych Achajów i Trojan.

W dziesiątym roku wojny trojańskiej, o którym czytamy w „Iliadzie”, Helena była już kobietą dość starą. Musiała mieć ponad czterdzieści lat. Może nawet dobiegała pięćdziesiąt. Homer nie podaje nigdzie jej wieku, ale informuje, że w Troi przebywała już od dwudziestu lat, że przedtem była żoną króla Lacedemonii, że opuszczając męża zostawiła „rozkwitającą” córkę.

Mimo swego wieku, Helena zachowała nie- zwykłą urodę. Świadczy o tym wrażenie, jakie wywarła na czcigodnych starcach czuwających przy Skajskiej bramie. Nie mogli winić Trojan i Achajów, że znoszą dla niej długoletnią wojnę.

W rzeczywistości walczyli o rogowca i dziwkę, co interesująco przedstawił William Szekspir w dramacie „Troilus i Kresyda”. Przypominajmy tu interpretację prof. Jana Kotta.

Po obu walczących stronach nikt nie ma złudzeń. Wszyscy wiedzą, że Menelaos jest rogowcem a Helena dziwką, że wojna toczy się o rogowca i dziwkę. Nie z tego jednak nie wynika. Wojna trwa i będzie trwała. Przelano w niej morze krwi greckiej i trojańskiej, choć Helena nie jest warta ani jednej kropli. Jest po prostu piękną ladacznicą.

W mądrym tomiku „Utracona Ino-

5

■ Dlaczego został mordercą?

str. 6

■ Tajemniczy skarb samotnego nędzarza

str. 7

■ Prywatni detektywi w Łodzi

str. 6

■ Dziesięć palców Józefa Stalina

str. 3

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 38 (1590)

ROK XXVI

17 WRZEŚNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Jak najrzetelniej pokazać naszą najnowszą historię.

Życie po wyroku śmierci

Rozmowa z pisarzem, APOLONIUSZEM ZAWILSKIM.

— Zaintrygowała mnie pańska biografia, także twórcza. Lecz nie tylko te fragmenty pańskiego życia, tak straszliwe, że każdy normalny człowiek, jeśli przeżył, powinien oszaleć, osiwić w tej jednej chwili, kiedy usłyszał: „kara śmierci”. Zaintrygowała mnie to w panu, że — mimo tak okrutnych doświadczeń — jest pan ciągle taki sam: niezmienny w widzeniu i ocenie rzeczywistości.

— Odpowiem panu jednym zdaniem: największą odwagą jest wykażać rozum, a reszta jest tego konsekwencją.

— Tak zatykał pan jedno ze swoich wy-
stąpien.

— Rzeczywiście, z okazji Walnego Zjazdu Związku Literatów Polskich w 1980 r. A co do biografii to jest ona typowo polską. Byłem oficerem przedwojennej armii, brałem udział w przygotowaniach do kampanii wrześniowej, potem w wojnie...

Po wojnie wytworzyło się dużo nieobiektywnych lub wręcz fałszywych poglądów na tamten okres. Korzystając więc z dostępnych mi źródeł, własnych przeżyć i doświadczeń innych uczestników walk, starałem się i staram rozjaśnić obraz tamtych wydarzeń. Uważam za swój obowiązek oddać następnym pokoleniom możliwie najbardziej rzetelny przekaz tego fragmentu historii. Zaraz po wojnie formułowano wiele uogólnień krzywdzących żołnierzy września. Mity mają długi żywot, więc przekłamane wersje utrzymywały się całymi latami, czemu na ogół towarzyszyła mizerna wiedza historyczna.

O klęsce wrześniowej przesądziły głównie układy polityczne, w jakich znalazł się wtedy nasz kraj, niesumienność aliantów, poziom techniczny polskich sił zbrojnych u progu wojny, no i ów nieszczęsny 17 września 1939 roku od Wschodu...

Jeżeli zaś chodzi o armię, jej stan liczebny, moralny oraz zdolności bojowe, to walory te okazały się trwałe, o czym niech świadczy fakt, że żołnierzy tej armii wystarczyło na fronty Francji, Norwegii, Afryki Północnej, na kampanię wyzwolenia, a także na znaczący udział w inwazji na Normandię czy wreszcie na różne nurty ruchu oporu w okupowanym kraju...

— Chronologia, jeśli pan pozwoli, była taka: 1935 rok ukończenie Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu, potem było Zaolzie, wreszcie 1939 roku, ciężka rana, szpital polowy, potem okupacja, walka w szeregach Armii Krajowej i wreszcie 1944 r. w Lublinie — Ludowe Wojsko Polskie.

— A w nim „Bellona”. Startowaliśmy od zera. Nie mieliśmy nawet słownika ortograficznego Jodłowskiego w ręku, a to co wydawano było straszliwe w treści i formie. Od chwili powstania „Bellony”, każdy kto ją wziął do ręki, zobaczył przynajmniej kawałek polszczyzny. Musiała stanowić coś znaczącego, skoro zaraz spotkały

mnie wielkie honory: 1945 r., Krzyż Zasługi, 1946 — Polonia Restituta, w drodze był Krzyż Grunwaldu...

— W kłapie widzę Krzyż Virtuti Militari.

— To za 1939 rok. Och, mam chyba z 15 odznaczeń, w tym komandorię OOP, ale nie o to idzie. Wracając do „Bellony”, którą kierowałem 4 lata, początkowo pismo miało pełnić rolę instruktażowo-metodyczną oraz taktyczno-szkoleniową. Lecz wykazywało także zaangażowanie polemiczne w wielu sprawach. Cząsy były gorące. Angażując się w zagadnienia dotyczące Polski i jej obronności, nie wnikało jednak w rozgrywki międzypartijne. Stąd na naszych łamach nie było żadnych wzmianek na temat „odchyleń prawicowo-nacjonalistycznych”, jak i przegięć w drugą stronę... Po czterech latach pismo przejął ppłk dypl. Zaleski, a w 1950 roku zostało przekształcone na „Myśl wojskową”. Wcześniej jednak podjąłem studia w Szkole Teatralnej w Łodzi, a w wojsku zostałem szefem Działu Instrukcji i Regulaminów. W 1949 roku przeniesiono do Warszawy Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy (jako dział fachowy „Prasy Wojskowej” przekształconej w Wydawnictwo MON), podobnie jak Szkołę Teatralną, którą kończyłem już w Warszawie...

— W 1951 roku „powiesił pan mundur do szafy”. Przeszedł pan do rezerwy.

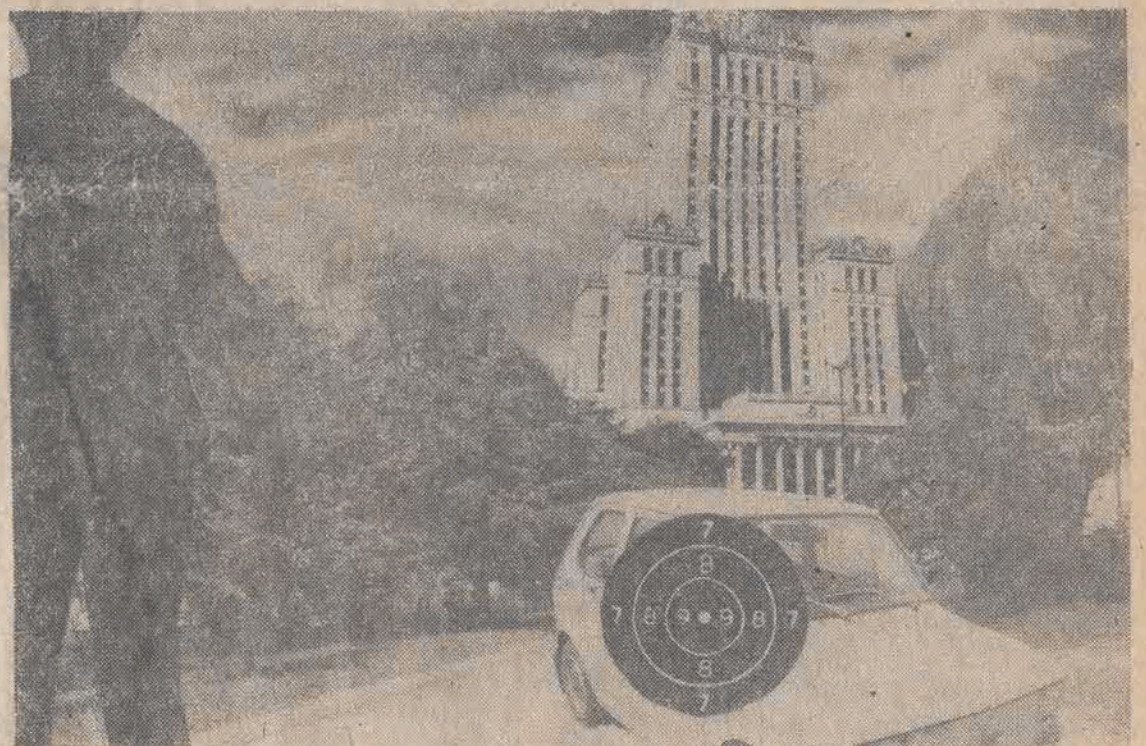
— Tak. Moje aresztowanie poprzedziło zwolnienie mnie ze służby. Akurat w dniu, kiedy w „Trybunie Ludu” ukazała się wielka publikacja z aktem oskarżenia przeciwko generałom Stanisławowi Tatarowi, Stefanowi Mossorowi i Jerzemu Kirchmayerowi czyli przywódcom „konspiracji” działającej w wojsku. Moi szefowie — Bromberg, Werner dobrze wiedzieli o czekającym mnie losie...

Wróciłem do Łodzi, potem udałem się do moich rodziców, którzy przyjęli mnie tu z Wołynia osiedlił na wsi. Pomagałem im w żniwach. Robiłem wszystko, jakbym się przygotowywał...

— Instynkt samozachowawczy? — Aresztowanie zdumiało mnie. Nastąpiło rano 17 listopada 1951 r., gdy wróciłem ze wsi. „Obrabiano mnie” przez 48 godzin na lojalnego obywatela, obliczono Bóg wie co — i teatr, w którym mógłbym wystawiać swoje „sztuczki”, i druk książek... Abyłem tylko podpisał odpowiedni papier, że byłem w konspiracji, że się kajałem...

Czegoś takiego nie mogłem sobie wyobrazić, choć, jak później przekonałem się, byli tacy, którzy papierów podpisywali. M.in. jeden z łódzkich profesorów, który siedział ledwo dwa dni...

Z Łodzi przewieziono mnie do Wrocławia i już na początku w tamtejszych wilgotnych piwnicach odezwały się moje dolegliwości. Potem do więzienia osławionej Informacji w Warszawie, no i zaczęło się. Pisanie w nieskończoność własnego życiorysu, potem przesłuchania, pytania



Collage: Grzegorz Gatański

Tu nikt nie może zrozumieć, dlaczego on to zrobił.

Dlaczego stał się mordercą?

MAREK KOPROWSKI

Wszystkie polskie gazety codzienne doniosły 4 lipca, iż 30 czerwca, na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie, znaleziono nieprzytomnego, ciężko pobitego mężczyznę. Okazało się później, że jest to doc. dr hab. Jan Strzelecki, pracownik naukowy Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. W szpitalu poddano ofiarę operacji czaszki. Ekipy dochodzeniowe podjęły energiczne działania śledcze, bowiem plotka przyrodna: że zbrodnię do głębszego nie tak znów dawno zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki.

5 lipca gazety doniosły, że stan Jana Strzeleckiego jest bardzo ciężki.

7 lipca krótka notatka poinformowała społeczeństwo, że Jan Strzelecki jest wciąż nieprzytomny.

12 lipca PAP informuje o zgonie pobitego. Wcześniej, bo 7 lipca, Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Socjologicznego przeznaczył milion zł nagrody za wskazanie lub pomoc w uję-

ciu sprawcy, bądź sprawców napadu. Kilka dni później minister spraw wewnętrznych wyznaczył za to samo 5 mln zł.

25 sierpnia gazety obwieściły o ujęciu sprawców. Już trzydziestego przyznali się do winy. Telewizja pokazała cynicznych bandziorów, odrzucających z powodu braku jakichkolwiek uczuć tzw. wyższych

Z relacji prasowo-telewizyjnych dowiedzieliśmy się, że prowadzonym był najbardziej brutalny z całej paczki koleistów. Skąd się wziął taki 18-letni bandyta, który zabija człowieka tylko dlatego, że przypadkiem stanął mu w poprzek drogi a przecież nie spowodował i nie był nawet agresywny.

Gazety napisały, że Marek Marzec, a więc ten najmłodszy właśnie, mieszkał we wsi Stropkowie w woj. łódzkim. Mieszkał tam, zanim pojechał w świat, do stolicy Polski, by pracować w FSO i zarabiać około 80 tys. zł, co dla 18-letniego szczeniaka było sumą na

tyłe niewystarczającą do życia, że trzeba było z chęci zysku zabić po godzinach pracy człowieka.

W nazwie miejscowości podanej w prasie był błąd. Nie Stropkowie, a Stropkowo, do czego doszliśmy po blisko godzinnym wertowaniu księgi miejscowości w komisariacie kolejowym na stacji Plock Główny (o ile jest jeszcze jakiś inny Plock). Starszy sierżant MO przez cały czas wywoływał radiotelefonem kolegów z posterunków wiejsko-miejskich, dowiadując się wreszcie, gdzie jest ta miejscowość, o którą mi chodziło.

Do Plocka jedzie się dwoma pociągami, z przesiadką w Kutnie. Z Plocka trzema autobusami: najpierw do Sierpca, a dalej do Zawidza i wreszcie Stropkowa. Z Łodzi wyjeżdża się o 6.27, a w Stropkowie jest się o 15.30. Można być nieźle zdenerwowanym po tylu godzinach jazdy, gdy dojeżdża się na miej-

6

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Jarusz
Szymanski-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,
Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gąda, Andrzej

Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl
Kocznow (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski.

Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.
Strzyski, Maciej Swierkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwo-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych kopii i nie zastrze-
ga sobie prawa do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wieda.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658-201045-139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
początkowo jest droższa, od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półroczny rok następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 2914. S-10.

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

Czy w naszym kraju po-
trzebne jest powołanie partii
politycznej współdziałającej z
Kościołem? Z badań CBOS,
których wyniki prezentuje na
łamach tygodnika „ŁAD” (nr
36) Maciej Łętowski, dowiadu-
jemy się, że odpowiedzi doros-
łych Polaków na to pytanie wy-
glądają następująco: zdecydo-
wanie zgadza się — 18 proc.,
raczej zgadza się — 26 proc.,
raczej nie zgadza się — 14
proc., zdecydowanie nie zgadza
się — 12 proc., trudno powie-
dzić — 30 procent. W sumie
zgadza się 44 proc. społeczeń-
stwa, a nie zgadza jedna czwar-
ta.

Za utworzeniem partii współ-
działającej z Kościołem opowia-
da się 54 proc. wierzących i
praktykujących regularnie, 32
proc. członków PZPR, 17 proc.
niewierzących, 57 proc. rolni-
ków indywidualnych, 45 proc.
inteligencji. Natomiast prze-
ciwnie takiej partii politycznej
jest 63 proc. niewierzących, 45
proc. członków partii, 35 proc.
inteligencji.

Czy Kościół powinien wypo-
wiedzieć się w sprawach politycz-
nych? Większość dorosłych
Polaków (56 proc.) uważa, że
nie powinien, a jedynie 21 proc.
sądzi, że powinien. Oto do-
kładny rozkład odpowiedzi:
zdecydowanie tak — 6 proc.,
raczej tak — 15 proc., raczej
nie — 29 proc. zdecydowanie
nie — 27 proc. Reszta nie ma
zdania.

Przewidując wypowiedzi się
Kościół w sprawach politycz-
nych jest 49 proc. wierzących i
praktykujących regularnie oraz
64 proc. niewierzących. Naj-
więcej zwolenników politycz-
nych wystąpień Kościoła jest
wśród inteligencji (34 proc.), a
najmniej wśród robotników nie-
wzrostających (9 proc.). I
rolników indywidualnych (18
proc.). W grupie osób wierzą-
cych i praktykujących regular-
nie tylko 24 proc. odpowie-
działo twierdząco, a wśród nie-
wierzących zaledwie 6 procent.

Znaczną część respondentów
(41 proc.) uważa, że Kościół
dąży do zwiększenia swego
wpływu na to, co dzieje się
w kraju. Najczęściej tak myślą
inteligenci (67 proc.), i ludzie
niewierzący (66 proc.), a rza-
dziej rolnicy indywidualni (29
proc.), emeryci i renciści (28
proc.) oraz wierzący i prakty-
kujący regularnie (35 proc.).
Czy Kościółowi powinno się
zapewnić większy wpływ na ży-
cie w kraju? Największa grupa
anкетовanych (37 proc.) jest
zdania, że wpływ ten powinien
być taki sam, jak dotychczas.
Za zwiększeniem wpływu Ko-
ścioła opowiada się 30 proc., a
za ograniczeniem 13 proc. do-
rosłych obywateli Polski Lu-
dowej.

SŁOWO BISKUPÓW POLSKICH

Kardynałowie, arcybiskupi i
biskupi diecezjalni wystosowali
26 sierpnia 1988 roku z Jasnej
Góry list do duchowieństwa,
wierznych i wszystkich ludzi do-
brej woli. Opublikował go w
całości m.in. tygodnik społecz-
no-kulturalny katolików „KIE-
RUNKI” (nr 36). Cytuję naj-
ważniejsze fragmenty dotyczące
niedawnych wydarzeń straj-
kowych:

„Strajki są objawem choroby,
która narastała przez lata. Za-
sadniczo przyczyną obecnej sy-
tuacji społeczno-politycznej
tkwi w naruszeniu praw czło-
wieka i godności pracy ludz-
kiej. Naruszenie tych praw
godzi w cały naród i w bezpie-
czeństwo państwa.

Należy zerwać z zaplanowa-
nym i stosowanym zakłama-
niem, a budować życie narodu
na prawdzie.

Należy zerwać z zastrasz-
aniem lub przemocą i lojalnie
uznać rozsądny głos wszystkich
obywateli kraju.

Należy dopuścić ludzi kom-
petentnych do sterowania spra-
wami państwowymi, a każde-
mu z uczciwych obywateli
przynależąca mu wolność.

Należy przyjąć, że podstawa
rozwiązywania wszelkich kon-
fliktów społecznych jest dia-
log.

Trzeba szukać dróg prowadzą-
cych do pluralizmu związo-
wego i do tworzenia stowarzy-
szeń.

Obowiązkiem rządzących jest

zapewnienie wszystkim godzi-
wych warunków życia.

Wszyscy zdajemy sobie spra-
wę z tego, że prawom odpo-
wiadać obowiązki. Istnieje o-
bowiązek uczciwości w życiu
prywatnym, rodzinnym i spo-
łecznym.

Praca jest obowiązkiem każ-
dego człowieka. (...)

Czeka nas wspólny wysiłek.
W imię Boga prosimy: niech
nikt nie uchyla się od niego.
Wysiłek tego nikt za nas nie
podejmie. Dzieje naszego o-
chrzczonego narodu nauczyły
nas, że nie ma sytuacji bez
wyjścia.”

OSIEM LAT PO SIERPNIU

Czy nie się nie zmieniło w
Polsce od sierpnia 1980 roku?
Na to pytanie odpowiada prze-
czając Jan Skórzyński w tygo-
dniku archidiecezji warszawskiej
„PRZEGŁĄD KATOLICKI” (nr
36). Żyjemy w tym samym
kraju socjalistycznym, ale nie
w takim samym.

„Polska roku 1988 różni się
istotnie od tej z roku 1980,
temu zaprzeczycie nie sposób.
Podkreśla to władza, dostrzega
opozycja. Liberalizacja systemu,
wprowadzenie ulomna i niekon-
sekwentna, jest faktem. Może
najbardziej widać to w sferze
nadbudowy. Swoboda publicz-
nej debaty, choć daleka od wy-
miarów rzeczywistej wolności
słowa, dawną przekroczyła gra-
nicę obowiązującą w poprzed-
niej dekadzie; kurczą się strefy
milczenia w historiografii dzie-
jów najnowszych, mnożą się
krytyczne analizy ekonomistów
i socjologów. Rejestracja klu-
bów myśli politycznej w Po-
znanu i Warszawie oraz zgoda
na wydawanie niezależnego
pisma „Res Publica” stanowią
początek oficjalnej akceptacji
istniejącego od dawna pluraliz-
mu ideowego. Według miary
sprzed roku 1980 wszystkie te
poinicjatywy jawią się jako prze-
łom nieledwie rewolucyjny.
Rzecz jednak w tym, iż kryte-
ria lat siedemdziesiątych daw-
no już przestały obowiązywać.
Zburzyło je szesnastomiesięcy
„Solidarność”, a zmiana po-
kolenia kilku lat ostatnich
odsunęła bezpowrotnie w
przeszłość. Dziś chodzi o wy-
sokiej jakości i bardziej niż
złagodzienie cenzury czy li-
beralizację polityki paszport-
owej.”

Potrzebna jest całkowita re-
forma systemu. Bez trwałej
plaszczyny porozumiewania
się nie będzie w Polsce spo-
koju. Niebezpiecznym złudze-
niem jest oczekiwanie, że po-
szczególne warstwy i grupy
zrezygnują z prób legalnego po-
tęgowania swojej podmioto-
wości.

Spółczesność nasza jest dziś
można podzielić. Kościół nie
utożsamia się jednak z żadnym
ugrupkowaniem politycznym,
lecz ma na uwadze przyszłość
całego narodu i państwa. Po-
wiedział to kardynał Józef
Giamp w homilii wygłoszonej
26 sierpnia na Jasnej Górze.

„Rządzący winni pełniej zda-
wać sobie sprawę, w jak trud-
nych warunkach żyje świat pra-
cy. Robotnik bywa cierpliwy
— ale to, co go najbardziej
boli, to marnotrawstwo w za-
kładach pracy, to niezaradność
w gospodarowaniu, to hamowa-
nie rozwoju przez biurokrację,
co czyni pracę nieefektywną.
(...) Jeżeli jednak protest ro-
botniczy ma być skuteczny,
trzeba przy stawianiu warun-
ków spojrzeć na możliwości,
jakimi dysponuje władza. Każ-
da władza może drukować ban-
knoty pieniężne, ale nie da się
dodrukować mleka, mięsa, chle-
ba — to musi być wypracowane.
Objeżdżając jakieś rzędy, ale
jeśli na kraju ciąży dług, to
trzeba spłacać przynajmniej
procenty. A spłata procentów u
nas idzie w miliardy dolarów.
Rząd nie uczyni tego z siebie,
ale musi ścigać je z biedne-
go kraju, właśnie z pracy ro-
botników.”

Iza Marcisz pisze w tygo-
dniku „RADA NARODOWA” (nr
36), że na koniec roku wskaź-
nik kosztów utrzymania wzroś-
nie prawdopodobnie do 1000 w
porównaniu z 1980 rokiem. Naj-
dotkliwiej odczuwają załamanie
gospodarcze emeryci i renciści.
Największe zróżnicowanie po-
ziomu życia występuje na wsi.
W warunkach ubóstwa żyje 30
proc. rodzin chłopskich. Nato-
miast w grupie rodzin pracow-
niczych ponad połowa jest na
granicy minimum socjalnego, a
jedna czwarta żyje w warun-
kach ubóstwa.

„Używając terminu rodniny
pracowniczej, należałoby jeszcze
dokonać uściślenia według
branż, zawodów itd. General-
nie jednak trzeba stwierdzić,

że najgorzej żyje się ludziom
zatrudnionym w tzw. jedno-
stankach budżetowych: służbie
zdrowia, oświaty, kulturze. W
ogóle najniższą opłacalnością
posiada. (...) Zanim urodzi
się nowa polityka socjalna z
pewnością upłynie jeszcze spo-
ro czasu. Tymczasem sytuacja
byłowa większości społeczeń-
stwa ulega dalszemu pogorsze-
niu. Coraz więcej rodzin popa-
da w autentyczną biedę.”

Z kolei wiceprzewodniczący
QPZZ Wacław Martyniuk pod-
kreśla w tygodniku „SPRAWY
I LUDZIE” (nr 35), że reforma
odbywała się dotąd kosztem ro-
botników. W przemyśle wydo-
bywczym płace realne spadły
w stosunku do drugiego półro-
cza ubiegłego roku aż o 30
procent! Podobnie działo się w
sferze budżetowej. Natomiast w
pozarolniczej gospodarce nieu-
spokojonej przychody wzrosły
o 95 procent. (Ale ludzie
tam również narzekają! — E.
L.)

„Efektem tego był kwiecień
— maj i to, co jest teraz. Bez
względu na to, czy jest to prze-
myślana polityka, czy błąd w
szlucie, żeruje na tym opozy-
cja.”

ŚCIŚLE TAJNY PROTOKÓŁ

Wiele emocji i kontrowersji
wzbudza sprawa tzw. tajnego
protokołu do paktu Ribbentrop-
Molotow podpisanego w nocy
z 23 na 24 sierpnia 1939 roku.
Pogłoski o istnieniu dodatkowego
protokołu pojawiły się już w
sierpniu 1939 roku. Po raz
pierwszy przedstawił go 25
marca 1940 r. podczas procesu
norymberskiego dr A. Sadl —
obrońca Rudolfa Hessa. Sąd
odrzucał wówczas ten dokument,
ale powołano go i opubliko-
wano w wielu wydawnictwach.
Pisał już o tym w poprzednich
„ODGŁOSACH” (nr 37) Luc-
jusz Włodkowski.

Znaną na Zachodzie wersję
protokołu przytoczył w estoń-
skiej gazecie „Rahva-Haäl”
znany historyk H. Arumäe.
Artykuł jego przedrukowała
„Sowietskaja Estonia”, a za nią
nasz tygodnik „ODRODZENIE”
(nr 36).

„W związku z podpisaniem
paktu o nieagresji między Pań-
stwem Niemieckim i Związkiem
Socjalistycznym Republik Ra-
dzieckich pełnomocnie przedsta-
wicieli obu państw, podpisujący
ten pakt, rozpatrzyli w trybie
głęboko tajnym rozstrzygnięcie
stref wpływów obu stron w
Europie Zachodniej.

Rozmowy doprowadziły do
następujących rezultatów:

1. W przypadku terytorialnej
i politycznej rewizji terytoriów
państw nadbałtyckich (Finlandii
Estonii, Litwy i Łitwy) pol-
nocna granica Litwy oznacza
jednocześnie rozdział stref
wpływów Niemiec i ZSRR. W
związku z tym obie strony
uznają jednocześnie interesy
Litwy w rejonie Wilna.

2. W przypadku terytorialnej
i politycznej rewizji terytoriów
należących do Polski granica
stref wpływów Niemiec i ZSRR
przebiegać będzie w przybliże-
niu wzdłuż rzek: Narwi, Wisły
i Sanu.

Kwestia, czy odpowiadać be-
dzie interesom obu stron za-
chowanie niezaangażowanego
Państwa Polskiego i jakie powinny
być jego granice, może być osta-
tecznie wyjaśniona w zależności
od dalszego rozwoju politycz-
nego. W każdym przypadku o-
ba rządy będą rozstrzygać dany
problem drogą przyjacielskiego
uzgodnienia.

3. W południowo-wschodniej
Europie strona radziecka pod-
kreśla swoje interesy w Besa-
rabii. Strona niemiecka dekla-
ruje pełny brak interesów po-
litycznych w tym rejonie.

4. Obie strony traktują dany
protokół jako głęboko tajny.”

W archiwach radzieckich do-
kumentu tego dotąd nie odna-
lezione. W artykule na łamach
„Pravdy” — przedrukowanym
przez „RZECZPOSPOLITĄ” (nr
205) — stwierdza się, że praw-
dopodobnie nigdzie nie ma ory-
ginału. Natomiast wszystkie
„kopie z fotokopii sprawiają
nader wątpliwą wrażenie”. Nie
wspominali o tym protokole ani
Adolf Hitler, ani Joachim von
Ribbentrop.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

mgr KAZIMIERZ GROMEK — dyrektor Spół-
dzielczego Biura Mieszkaniowego przy Wojewódz-
kim Związku Spółdzielni Mieszkaniowych.

— To był pracowity tydzień, pora przygotowywania list: z
jednej strony osób, które kierować będziemy w październiku do
poszczególnych spółdzielni mieszkaniowych, z drugiej zaś two-
rzenia projektu listy tzw. przyspieszeń. W pierwszym przypad-
ku chodzi o osoby pełnoletnie ze zgromadzonym wkładem, które
miały zarejestrowane książeczki mieszkaniowe do 31 grudnia
1982 r. Na dzień 31 grudnia 1982 r. mieliśmy ponad 56 tys. osób
pełnoletnich ze zgromadzonym obowiązującym wkładem pienię-
żnym. Z tej grupy oczekujących osoby, które miały zgromadzony
wkład i ukończone 18 lat w roku 1977, 1978 i 1979 przekazywa-
ne będą na początku października do poszczególnych spółdzielni
mieszkaniowych. Jednakże do tych spółdzielni, które otrzymały
w bieżącym roku przyrzeczenie przez prezydenta miasta Łodzi
potwierdzenie lokalizacji. Gdy idzie o projekt listy tzw. przyspie-
szonych skierowań do spółdzielni w celu przyjęcia oczekujących
w poczet członków, oż przygotowany przez nas projekt listy
wywieszony będzie 15 września i dostępny przez cały miesiąc,
aby wszystkie osoby zainteresowane mogły się z nią zapoznać i
wnieść ewentualne uwagi. Jest to bardzo ważny rodzaj społecz-
nej konsultacji i weryfikacji, po której dopiero — i po rozpa-
trzeniu wszystkich uwag, odwołań — powstanie właściwy doku-
ment. Jest to dla nas czas bardzo gorący. Wystarczy jeśli po-
wiem, że trzeba nie tylko ustalić listy według grup, dat ocze-
kiwania, lecz przygotować ponad 22 tys. dokumentów.

Mówią o nas „Łódzka”? Słyszmy, lecz nie zawsze to, co się
pod tym kryje wynika z sytuacji w jakiej się znaleźliśmy. Ma-
my np. ponad 6 tys. osób pełnoletnich, za to bez wymaganego
wkładu i ok. 30 tys. małoletnich, którym rodzice założyli książ-
eczki mieszkaniowe przed końcem grudnia 1982 roku i teraz
dorastają. Słowem: tydzień bardzo pracowity. A prywatnie? —
Bez specjalnych wydarzeń...

mgr JAN GRUSZCZELAK — zastępca dyrekto-
ra Przedsiębiorstwa „Dom Książki”.

— Ubiegły tydzień minął w oczekiwaniu na brakujące pod-
ręczniki. I właśnie w ub. czwartek nareszcie otrzymaliśmy pod-
ręczniki ogólnokształcące dla szkół zawodowych. Niestety, w
dalszym ciągu brakuje nam ośmiu podręczników dla liceów ogóln-
kształcących, szczególnie dla pierwszych klas. Według zapewnień
braki te mają być uzupełnione do końca września. Bardzo miłym
akcentem ub. tygodnia był fakt ukazania się zapowiadanego
dwutygodnika „Świat książki” wydawanego przez Wydawnictwo
„Alfa”. Jest to pismo bardzo przez nas oczekiwane albowiem
zawiera rzeczowe i wyczerpujące informacje o ukazujących się
nowościach wydawniczych i autorach. Co więcej, dzięki niemu
księgarze będą mogli zgłaszać te tytuły i nadwyżki książek, które
na ich terenie mają mniejszy zbyt i na odwrót — sprowadzać
inne, zalegające gdzie indziej księgarnie. Zamierzamy to
pismo wprowadzić do sprzedaży we wszystkich naszych księgar-
niach aby i czytelnicy mieli z niego pożytek. Inny problem,
którym żyjemy i żyjemy — to wrześniowe „Dni Polskiej Lite-
ratury Współczesnej” z ciekawymi spotkaniami, kiermaszami,
na które wszystkich czytelników zapraszamy.

BEATA KRZESZEWSKA-JUST — kierownik
działu statystów Wytworni Filmów Fabularnych.

— Jak minął? Choć był to tydzień moich imienin i zdawać by
się mogło, że będzie bardzo miły, jednakże przeżywałam niezbyt
przyjemne wydarzenia. Spadł mi bowiem na głowę w moim
mieszkanie — tynek z sufitu! Reszta może pan sobie wyobrazić.
Poza tym, coż — urlop, działka i teraz praca, bardzo gorączkowa
przy realizacji filmu pt. „Żelazną ręką”, będącego dalszym cią-
giem „Kanceliera”, „Powrotu wabiszczura” i „Dziwczynny z Ma-
zur”.

Rozmawiał: MARIAN ZDROJEWSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Oczy napiełniają się przerażeniem i trwogą. Nie ma nawet
złiszcz. Tak jakby tej miejscowości nigdy nie było. Pokonałem
strach i przedsiarłem się dalej — reportaż WASYLA KOCZNO-
WA.

— Na plaży opalają się prawie sami mężczyźni. Nieliczne ko-
biety natychmiast rzucają się w oczy. Niektóre noszą majtki —
reportaż MARKA BŁASZKOWSKIEGO z plaży naturystów w
Swidrze.

— Janek wiedział, że spałem z jego żoną. Powiedziałem mu o
tym następnego dnia w południe, ledwie trochę doszedł do siebie.
Wzruszył ramionami — najnowsza książka ANDRZEJA BRYCHTA.

— Sukces był ogromny. Teatr rozsadała wielominutowa, gorąca
owacja. Część widzów powstała z miejsc. A publiczność była róż-
na — reportaż MARKA KOPROWSKIEGO o gdańskim Teatrze
Ekspresji.

— Seks wymaga fantazji. Trzeba wystrzegać się rutyny. Jeśli
jakaś para zawsze kocha się w tej samej pozycji, na tym samym
łożku, przy tym samym oświetleniu, o tej samej porze — to prze-
dziej czy później musi pojawić się zblazowanie, przesyty i nuda —
pisze MIROSLAWA SARBINSKA.

— Ocierniamy się o strefę wiecznych śniegów. To już 4,5 tys.
metrów nad poziomem morza. Z drugiej strony tunelu zaczyna
się zjazd, jakiego jeszcze nie widzieliśmy. Przyczepiona do zbroza
długa nieprawdopodobnie niebezpieczna — korespondencja RYSZARDA
NAKONIECZNA z Peru.

— Pierwsze, co zdumiewa rodaka, to sklepy wyglądające na
przybytki konsumpcyjnej rozpusty. Wechodząc do środka ranuwa,
że nie ma w nich galopujących tłumów, a ekspedientki są uprzej-
me i nierzadko uśmiechnięte. Wszystko to zbija nieco z tropu —
wrażenia ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO z Pragi.

— Z wyciem syren nadjechały na miejsce strasznej tragedii
karetki pogotowia i wozy straży pożarnej. Z poskręcanego żela-
stwa wydebiły rozszarpane ciała obsługi parowozu i ponad dwu-
dziestu pasażerów. Zewsząd dochodziły krzyki rozpaczliwych błagań
o pomoc — artykuł JANA BABIŃSKIEGO pt. „Noćny terrorysta”.

NR 38 (1590), 17 WRZEŚNIA 1988 R.

Kiedy Winston Churchill, premier rządu Wielkiej Brytanii przebywał w wizycie oficjalnej w Moskwie (12-17.VIII.1942), Związek Radziecki przeżywał wyjątkowo ciężkie chwile. Polityk brytyjski, który zważył na państwo radzieckie już podczas jego narodzin i potem należał do zdecydowanych przeciwników komunizmu, przybył na spotkanie z premierem ZSRR — Józefem Stalinem, aby w bezpośrednich rozmowach uzgodnić plany dalszej współpracy w prowadzonej wojnie koalicyjnej z Niemcami hitlerowskimi. W swych wspomnieniach Winston Churchill dość dokładnie relacjonuje przebieg trudnych pertraktacji na Kremlu, opisuje atmosferę spotkań towarzyszących, wrażenia z pobytu w stolicy egzotycznego dlań kraju.

Wieczorem 16 sierpnia 1942 roku zakończyła się ostatnia tuza oficjalnych rozmów radziecko-brytyjskich.

Gdy Winston Churchill zaczął żegnać się ze Stalinem, ten nieoczekiwanie zaprosił gościa na poczęstunek do swego mieszkania. Winston Churchill przyjął zaproszenie i po chwili, po krótkim spacerze po dziedzińcu Kremla, obaj mężowie stanu w towarzyszywie tłumaczyli się z powodu trudności w prowadzonej wojnie koalicyjnej z Niemcami hitlerowskimi. W swych wspomnieniach Winston Churchill dość dokładnie relacjonuje przebieg trudnych pertraktacji na Kremlu, opisuje atmosferę spotkań towarzyszących, wrażenia z pobytu w stolicy egzotycznego dlań kraju.

Kiedy minęła północ, zaś Alexander Cadogan, podsekretarz stanu w Foreign Office, ciągle nie przychodził z projektem komunikatu, Winston Churchill zagadnął Józefa Stalina:

— Proszę mi powiedzieć, zapytałem — relacjonuje Winston Churchill — czy stresy spowodowane przez obecną wojnę są dla pana obojętne, czy też jest pan polityką kolektywizacji?

Temat ten natychmiast podchwycił marszałek Józef Stalin.

— O nie — odpowiedział — kolektywizacja była potworną walką.

— Sądzę, że musiało to być dla pana bolesne — kontynuował Winston Churchill — ponieważ miał pan do czynienia nie z kilkudziesięcioma tysiącami arystokratów czy wielkimi właścicielami ziemskimi, lecz z milionami prostych ludzi.

— Dziesięć milionów — odparł Józef Stalin, unosząc obie dłonie. — To było straszne. Trwało cztery lata. Było to absolutnie konieczne dla Rosji, jeżeli mieliśmy uprawiać ziemię traktarami, aby uniknąć okresowych głodów. Musimy mechanizować nasze rolnictwo. Kiedy dałmy chłopom traktory, zostały one zepsute po kilku miesiącach. Tylko kolchozy z warsztatami potrafiły posługiwać się traktorami. Zadałmy sobie ogromny trud wyjaśnienia tego chłopom.

Dalej Józef Stalin skarżył się na niski poziom świadomości rosyjskich chłopów i ich niechęć do kolchozów. Według jego słów, chłop zwykły agitatorom przekonującym go o zaletach kolektywizacji odpowiadać, iż najpierw „musi iść do domu i poradzić się swej żony”, a potem upierał się, że nie chce iść do kolchozu i woli pracować bez traktora. Gdy Winston Churchill zapytał, czy mowa tu o „kulakach”, Józef Stalin potwierdził, ale nie powtórzył tego słowa. Podkreślił jednak, że „to wszystko było bolesne i trudne, ale konieczne”. Dodał też, że wielu „kulaków” zgodziło się współpracować z władzą radziecką, a niektórym w prowincjach syberyjskich zezwolono na zachowanie własnej ziemi do uprawy, lecz ogromna ich większość była niepopularna wśród robotników i przez nich została zlikwidowana.

Józef Stalin mówił, robiąc pauzy. Dowodził, że dzięki kolektywizacji wsi nastąpiło udoskonalenie jakości zbóż i nadzwyczajny wzrost ich produkcji, a w konsekwencji dokonano się w ZSRR ogromna poprawa zaopatrzenia ludności w żywność.

Winston Churchill pisał po latach, że wspomnienia tej rozmowy stale powracały do niego i ciągle pozostawał pod silnym wrażeniem tragicznego losu milionów ofiar kolektywizacji. Przyznał wszakże, iż maksymy E. Burke'a, który negował sens wszelkich reform pociągających za sobą niesprawiedliwość i krzywdę ludzką, nie wygłosił podczas kremlowskiego spotkania, albowiem wydawało mu się to wtedy, w warunkach II wojny światowej, prawie niemoralowe.

Wynurzenia Józefa Stalina tak obszernie zostały tu przytoczone nieprzypadkowo, dotyczą one jednego z najbardziej dramatycznych etapów w dziejach ZSRR. Wyznane sprowokowane przez Winstona Churchilla, choć powściągliwe i naswietlające rzecz całą nader jednostronnie, miało niezwykłą wymowę. Jakże różniło się ono od publicznych przemówień Józefa Stalina na temat kolektywizacji rolnictwa radzieckiego czy oficjalnych ocen sformułowanych w dokumentach partyjnych i państwowych. Stalinowska wykładnia tej kwestii, wyrażona choćby w napisanej wedle jego wskazówek „Historii WKP(b). Krótki kurs” (1938), stała się na wiele lat obowiązującą w historiografii radzieckiej i nie tylko w niej.

Pierwsze oznaki zmian w podejściu do zagadnień kolektywizacji pojawiły się bodaj w okresie „odwilży” po śmierci Józefa Stalina, a ściślej może po XX Zjeździe KPZR (1956), kiedy Nikita Chruszczow obalił teorię stalinowską i zburił młotem Józefa Stalina. Jednak na dobrą sprawę destalinizacja w radzieckim piśmiennictwie historycznym, a zwłaszcza w sferze upowszechniania wiedzy na temat historii kolektywizacji, przyniosła dopiero epoka „pierestrojki”. W warunkach rozszerzenia „głosności” w radzieckim życiu publicznym rozpoczęło się wypełnianie „białych plam” w historii Kraju Rad. Za jedno z najważniejszych zadań w tym zakresie uznano ukazanie prawdy o historii tworzenia kolchozów na wsi radzieckiej. Na ten temat mówi się w radiu i telewizji, poświęcają tej problematyce wiele miejsca gazety codzienne i czasopisma. Pisarze i publicyści wydają się być najodważniejsi, podejmując ten trudny temat, przedstawiają swoją wizję wydarzeń w epoce kolektywizacji (1929-1933), obraz życia

wsł, motywy postępowania polityków i zwykłych ludzi.

W miesięczniku „Nowy Mir” (1988, nr 3) znajdujemy na przykład cykl opowiadań rozrachunkowych z czasami stalinowskim płótna Władimira Tiendrakowa, pisarza zmarłego przed czterema laty. Proza ta — na rękopisie zamieścił autor datę „grudzień 1969 — marzec 1971” — nosi zdecydowanie publicystyczny charakter. Każde z opowiadań pisarz opatrzył „repliką dokumentalną”, w której wzbogacił treść utworu o dane statystyczne, odwołując się do materiałów źródłowych i opinii historyków. Dwa opowiadania, wszystkie mają formę wspomnieniową, poświęcone zostały kolektywizacji. Pierwsze z nich („Para gnających”) to realistyczny opis epizodów z okresu „rozkułaczania”, czyli wywłaszczania bogatych chłopów na wsi rosyjskiej, analiza psychologiczna postaw biedoty wiejskiej i miejscowego bogactwa, przy czym narratorem jest zaskakująco syn robotnika-komunisty, przyszłego z miasta przez instancję partyjną z zadaniem utworzenia kolchozu w teście wsi.

Drugie („Chleb dla psa”) to wstrząsająca opowieść dziesięciolatka o strasznym losie wysiedlonych „kulaków” — chłopów rosyjskich i ukraińskich oraz ich rodzin, którzy bez środków do życia koczując pod gołym niebem przy stacji kolejowej małego miasteczka, czy też osady, masowo umierają z głodu.

Ukazują się również tak sugestywne publikacje na ten temat jak prywatne listy — czy dzienniki uczestników akcji tworzenia kolcho-

nie zrezygnował jednak ze swoich badań i dziś uznawany jest za jednego z najlepszych znawców problemów kolektywizacji i historii gospodarczej Kraju Rad.

Wyniki badań, studiów i przemysłów zwolenników nowego spojrzenia na historię najnowszą mogą dziś do szerszego kręgu społeczeństwa radzieckiego dotrzeć przede wszystkim w formie artykułów popularnonaukowych i publicystycznych w gazetach i czasopiśmie, wywiadów i dyskusji w prasie, radiu i telewizji. Na gruntowne i obszerniejsze opracowania monograficzne i syntetyczne, a przynajmniej ich znaczącą ilość, zapewne przyjdzie jeszcze poczekać. Nowatorzy nie mają łatwego życia, a trzeba pamiętać nie tylko o oporze środowisk konserwatywnych i utrzymujących się ciągle trudnościach z dostępem do archiwów, ale i czasie niezbędnym w procesie badań naukowych, a wreszcie cyklu wydawniczym. Wiadomo jednak już dziś, że wiele stwierdzeń, tez i opinii w historiografii radzieckiej zostało obalonych, a interpretacja niedługo z wydarzeń i zjawisk wkrótce będzie musiała ulec weryfikacji.

Dotyczy to również tak ważnego okresu w dziejach ZSRR jak powstanie kolektywizacji rolnictwa w latach 1929-1933.

W rozważaniach na temat jej genezy poszukuje się odpowiedzi na pytanie, jakie prze-

Historycy radzieccy znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Dziesięć palców Józefa Stalina

PAWEŁ SAMUS



zów, np. agitatora, ukazujące jego sposób myślenia i dylematy, puls życia wsi w tamtej epoce, przejawy postaw chłopów.

Historycy radzieccy znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

W społeczeństwie obserwuje się niezwykle wzrost zainteresowania historią najnowszą, ale historiografia dzieł Kraju Rad jest przedmiotem ostrej krytyki publicznej. Krytycznie ocenia się poziom badań historycznych i styl dotychczasowego dziełopisarstwa, zarzuca się historykom schematyzm i koniunkturalizm, dogmatyzm i tendencyjność półprawdy i przemilczenia, albo i wręcz fałszowanie historii. Z wielu kręgów społecznych rozlega się żądanie ukazania prawdy o przeszłości, nowego oświecenia nie tylko poszczególnych faktów i wydarzeń, ale i całych etapów dziejów ZSRR, w tym także okresu powszechnej kolektywizacji.

Historycy jednak sami przyznają, że nie są jeszcze w stanie zaspokoić zapotrzebowania społeczeństwa. Kryzys w radzieckiej historiografii, podobnie jak w naukach społecznych, rozpoczął się wiele lat temu, mając swe źródła w ówczesnej sytuacji politycznej. Historycy, tak jak inni uczeni, w okresie stalinowskim poddawani represjom, pozbawieni elementarnych swobód w badaniach naukowych i publikowaniu ich wyników, nie odzyskali ich właściwie w szerszym zakresie i potem. Badacze dziejów najnowszych, będąc szczególnie narażeni na takie „choroby” jak dogmatyzm i koniunkturalizm, nie mogą dziś mieć w swoich szufladach rękopisów prac odpowiadających oczekiwaniom społecznym.

Gdyby jednak poprzestać na tym stwierdzeniu, które jak wszystkie uogólnienia z konieczności jest pewnym uproszczeniem problemu, byłoby to niesprawiedliwe wobec historyków radzieckich znanych z odmiennych postaw i osiągnięć naukowych. Roy Miedwiediew, historyk do niedawna lepiej znany na Zachodzie niż w swoim kraju, ostatnio drukowany też w czasopiśmie polskim, przez wiele lat praktycznie bez dostępu do archiwów prowadził studia nad dziejami ZSRR; za swe poglądy, sprzeczne z linią ideologiczną kierownictwa partii obowiązującą po zwrocie politycznym z połowy lat 60., wykluczony z jej szeregów, mógł swoje książki o rewolucji październikowej i wojnie domowej, Józefie Stalinie i stalinizmie, Nikicie S. Chruszczowie i innych zagadnieniach publikować tylko za granicą, w języku angielskim, francuskim i in. Nielatwą drogą musiał przejść również Wiktor Danilow, który, jak wyznał niedawno w audycji radiowej, naraził się na szykany z powodu swoich poglądów i koncepcji głoszonych w publikacjach poświęconych dziejom wsi radzieckiej;

stanki zadecydowały o tym, że spośród trzech możliwych wariantów rozwoju społeczno-gospodarczego Związku Radzieckiego na przełomie lat 20. i 30. (konsepce N. Bucharina i A. Rykowa, program sformułowany w pierwszym planie pięcioletnim i linia realizowana przez J. Stalina) zwyciężył właśnie ten ostatni.

Wiele uwagi poświęca się analizie przyczyn i mechanizmów, które przysądziły o przyjęciu kursu na przyspieszoną i powszechną kolektywizację rolnictwa. Roy Miedwiediew na przykład nie ogranicza się do analizy roli samego Józefa Stalina w tym procesie, charakteryzując jego osobowość, styl i metod działania, wskazując na typowe dla tego polityka nieuznawanie kompromisów, woluntaryzm, zamiłowanie do „administracji”, już wtedy ujawnianych skłonności do rozstrzygania wszelkich problemów odgórnie, przy zastosowaniu przemocy. Wszystko to świadczyło, zdaniem historyka, o niedostatecznej przenikliwości Józefa Stalina, niskim poziomie jego kultury politycznej, niezrozumieniu istoty leninizmu, niezrozumieniu praw ekonomicznych. „Grzechy” te jednak były równie udziałem wielu działaczy bolszewickich, zwłaszcza pokolenia dojrzewającego w tradycjach wojny domowej i komunizmu wojennego.

Roy Miedwiediew słusznie zwraca uwagę na swoistą logikę w mechanizmach polityki. Kiedy sekretarz generalny partii bolszewickiej zdołał raz przeformować decyzję o zastosowaniu nadzwyczajnych środków przeciwko bogatym chłopom („kulakom”) i konfiskacie ich zboża podczas krytycznej kampanii skupu ziarna w nieurodzajnym 1927 r. — wtedy jeden z głównych jego oponentów N. Bucharin bezskutecznie proponował rozwiązanie kryzysu przez wzmocnienie gospodarstwa chłopskich drogą rozwoju różnych form kooperacji i podniesienie cen skupu — to sukces ten pociągnął za sobą takie konsekwencje, które J. Stalinowi umożliwiły wykonanie dalszych posunięć. Ponieważ w kolejnym roku był również nieurodzaj w rolnictwie, a chłopów po ostatnich doświadczeniach nie wykazywali ochoty do zwiększenia dostaw zboża, tym łatwiej przyszło mu ponownie przeprowadzenie decyzji, motywowanej powstaniem zagrożeniem dla aprowizacji i planów industrializacji, o konieczności powtórzenia „kampanii skupu zboża”, zrealizowanej tym razem przy zastosowaniu jeszcze bardziej bezwzględnych środków. W konsekwencji krucha równowaga wewnętrzna i budowany z wielkim wysiłkiem sojusz wsi z miastem („smyczka”) załamały się, a linia NEP została przekreślona.

W tym momencie Józef Stalin, mając już pod całkowitą kontrolą aparat partyjny i państwowy, sam podjął decyzję i obojętnie ogłosił początek powszechnej kolektywizacji rolnictwa, rozpoczęcie akcji masowego zakładania kolchozów przy równoczesnej likwidacji „kulaków” jako klasy. Tym samym postawił przed faktem dokonanym zarówno obywateli, jak i rozłam oponentów z Biura Politycznego KC WKP(b), jak i całą partię.

Józef Stalin i jego zwolennicy proklamując otwartą wojnę z „kulactwem” w kraju o ogromnej przewadze ludności chłopskiej, niewątpliwie kierowali się przede wszystkim celami politycznymi. Odegrali w tym swoją rolę dogmaty doktrynalne i przesady w stosunku do bogatych chłopów, uznanych za element wrogi przemianom socjalistycznym, podejrzliwosc wobec „średniaków”, lek przed skutkami nadmiernego usamodzielnienia chłopów — posiadacza indywidualnego gospodarstwa. Zarzuca się dziś kierownictwu stalinowskiemu nieznamość realiów życia wsi, dogmatyzm w polityce gospodarczej, wulgaryzację teorii ekonomii socjalizmu. Wykalkulowało ono sobie, że w tej sytuacji, gdy państwo nie posiadało środków, by okazać niezbędną pomoc (finansową, materiałową, techniczną itp.) tworzącym forsownie kolchozom, zdołać się na przez bezwzględne wywłaszczenie „kulaków” i wysiedlenie ich wraz z rodzinami, przy równoczesnym przekazaniu im całego majątku (ziemi, zabudowań, inwentarza żywego, maszyn) na rzecz owych kolchozów.

W pierwszym planie pięcioletnim (1928 — 1933) zatwierdzonym wiosną 1929 r. zakładane

dokonywanie gigantycznych przeobrażeń gospodarczo-społecznych w Kraju Rad, wysuwając także zadanie wielkich przemian socjalistycznych w rolnictwie. Planowano, że do końca tego okresu różne formy spółdzielczości na wsi obejmą 85 proc. gospodarstw chłopskich, przy czym tylko 18-20 proc. miało być w kolchozach, które dotąd rozwijały się nader anemicznie, dalsze 20-25 proc. zrzeszone w prostych spółkach produkcyjnych (melioracyjnych, maszynowych, hodowlanych itp.), pozostałe 40-45 proc. w kooperatywach handlowo-kredytowych. Cechą tego planu, jak podkreśla historyk (W. Danilow), było zbilansowanie w stopniu bardzo wysokim zadań w poszczególnych działach i gałęziach gospodarki. W tej sytuacji jakakolwiek próba ich podwyższenia mogła spowodować tylko straty gospodarcze i ofiary ludzkie, a także załamanie planu, co też rzeczywiście nastąpiło.

Już jesienią 1929 r. stalinowskie kierownictwo nadaje przebudowie rolnictwa gwałtowne tempo forsując kolektywizację milionów gospodarstw chłopskich.

Przypomnijmy tu, że komisarzem ludowym (ministrem) rolnictwa był wtedy Jakub Jakowlew, właściwie Epstein, pełniący też funkcję przewodniczącego komisji do spraw kolektywizacji przy Biurze Politycznym KC WKP(b) oraz przewodniczącego Wszechzwiązkowej Rady Kolchozów.

W rejonach upraw zbożowych kraju usiłowa- no nawet zrealizować kolektywizację w ciągu jednego lub półtora roku, a w niektórych nadgorliwa władza terenowa starała się akcję zakończyć już podczas kampanii siewnej 1930 r. Główną formą gospodarki spółdzielczej na wsi radzieckiej, a z czasem wyłączną, stał się arteł rolny, nazwany kolchozem. W toku ich tworzenia szeroko zastosowano przymus administracyjny i masowe represje wobec chłopów. Zjawiska te przybrały tak szerokie i niepokojące rozmiary, prowokując zrozpaczone chłopów do otwartych buntów, że wiosną 1930 r. Józef Stalin zmuszony był studiować zapał nadgorliwych funkcjonariuszy, a kierownictwo partii zapowiedziało stosowne działania. Jednak mimo przebiegłego zwolnienia tempa proces kolektywizacji postępował nadal.

Historycy dziś nasświetlają przebieg tych dramatycznych wypadków inaczej w porównaniu z literaturą epoki minioniej, w której dominował obraz jednostronny i uproszczony, eksponujący wielkie sukcesy i uproszczone, obecne pisze się także o wielkiej tragedii, ogromnej ilości ofiar, jakie pociągnęła za sobą forsowna kolektywizacja. Kampania „rozkułaczania” objęła miejscami do 15 proc. gospodarstw chłopskich, nie tylko bogatych, ale i średnio-rolnych chłopów, nierazko tych, którzy wcześniej walczyli w obronie rewolucji i władzy radzieckiej. Do niedawna przytaczano za źródłami oficjalnymi liczbę 381 tys. wysiedlonych rodzin „kulackich”. Dziś historycy oceniają, że liczba wysiedlonych rodzin wynosiła, według najnowszych szacunków około 1 mln, a najwyższych — 5 mln. Przy założeniu, że przeciętna rodzina chłopska składała się wówczas z 5 osób, daje to odpowiednio 5 lub 15 mln ludzi umieszczonych w obozach pracy, przesiedlonych na Syberię i do innych miejsc, pozbawionych praw i traktowanych nieludzko, praktycznie skazanych na zagładę.

Realizacja stalinowskiego kursu na kolektywizację przyniosła ciężkie straty gospodarcze. Jak wynika z dostępnych obecnie materiałów statystycznych w ZSRR w latach 1929-1932 pogłowie bydła zmniejszyło się o połowę, podobny spadek nastąpił w produkcji mięsa, tłuszczów, mleka i innych artykułów żywnościowych. Przez wiele lat nie udało się odbudować tych strat ani osiągnąć poziomu produkcji rolnej z 1928 r.

Strasliwe skutki pociągnął za sobą głód, jaki zapawał na wsi Ukrainy, Powołża, Syberii, Północnego Kaukazu i Kamczatki w latach 1932-1933.

Był on spowodowany nie tylko suszą i spadkiem urodzaju, ale i polityką gospodarczą. Forsowano w sposób bezwzględny eksport zboża dla zdobycia środków na inwestycje przemysłowe kosztem elementarnych potrzeb ludności wiejskiej, której zabierano nawet ziarno przeznaczone na siew. Śmiercią głodową zmarło wtedy, według szacunków historyków radzieckich około 3-4 mln ludzi, a literatura zachodnia podaje liczby dwukrotnie wyższe.

Dokładna ocena strat demograficznych, jakie poniosły narody Kraju Rad w latach 1929-1933, w tym wypadku niektórych mówią o symbolicznym znaczeniu gestu Józefa Stalina pokazującego dziesięć palców Winstonowi Churchillowi, jest niewątpliwie nadal kwestią otwartą, podobnie jak generalny bilans polityki forsownej kolektywizacji. Nie wytrzy uje krytyki, nie tylko zresztą w świetle najnowszych publikacji, pogląd jakoby gwałtowne tempo kolektywizacji było wtedy jedyną możliwą drogą do zdobycia środków na industrializację pierwszego państwa socjalistycznego. Historycy kwestionują też rozpowszechnioną ocenę generalnych wyników tej polityki industrializacji jako rzekomo ogromnego sukcesu, także w dziedzinie potencjału obronnego, uznając to za jedną z legend powstałych za sprawą propagandy stalinowskiej, obnażoną bezitośno w 1941 r.

Niez legend i mitów na temat tej epoki może być jeszcze zweryfikowanych, jeśli ułatwiony będzie dostęp historyków do archiwów i opublikowane zostaną dotąd utajnione dokumenty?

o konspiracji... Nie byłem w stanie pojąć, jak można ze mnie robić zbrodniarza?

— Dzisiaj wielu też nie może tego zrozumieć.

— Znalazłem się w pięciuosobowej grupie oskarżonych: z ptk Franciszkiem Skibińskim na czele. Byli to: ptk. Stefan Biernacki, ptk. Adam Jaworski oraz ppłk Kornel Dobrowolski — wszyscy dyplomowani. Tylko ja jeden nie byłem dyplomowany. Jakkolwiek aresztowano mnie później od innych, lecz już cała wersja mojego „przestępstwa” była gotowa. Miałem nawet pseudonim konspiracyjny — „Reżyser”, o czym dowiedziałem się po pewnym czasie i licznych przesłuchaniach.

Zarzut? Konspiracja, przygotowania do obalenia ustroju państwa, szpiegostwo. Każde z tych przestępstw zagrożone było karą śmierci i każde wyłączone z ewentualnej amnestii, nawet w wypadku kary więzienia, do końca życia...

— Jak panowie przyjęliście wyrok... śmierci?

— Ooo, rozmaitości. Każdy z naszej piątki inaczej... Ptk Franciszek Skibiński, jak przystało na szefa sztabu gen. Stanisława Maczka, przyjął wyrok z całą godnością. Ptk Stefan Biernacki, dawny kadet, nie wytrzymał, zaczął się trząść jak liść osiki. Pod ptk. Adamem Jaworskim zalamy się nogi. Dopiero ppłk Kornel Dobrowolski, góral spod Nowego Sącza, był kopista, wytrzymał ten cios bez drgnięcia powieki; no i wreszcie ja. Początkowo, myślałem, że jako piętego w grupie potraktują łagodniej, a tu kara śmierci. Wtedy, aby pokazać, że to mnie nie zatkało, zawolałem z całą mocą: — Wysoki Sądzie! jaki nam przysługuje tryb odwołania się!

Nasz proces był publicznym i to przed Najwyższym Sądem Wojskowym. Co prawda publiczność stanowił pracownicy UB i Informacji, lecz sala była pełna, patrzyli na nas wręcz wrogo. Proces toczył się w dużej sali w pomieszczeniach Informacji. Nie mieliśmy obrońców, których nie dopuszczono „ze względu na interes państwa”. Było to dla nas o tyle korzystne, że... o jednego oskarżyciela było mniej. Praktyka bowiem była taka, że oskarżał prokurator, oskarżał sąd, oskarżał obrońca, oskarżał świadek i oskarżał samych siebie oskarżeni. A skoro się przyznawali, musieli się kajać. Jeden robił to w sposób godny, albo taki, że widoczna była gra, lecz inni — kajali się naprawdę! To było żalosne widowisko...

— Ułomność ludzka, a i wytrzymałość ma swoje granice.

— Niel Oficer, który był na wojnie, widział niejedną śmierć, powinien wytrzymać takie rzeczy. Owszem, trudno znieść pohańbienie, poniżenie, to przychodzi najciężiej. Jakże wytrzymać jawne nękanie się, gdy rozbierają pana do naga i zaglądają do... odbytnicy. W tej grze do jakiej zosłał się wciągnęli przyznawanie się nie miało żadnego znaczenia. Nasz los był tak, czy owak przesądzony. Jedni i drudzy o tym wiedzieli.

— Potwierdzenie znajduję w tym, co pisze Mieczysław Szerer w raporcie Komisji do Badania Odpowiedzialności za łamanie Praworządności w Sądownictwie Wojskowym.

— A propos dokumentu Mieczysława Szerera. Otóż najzabawniejsze w tym dokumencie jest dla mnie zakwestionowanie przez autora „usterki prawnej”, kiedy Józef Cyrankiewicz, nie mając kompetencji w zakresie sądowym, przesunął w stosunku do sześciu skazańców wykonanie wyroków śmierci, czemu właśnie zawdzięczamy życie. Bo doczekaliśmy się zamiany kary śmierci na dożywocie, ale nie w drodze łaski, lecz dlatego, żeby „wyczerpać” konto przed konferencją międzynarodową 25 stycznia 1954 roku w Berlinie...

— Znaleźliście się z wyrokami śmierci w więzieniu, w pełnej izolacji. Choć, przyznam, izolacji dość dziwnej, skoro przed wyrokiem i po wyroku siedzieliście całą piątką.

— Nie, nie! Dopiero po wyroku w piątkę. Przedtem siedzieliśmy pojedynczo. Przy czym ani Franciszka Skibińskiego, ani Adama Jaworskiego w ogóle nie znam. Izolacja od innych więźniów była ścisła. Szczególnie w więzieniu Informacji i w Cytadeli. O słynnych grypsach, pukaniu w rury czy kontaktowaniu się w inny sposób ze współwięźniami nie było mowy. Mógł pan całe życie spędzić z kimś w sąsiedniej celi, nie wiedząc o istnieniu tej osoby. Strażnicy byli specjalnie doborani, chodzili w filcowych pantoflach i skradali się pod drzwi niczym górskie kozice. Widzieli i słyszeli wszystko, co się w celach dzieje. W Cytadeli i na Chłubińskiego kontakt z kimkolwiek był niemożliwy. Może na Mokotowie...

Siedział tam ptk Zaleski. Bez sprawy. Siedział trzy lata i nikogo nie spotkał. Bo też każde wprowadzenie więźnia z celi poprzedzane było odpowiednią sygnalizacją, na dźwięk której wszystkich więźniów przebywających na korytarzach zapędzano natychmiast do cel, bądź w różne zakamarki. Mielismy więc kontakt tylko z przebywającymi w celi. Żyliśmy nadal w ciągłym napięciu, jako że wyrok wcale nie oznaczał końca przesłuchań.

Ktoregoś dnia wraca Adam Jaworski z przesłuchania i wstrząśnięty powtarza, jakie pytanie zadał mu „śledź” (śledczy): — Co wiecie o przygotowywaniu ogólnonarodowego powstania? Chodziło o przetrwanie odpowiedzialności na ogół społeczeństwa, na przywódców życia publicznego. To był 1954 rok. Już było po śmierci Józefa Stalina i po rozstrzelaniu Ławrientia Berii, a więc był to czas, gdy Ila Erenburg kończył swoją „Odwil”...

Innym razem, w tejże Cytadeli Adam Jaworski, wracając z przesłuchania, mówi — czy wiecie z kim miałem dzisiaj konfrontację? Z gen. Łusniakiem! Był to przedwojenny, wieloletni zastępca komendanta Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu, a w Ludowym Wojsku Polskim — jako generał był szefem Departamentu Ubrojenia. Aresztowano go późno. Pytają przy

Jaworskim gen. Łusniaka, czy się przyznaje do konspiracji? On na to: — Ja się przyznaję, nie powiedzcie mi panowie, co ja mam mówić.

W lepszej sytuacji byli ci wszyscy, których aresztowano w związku z jakąś rzeczywistą działalnością, słusznie czy niesłusznie więzieni, osądzeni, lecz stawiano im konkretne zarzuty, konkretne wydarzenia, fakty. Tymczasem, w naszych sprawach, znaleźliśmy się w jakimś obszarze szaleństwa, rozdwójenia jaźni. To było straszne. Najstraszniejsze dla ludzi pozbawionych wyobraźni. Jeszcze przed rozprawą siedziałem z komandorem Perdzińskim. Był już po wyroku, 15 lat, mnie ten wyrok wydał się straszliwy! To on mi powiedział kiedyś: — Wie pan, przeżywałem męczarnie. Ja nie mam wyobraźni. Cały czas widzę tylko to łóżko, te ściany. Muszę mieć coś do czytania, jakiegoś przewodnika dla swojej wyobraźni...

— W takiej sytuacji wyobraźnia może być zabójcą.

— Oczywiście. „Wrzucił” nam kiedyś do celi kapitana Ludowego Wojska. Służył gdzieś nad zachodnią granicą. Współ z innymi zorganizowali sobie polowanie, naganka kierowała się na Zachód, więc ich zwinęli pod zarzutem próby ucieczki za granicę. Z bronią oczywiście. Przez pierwsze godziny motal się po celi i powtarzał w kółko, że jest niewinny, co on ma robić?! Więc mówię do niego: — Panie kapitanie, w tej celi jest bardzo dużo do roboty. Daję panu co najmniej dwa zadania: Na ścianie wisi instrukcja dla aresztowanego. Ma ona 3300 liter. Ja już to przeliczyłem, ale trzeba dojść do absolutnej pewności i dokładności, aby nie opuścić ani jednej litery. Albo proszę przeliczyć klepki w podłodze — to też niełatwe! Kapitan jak szalony padł na kolana i zaczął liczyć. Niezwykle starannie, aby tylko nie myśleć o tym, co go spotkało.

Życie po wyroku śmierci



Foto: Grzegorz Gałusiński

— Życie w celi jest samo w sobie niezwykle, a co dopiero dla panów w tamtych warunkach.

— Dla mnie było wielce pouczające. Spotykałem ludzi szlachetnych i podłych, wielkich i małych. Ale na ogół — dominowała elita. Inaczej żyliśmy oczekując na śmierć i inaczej po 1954 roku, kiedy zamieniono nam karę śmierci na dożywocie.

Na Mokotowie miałem zaszczyt siedzieć w jednej celi z generałem Emilem Fieldorffem, ps. „Nil”, szefem KEDYU, czyli kierownictwa dywersji Armii Krajowej, który był skazany także na karę śmierci. Zachowywał absolutny spokój, zawsze pogodny, uśmiechnięty, życzliwy, opiekuńczy. Szczególnie dla młodych więźniów. I to z przeciwnego obozu, bowiem siedzieli też tam młodzi żołnierze Ludowego Wojska za rozmaite przewinienia, m.in. dezercję z bronią w ręku i skazywani byli zwykle na karę śmierci, którą im następnie zamieniano na dożywocie bądź 15 lat. Generał Fieldorf miał pod swoją opieką kilku takich więźniów, których dożył w swojej własnej „wypiski”, bowiem nie mieli oni z nikim kontaktem i żadnej pomocy. Był dla nich dobrodziej, ojcowisk.

Było nas „pod celą” 24 około 30 więźniów, wśród których znajdował się generał SS Sporenberg, zastępca Odilo Globocnika, dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim, a ten kierował zagładą ludności żydowskiej w Generalnej Guberni i dzieł Zamojszczyzny. Był ptk Wenzel z Wehrmachtu, pułkownicy Stefan Biernacki i Adam Jaworski. Tak więc przy jednym stole więziennym zasiadali generałowie: SS i kierownictwa dywersji AK, brygadier Franciszek Skibiński, pułkownicy WP i Wehrmachtu; generałowie świadczyli sobie grzeczności np. przy podawaniu soli, blachy do krojenia chleba, padali słowa: proszę, dziękuję, przepraszam. Aż tu kiedyś ktoś zapytał esesmana Sporenberga: — Co by zrobił, gdyby zeknął się z generałem Fieldorffem w czasie okupacji? — No cóż — odpowiedział bez znużenia powiek. — Zgodnie z prawem niemieckim w najbliższym miasteczku zwołałbym całą ludność z okolicy i powiesiłbym generała Fieldorffa na rynku...

Jednakże rzecz, najbardziej bulwersującą by-

ła to, że obaj skazani zostali na karę śmierci... tego samego paragrafu, „śmierdówkę”, jako wrogowie narodu polskiego! 24 lutego 1953 roku, na tydzień przed śmiercią Józefa Stalina, wyrok na generała Emila Fieldorffa wykonano. Lecz nie chcę przez to powiedzieć, że śmierć Stalina to była cezura, która przywołała władzę do ożreżwienia, oprzytomnienia. To dopiero był ledwo jakiś powiew, który trwał przeciw trzy lata — 1954-1956! Owszem, w naszych celach zaczęli pojawiać się „śledzie” (śledczy) osadzeni za swoje sprawy. Ale też w tym samym czasie wracający z przesłuchań powtarzali nam coraz bardziej zdumiewające i złośliwe pytania, jakie im zadawano. Siedziałem kiedyś, nawet zaprzyjaźniłem się, z panem Krawczyńskim, członkiem WIN, nauczycielem z Poznania, który siedział już po raz drugi. Pierwszy raz był aresztowany w Lublinie, drugi raz w 1940 roku. Wiedział, że nie wyjdzie... Otóż wrócił kiedyś z przesłuchania i w wielkiej skrytości powiedział, że zadawano mu pytania: — Co może powiedzieć o kontaktach... Bolesława Bieruta z... gestapo w czasie okupacji! Ten, wystraszony zapytał jedynie: — Jakże to!, przecież to nasz prezydent. Na co przesłuchujący odrzekł: — Dobrze, dobrze, każdy ma swoją teczkę, my wiemy co w nich jest... System teczek...

— Jak ten system teczek wyglądał?

— Każdy miał teczkę. Ja także miałem. Pierwsze pismo w aktach sądowych zaczynało się od słów: „Po zbadaniu dokumentów personalnych wnoszę o wydanie nakazu aresztowania powyższego” i tu podpis oficera Informacji. Wszystko zaczynało się od teczki.

Często mnie pytają, a i sam zadaję sobie to pytanie: — jaki był i jest mój stosunek do tych,

miast położył się do łóżka. Jest apatyczny, stajemy w szeregu, meldujemy, że jeden jest chorego. Przyjmujący apel klawisz wrzasnął rozwściecony: — Chory! Dawać mi tego chorego! — Wyciągnęli z przyczep naszego byłego „śledzi”, ustawili na lewym skrzydle i wtedy dopiero przyjrzałem się, jak wygląda. Cały był zapuchnięty, pęty. Okazało się, że przetrzymywano go w jakiejś celi z więźniami, którzy go rozpoznali. Stratowano go drewniakami w sposób niemiłosierny. Ledwo go strażnicy obronili. Następnego dnia zabrano go z naszej celi.

Takie były zapowiedzi nadchodzących zmian. Lecz stan ten miał jeszcze trwać przez dwa lata. Co wcale nie oznacza, że po wyjściu na wolność, po całkowitej rehabilitacji, łatwo było się przystosować. Nawet ci, których prace publikowałem kiedyś w „Bellonie”, utytułowani już, znający w życiu i środowisku, nie pomogli. Ba, przeszkadzali, skoro nawet nie mogli być nauczycielem w szkole zawodowej. Piętno pozostało.

Nie mam pretensji do tamtych ludzi, tamtego okresu. Raczej do tych, którzy mnie zwalniali kolejno z pracy, choć byłem zrehabilitowany, odznaczony itd.

Na koniec powiem rzecz nieprawdopodobną. Otóż w więzieniu na Mokotowie przebywał były dowódca SS i policji w Warszawie, SS-brigadeführer Paul Geibel. Trzymali go przy życiu, miał formularze z czasów swojej wszechwładzy im „angażował” facetów niepokornych do „współpracy”. Kiedy ktoś był zażbyt twardy, dawali Geibelowi nazwisko, imię, a on wypisywał odpowiedni formularz „współpracy”, stawiał datę z roku 1940 lub 1941 w zależności od potrzeb... Nie ma chyba lepszego dowodu „winy” jak taki dokument! Większą odpowiedzialnością obarczam np. ludzi kultury, którzy byli faworytami tamtych lat, mieli wygodne gabinety, drukowali i tworzyli klimat, atmosferę do tego, co się wtedy działo, do powstania powszechnej psychozy, podejrzliwości, lęku...

— Był pan już wtedy pisarzem, ale i żołnierzem. Czym było dla pana wojsko?

— Och, do wojska trafiłem nie dlatego, że mam taką mentalność. Poszedłem, bo przed wojną nie miałem innych szans. Szkoła artylerii dawała coś w rodzaju połowy dyplomu politechnicznego. Można więc było dokończyć studia w każdej z politechnik, na wydziale mechanicznym...

— Nie wygląda mi pan na technika.

— W pisarstwie jestem bardzo ścisły. Nie znoszę fabularyzacji. Żeby pisać, muszę mieć konkret. Nie znoszę, jak coś nie ma odpowiednika w rzeczywistości. Mogę pisać o czymś, na co mam dowód.

— Zauważalne są także u pana pewne skłonności do syntezy.

— Tak. Nawet w technice pisania zmierzam do tego, że gdy mam zebranego około 30 proc. materiału, gdy zarysowuje się w jakimś stopniu pewna całość, przerywam zbieranie materiału, by uchwycić syntezę i wtedy dopiero wracam do uzupełnienia materiałów. Gdy podejmuję pracę nad jakimś tematem ze straszną ilością materiału i to różnorodnego, muszę jak najszybciej stworzyć podstawową konstrukcję, aby się to wszystko nie rozpełzło. Tak było np. przy „Bitwach polskiego września”.

— Są u pana twórczości trzy nurty: biograficzny, dokumentalny i historyczny.

— Tak. Zaczęło się od „Baterii”, którą po moim aresztowaniu wycofano na przemiał, lecz potem miała pięć wydań. Od niej rozgałęziały się dwie niejako odnogi — historyczna, której ukoronowaniem, jak dotychczas, są „Bitwy polskiego września”, oraz biograficzna, którą otwiera „Grzegorz Mała”, a jej kolejnym uwiecznieniem będzie uzupełnione niejakie wydanie pod tytułem „Znowu ożywiają kurhany”. Te ostatnie pochodzą z tzw. cyklu wołyńskiego. Pochodzę z tamtych stron i wiem, że losy ludzi mieszkających tam w czasie wojny były bardzo tragiczne. Jestem w posiadaniu ponad siedemdziesięciu relacji świadków i uczestników bolesnych wydarzeń stanowiących dotąd mało znany fragment historii najnowszej...

— Z historycznego nurtu pańskiej twórczości widać się także książki „Bułgaria trzynastu wieków” i „O wolność Bułgarii”.

— Ale przede wszystkim „Opowieść o sprzedanym mieście”, która obecnie została wznowiona nakładem „Naszej Księgarni”. Jest ona dokumentem losu pokolenia Polaków po powstaniu styczniowym!

— W pańskim dorobku uzbierało się już około dwudziestu książek, nie licząc utworów scenicznych, teatralnych. Czy nie kusi pana temat z pańskich najbardziej dramatycznych przeżyć, o których mówiliśmy?

— Nie. Jeszcze nie, choć wielu już zbiło na tym niemały kapitał. Pragnę wprawier wywylaż się ze swoich wcześniejszych postanowień. Jest to monografia września 1939 r. I tę sprawę mam za sobą. W 1972 r. ukazało się moje dwutomowe opracowanie pt. „Bitwy polskiego września”, które obecnie wznowiam nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Drugie postanowienie, a jest nim synteza polskiego wysiłku zbrojnego w II wojnie pt. „Polacy na frontach II wojny światowej” jest wciąż w zawieszaniu, choć już „pracuję” nad tym 18 lat. I tom już edytorsko odpowiednio do druku gotowy zagał gdzieś między wydawnictwem i drukarnią, a do II tomu mają wciąż zastrzeżenia recenzenci WIH, w rezultacie nie wiem, czy kiedy sdać doś do tematu więziennego. Żebym tylko doczekał się wreszcie ukazania mojej syntezy.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
MARIAN ZDROJEWSKI

Można, jeśli się tylko chce i umie.

Smutek w Soczewce

MAREK KOPROWSKI

1.

Niektórzy słysze hasło „Awangarda XXI wieku”, tylekroć bez związku, choć nieodparcie przypomina mi się butne i megalomańskie obwieśczenie z epoki gierkowskiej, iż „program partii — pomostem w XXI wiek”. Później okazało się, że udziałowcy programu roztrwonili pieniądze i materiały, pomostu nie było za co i z czego zbudować, została więc spróchniała, trzeszcząca, niepewna kładeczka, którą następni programiści osłabiali jeszcze bardziej i teraz zachodzi obawa, czy w ogóle będziemy mogli wkroczyć w następną stulecie.

„Awangarda XXI wieku”, to nazwa obozów wakacyjnych dla młodych ludzi z różnych środowisk. Rozpoczęło tę akcję w 1987 roku, w bieżącym mieliśmy więc drugą edycję. Obozy organizowane są w całej Polsce.

2.

Odwiedziłem jeden z nich, Łódź, który rozłożył się w Soczewce, w województwie łódzkim, w Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym Zrzeszenia Studentów Polskich „Ajma-tur” w Łodzi. Turnus, który odwiedziłem, zgromadził młodzież z kilkudziesięciu łódzkich zakładów pracy. Następny przeznaczono dla studentów łódzkiej szkoły artystycznych. Założeniem akcji było wytypowanie najzdolniejszych, najlepiej rokujących młodych ludzi, tych, którzy w XXI wieku właśnie, stanowią będą o losach naszego kraju, jego obliczu politycznym, ekonomicznym, kulturalnym i każdym innym. Założenie założeniem, a życie życiem — o czym za chwilę.

Ośrodek w Soczewce jest wygodny i ładnie położony. Wśród lasów, a więc czyste powietrze i tuż obok jeziora, z możliwością odświeżających kąpiel, choć słyszałem, że woda nie jest zbyt czysta. Niektórzy uczestnicy obawiali się kontaktu z taką wodą i wybierali kąpiele słoneczne.

Powitał nas w ośrodku komendant obozu Jan Pawlacyk, sekretarz partii w ZPDZ „Bistona”, w towarzystwie Grażyny Kurp, działającej w ZL TPPR.

Na szczęście nie trwało to długo. Poszliśmy zwiedzać obóz. Na powietrzu dzieci oglądały wideo-filmy rysunkowe Walta Disneya o kaczorce Donaldzie. W małej kłitce o szumnej nazwie „pracownia komputerowa”, przy pięciu stanowiskach siedziało w milczeniu pięciu młodych mężczyzn, chcących przechytrzyć sprytnie wykombinowane różnorakie gry komputerowe. W programie obozu zabawy te otrzymały nazwę: zajęcia w pracowni komputerowej. Obejrzelśmy jeszcze z wewnątrz domki, w których mieszkali obozowicze — i to wszystko. Używam cały czas słowa „młodzi”, bowiem przeważnie to Łódź kolega dziennikarz z innej gazety odczytywał głośno

nawet pryncypialny młodzien z czarną brodą. Ten to kolega poszedł nagrywać rozmowę z komendantem na magnetofon, a ja wreszcie miałem wolne. I zostałem sam.

3.

Poszedłem więc „w obóz”. Było gorąco, od jeziora dochodziły krzyki i śmiechy, tych, którzy odważyli się kąpać. Upał rozlewny, na terenie obozu cicho i ani żywej duszy. Ale oto siedzi nieruchomo pod płotem dziewczyna, gryzie żdźbło trawy, a wzrok jej wbity w ziemię u stóp swoich. Przysiadam obok i coś zagaduję. Dość chętnie wdaje się w rozmowę. Korzystam więc i wprasam się na herbatę. Ostrzega, że w pokoju są jeszcze dwie dziewczyny, ale to mnie nie przeraża. Idziemy więc. Po drodze pytam, jak trafiła na ten obóz i co myśli o „awangardzie”.

— Jaka ze mnie awangarda? W dwudziestym pierwszym wieku będę się już powoli szkodować na emeryturę. Ja wcale nie jestem taka młoda, niedługo czterdziestka.

— To jak tu trafiłaś? — na obozie wszyscy mówią do siebie „ty”.

— Nikt w moim zakładzie nie chciał jechać, to mnie wytypowali.

Wchodzimy do pokoju. Skromnie urządzony, ale mieszkać można, tym bardziej, że tylko przez dwa tygodnie, tyle, ile trwa turnus. Na jednym z łóżek śpi dziewczyna. Budzi się, zdziwiona moją obecnością, powoli dochodzi do przytomności, też bierze pić herbatę. I ja pytam jak tu trafiła.

— Wyznaczili, to przyjechałam. Proponowali wcześniej innym, ale oni nie chcieli. Mieliby już zapłacone wakacje albo inne plany urlopowe. Na szczęście jesteśmy oddelegowane z pracy na czas trwania obozu, nie tracimy więc urlopów. Tu jest nawet ładnie, tylko strasznie nudno, tak nudno, że często śpię w ciągu dnia, żeby zabić czas.

Niedługo potem wchodzi trzecia, najmłodsza z trójki dziewczyn. I ja wyznaczyli w jej zakładzie, bo nie było chętnych. Wygląda na to, że dobiegła tu i ówdzie „z la-panki”, a nie dlatego, że są najlepsi czy najzdolniejsi. Dyrekcje otrzymały nakaz wydelegowania kogoś na obóz awangardy, wywazywały się więc jak to w zwyczaju: aby odfajkować. Potwierdza to opinie dziewczyn o sobie: żadna z nich nie czuje się „awangardą”, uważają się za całkiem przeciętne pracownice i zwykłe dziewczyny.

Mówi trzecia: — Organizatorzy uważają, że wielką atrakcją ma być dla nas dyskoteka. A tego to my mamy do obrzydzenia przez cały rok. Nie ma tu żadnego planu działania, nudzimy się. Komendant potrafi tylko urządzić zebrania i przemawiać. Dobrze, że choć ludzie są fajni, tylko co z nimi robić?

Dziewczyna podaje chętnie swoje dane. Oprócz najstarszej, bardziej doświadczonej, nie ujawniam ich jednak z powodów oczywistych. Mogłyby mieć kłopoty w swoich zakładach pracy, a przecież nie o to mi chodzi.

Otrzymuję od jednej z nich program obozu. Wynika z niego, że założenia programowe oparte są o trzy podstawowe bloki tematyczne:

1. Blok zagadnień polityczno-gospodarczych.

2. Blok zagadnień dotyczących postępu naukowo-technicznego.

3. Blok zajęć kulturalnych i sportowo-rekreacyjnych.

4.

Z niektórymi uczestnikami obozu spotkałem się w Łodzi, już po powrocie z Soczewki, mam więc pełne rozeznanie na temat realizacji programu. Od razu trzeba powiedzieć, że w całości zrealizowano zamierzenia zawarte w bloku nr 1. A więc: spotkania z przedstawicielami władz centralnych przy okazji wizyty w KC PZPR i Sejmie, spotkania z przedstawicielami władz politycznych i administracyjnych Łodzi i Płocka oraz spotkanie z naukowcami z Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Łodzi.

Z zamierzeń bloku nr 2 nie doszły do skutku: wizyta w Zakładzie Olein Petrochemii Płockiej i w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Dlaczego „awangardzie” XXI wiek bardziej ma się kojarzyć z Komitetem Centralnym niż Instytutem Jądrowym — pozostanie tajemnicą organizatorów.

Z imprez zaplanowanych w bloku nr 3 odbywały się dyskusje, projekcje filmów wideo i jazda konna. Nie zdołano zwiedzić Zamku Królewskiego, choć w Warszawie obóz był, nie udało się również zorganizować rejsu statkiem po Wiśle. Czyżby to było zrzeczywiście zbyt skomplikowane?

5.

Po smakowitym obiedzie miało się odbyć spotkanie młodzieży z ambasadorem Związku Radzieckiego w Polsce, który mówił mi o pierestrojce. I, prawdę powiedziawszy, z tego powodu znaleźliśmy się z kolegą dziennikarzem z innej gazety tego właśnie dnia w Soczewce koło Płocka. Niestety, ambasador nie przyjechał. Zastąpił go radca ekonomiczny ambasady, Aleksander Szpodi. Okazało się, iż jest to zaskakująco młody człowiek (30 lat), przystojny i sympatyczny.

Niestety, wystąpienie jego nie należało do błyskotliwych. Mówił zbyt cicho, skupiając się na drobniactwach i liczbach. Słuchacze oczekiwali czegoś innego. Kręcili się więc i stękali i niejednemu pewnie urwało się z pretekstu, gdyby nie czynny komendant przechadzający się w te i wewte za ostatnim rzędem ławek. Dopiero gdy doszło do pytań, zrobiło się ciekawie. Pytano o sytuację młodzieży w ZSRR, szukano podobieństw i różnic; mówili o braku mieszkań dla młodych u nas i u nich, o emigracji młodzieży, o perspektywach, o ekonomii i gospodarce. Młody radca odpowiadał szczerze, rzeczowo i chętnie. Jest przecież niewiele starszy od przeciętnego uczestnika obozu.

6.

Później już się nic nie działo, wróciłem więc do Łodzi. W telewizji, w dzienniku wieczornym pokazywano migawki z innego obozu „Awangarda XXI wieku”. Tam zorganizowano własne studio telewizyjne i codziennie emitowano 20-minutową audycję dla obozowiczów o sprawach ich obchodzących. Robili to, oczywiście, uczestnicy, własnymi siłami. W krótkiej migawce zauważyć można było dopycie i poczucie humoru młodych awangardzistów. Obóz, na którym byłem, wyróżniał się śmiertelną powagą. Smutek panował w Soczewce.

Można więc, jeśli się tylko chce i umie, odstąpić od sztam-py, schematów, łatwizny. Tym bardziej, gdy poczynaniom organizatorów przygląda się młodzi ludzie, którzy oby nie zechcieli kalkować w XXI wieku wzorców zaprzetych im kilkanaście lat wcześniej.

ze str. 1

nia” Wasył Kocznow wyjaśnia, że wyraz „ladacznicza” (znany również jako „ladaczczaja” na pograniczu litewsko-ruskim) ma związek z bóstwem zgody i pojednania — Ladą. W mitologii polsko-litewskiej Lada symbolizowała też grzeszne uciechy zmysłowe i rozkosze cielesne. A zatem określenie „ladacznicza” dobrze odnosi się do pięknej Heleny argińskiej.

Po tej krótkiej dygresji wracam do interpretacji Jana Kotta. Zwraca on uwagę, że w „Troilusie i Kresydzie” nie ma bogów, których wzywają bohaterowie, i nie ma przeznaczenia. W historii biorą udział ludzie mądrzy i głupi, dobrzy i źli. Analizują siebie i świat, szukają jakiegoś sensu.

„Menelaos jest rogiaczem, Helena dziwką, Achilles i Ajaks — bufonami. Ale wojna nie jest bufonadą. Główną rolę w niej Trojanie i Grecy, zginie w niej Troja. (...) Helena jest dziwką, ale Helena porwana została za zgodą Priama i wódzów trojańskich. Sprawa Heleny stała się sprawą Troi. (...) Helena stała się symbolem miłości i piękna. Helena będzie dziwką dopiero wtedy, kiedy Trojanie zwrócą ją Menelaosowi, kiedy sami przyznają, że jest dziwką i nie warto za nią umierać. (...) Hektor wie wszystko o Helenie i prawie wszystko o wojnie. Wie, że według prawa natury i prawa narodu Helenę należy oddać Grekom. Ze rozsadku każe ją oddać. Ale Hektor wie również, że oddanie Heleny byłoby rezygnacją ze wszystkich wartości, których broni i w które wierzy Troja. (...) Hektor wybiera świątynie; nie jest młodym zapalcielem jak Troilus ani szalonym kochankiem jak Parys. Wie, że Grecy są silniejsi i że Troja może zostać zrównana

Wojna o rogiacza i ladacznicę

z ziemią. Wybiera wbrew racjom rozumu i wbrew sobie. Bo rozum jest dla niego kramarski. Hektor wie, że wybierać musi między fizyczną i moralną zagładą Troi. Hektor nie może oddać Heleny”.

Podoba mi się postawa Hektora. Jest dzielny i szlachetny mężczyzną, człowiekiem honoru. Niestety, tego rodzaju ludzie mają małe szanse. Trudno im znaleźć miejsce w świecie, w którym — jak mówi błazen Tersytes z obozu greckiego — lajdacznie się i mordowanie nigdy nie wychodzi z mody.

Spośród głównych bohaterów „Iliady” najbardziej nie znoszę Achillesa. Stanowczo nie podoba mi się też Agamemnon. Zatańczę między księżem Myrmidonów a wodzem wszystkich Achajów o branki Bryzeidę i Chryzeidę, wygłada żałosnie i niepoważnie. W ogóle moja sympatia jest po stronie Trojan, choć niezbyt atrakcyjną postacią jest chórliwy uwodziciel Parys.

Po dziesięciu latach wojny i dwudziestu latach od opuszczenia domu rodzinnego Helena zrozumiała swój błąd. Kilka razy oskarża się wobec Priama, Hektora i innych Trojan. W rozmowie z Hektorem nazywa siebie suką niegodną, zniewalowaną, noszącą zło. Ma pretensje do Parysa (Aleksandra), że tchórliwie uchyla się od walki. Mówi między innymi:

„Przeze mnie, sukę niegodną, i straszny błąd Aleksandra. / Skazał nas Zeus na niedole ogromną, bo ludzie w przyszłości / Będą nasz los w smutnych pieśniach przekazywali potomnym”.

Helena zaczęła nawet tęsknić za pierwszym małżonkiem, za miastem rodzinnym i rodzicami. Natomiast prawie wcale nie wspomina o swej córce Hermionie. Wymienia ją jednym tchem z powabnymi rówieśnicami.

Helena miała piękne włosy i najpiękniejsze warkocze. Była podobna do kwiatu. Pięknością dorównywała nieśmiertelnym boginiom. Tak mówi „Iliada”. Ofiarowała ją Parysowi Afrodyta.

ta. Dlaczego? Ponieważ obiecała mu w darze „rozwiązłość” (ks. XXIV, w. 30).

Po przegranym pojedynku z Menelaosem i ucieczce z pola bitwy, Parys natychmiast lądował w syplini Heleny. Prosi ją i wspomina: „Pójdź teraz, spójnij na łóżu! Oddajmy się dziś miłości! / Nigdy mi serca — zaprawdę — tak żądza nie omroczyła! / Nawet w dniu, gdy raz pierwszy z Lacedemonij potwornie / Z toba, porwana, płynęłam na łóżyku do żegludze okrętach / I gdy złączyła nas miłość i łożo na wyspie Kranai — / Kocham cię teraz tak samo i słodka mnie żądza porwała”.

Helena początkowo wyrzucała mu tchórzostwo, ale szybko uległa i poszła z nim do łóżka. Prawdopodobnie oboje byli znakomitymi kochankami. Parys może lepiej spisywał się w łóżu małżeńskim niż na polu bitewnym. W przypadku Menelaosa natomiast było chyba odwrotnie.

Niektórym kobietom żaden mężczyzna się nie oprze. Mają nieodpartą czar miłosny. Przodowała pod tym względem bogini Afrodyta. Ale ona — jak podaje Homer — nosiła na pierśsiach zaklętą przepaskę zawierającą urok wszystkich rozkoszy. Były to:

„Powab miłosny, tęsknota pożądań i zwierzeń poufność, / Żłudna podniety, co zwodzą umysły — najrozumniejszych”.

Cudowną przepaskę (dobrym przykładem) pożyła kiedyś Hera. Pragnęła bowiem skusić i uspić Zeusa. I udało się. Bogini usłyszała od władcy Olimpu, że jeszcze nigdy nie odczuwał takiej żądzy do żadnej z bogiń, czy kobiet śmiertelnych. A przecież Zeusz kochał wiele pięknych kobiet: małżonkę Iksjonę — Dię, siostrę Akryzjosa — Danaę, dziewczęce Fojniksa — Europe, Semele, Alkmene, Demeter, Latone i również piękną Here. Powiedziawszy to, ojciec bogów wziął żonę w ramiona i ułożył na młodzieńczej trawie, na lotosach, krokusach i hiacyntach... A potem zmierzony miłością zasnął na szczycie Gargaru.

Zaklęte przepaski istnieją tylko w mitach i baśniach. A co ma zrobić dzisiejsza kobieta, żeby zachować jak najdłużej atrakcyjność erotyczną? Jest to ważne między innymi dlatego, że kobieta osiąga znacznie później niż mężczyzna szczyt popędu płciowego. Mężczyźni odczuwają najsilniejsze pragnienie już między piętnastym a dwudziestym rokiem życia, a kobiety nierzadko osiągają szczyt dopiero koło czterdziestki.

Zgodnie z naturą i logiką kobiety powinny więc wiązać się z mężczyzną młodszym od siebie; a tymczasem jest odwrotnie. Często widzimy starszego pana z młodą dziewczyną. Jest to dla mężczyzny powód do dumy. Natomiast romans starszej kobiety z młodym chłopcem budzi sensację i zgorzniecie. Panuje bowiem obyczajowa dyktatura mężczyzny.

Wyrazem obyczajowej dyskryminacji jest również fakt, że mężczyzna może szczytować się licznymi podbojami miłosnymi, a kobieta nie ma moralnego prawa. Słowo pochodzące od łacińskiego „curvus”, choć funkcjonuje coraz powszechniej w charakterze znaku przestankowego, ma sens jednoznacznie obelżywy. Oznacza kobietę wykończoną, upadłą, zasługującą na potępienie. Niekoniecznie musi to być osoba świadcząca odpłatnie usługi erotyczne. Epitet ten odnosi się także do kobiety uczciwej, która lubi seks i kochała się z wieloma mężczyznami bezinteresownie.

Zupełnie inaczej opinia publiczna traktuje mężczyznę, który „miał” dużo kobiet. Nazywa się go Casanovą lub Don Juanem. I jest to powód do dumy. Każdy taki uwodziciel wzbudza podziw u innych i zaciekawienie kobiet. Uważany jest niemal za herosa.

Jeśli wierzyć słuzącemu Laporello z opery Mozarta, to Don Juan uwiódł aż 2875 kobiet: w Hiszpanii — 1003, w Turcji — 901, we Włoszech — 640, w Niemczech — 231, we Francji — 100. Były wśród nich księżne, hrabiny, baronowe, pokojówki, mieszczańki i włościanki.

Podobnie włoski podrywacz Giovanni Casanova brał kobiety z wszystkich sta-

nów i klas społecznych. W ciągu 40 lat miał w sumie 116 kochanek. Wymienia je po nazwisku w swych pamiętnikach. Ten sławny awanturnik i uwodziciel uważał siebie za ofiarę kobiet — „la dupe des femmes”. Nie był wcale pięknym mężczyzną. Zdobywał kobiety — co ciekawe — pochlebstwami, wytrwałością i hojnością. Po pierwszych niepowodzeniach nigdy się nie zamykował i nie rezygnował. Okazywał przy tym wiele żarliwej miłości.

Nie wszyscy wiedzą, że Casanova opublikował w latach 1775—1778 własny przekład „Iliady” Homera. Ostatnie lata swego burzliwego życia spędził w czeskim zamku Duchowice, gdzie hrabia Waldstein dał mu posadę bibliotekarza. Z usług tej biblioteki (40 tys. tomów) korzystał m. in. Schiller i Goethe.

Skądinąd wiadomo, że każdy mężczyzna chciałby być Don Juanem bądź Casanovą. W naturze mężczyzny leży zdobywanie i tęsknota za poligamią. W znanym dowcipie jeden mówi z żalem do drugiego: — Nie ma żadnych szans przespąć się z wszystkimi pięknościami. A na to jego kolega: — Ale starać się trzeba...

Natura kobiety jest inna, bardziej — że tak powiem — monogamiczna. Jeśli jest kochana i otoczona troskliwą opieką, to jest wierna jednemu partnerowi jak gęś. Właśnie — gęś, a nie kura domowa, która żyje w haremie koguta.

W życiu kobiety gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką, zanim ostatecznie wejdzie w „smugę cienia” (klimakterium), znajduje się taki punkt, w którym qpanowuje ją szaleństwo erotyczne. Poetycko ktoś to pięknie nazwał „demonem południa”. Mężczyźni powiadają, że wtedy bardzo łatwo uwieść nawet najświeższe kobiety, jeśli czują się nie kochane i opuszczone.

Z obserwacji i zwierzeń wielu starszych kobiet wiem, że często są skandalicznie zaniebane pod względem erotycznym. Niektórzy specjaliści doradzają im „sumoobstęgu seksualną”. Na przykład, pani dr Michalina Włoska poleca wibrator do masażu szyi... Inni zaś wzywają do programowej abstynencji. Słynna reporterka Oriana Fallaci powiada:

„Seks jest zajeciem dla portierów. Tak, ponieważ cała krew spływa w dół w kierunku nóg, a my, intelektualiści, potrzebujemy jej w głowie”.

Oba stanowiska uważam za nieporozumienia. Zarówno samogwałt jak i całkowita wstrzeźliwość są czymś nienaturalnym i niezdrowym. Seksuolodzy powinni lepiej napiętnować leniwe mężów i kochanków oraz nauczyć ich sztuki miłości.

Niedawno opowiadał mi ktoś o masowych romansach w ośrodkach sanatoryjnych. Podobno czterdziestoletnie kobiety nierzadko nadrabiają tam stracone seksualnie lata. Bywa i tak, że usłużna sąsiadka zawiadamia zdradzonego męża. I wtedy dochodzi do awantur. Na szczęście nie są to konflikty na miarę wojny trojańskiej, kiedy wojowano o rogiacza i ladacznicę.

Na zakończenie przypomnę, że piękna Helena argińska źle skończyła. Po śmierci Menelaosa rodzina wypędziła ją z zamku. Helena wyjechała na wyspę Rodos i zamieszkała u dawniej przyjaciółki, Polikso. Ale tamta pamiętała, że z powodu Heleny zginął pod Troją jej mąż. Pewnego razu poleciła swym słuzącym zgładzić winowajczynię. Przebrane za Erynie wiązały ją podczas łapieli i powiesiły na drzewie. Rozpusta więc nie popłaca.

MIROSLAWA SARBINSKA



Foto: Grzegorz Galasinski

sce, do niewielkiej wioski, niby w środku Polski, a na końcu świata. W ciągu tyłu godzin można przecież wyłowować (dosłownie) w — na przykład — Delhi.

Nie znając z gazet stanu rodzinnego Marka Marca poszedłem do sołtysa, by dowiedzieć się, czy aby nie przywiła mnie w jego domu czterech opryszków, jego braci, bo skaza bandycka może pokiereszować całą rodzinę. I tu właśnie niespodzianka: jest to porządna rodzina, o czym mówią zgodnie zapytani przeze mnie różni ludzie w Stropkowie. Najstarszy brat odbywa służbę wojskową, wzorowo się z niej wywiązując, a świadczą o tym pochwały i dyplomy. Młodszy jest w zakonie franciszka-

Najpierw jednak sołtysowa, bo sołtysa nie było:

— On już tu nawyczynał. W Zawidzu napadł na kobietę i chciał jej ukradnąć torebkę. Nie udało mu się, bo miała ją przewieszoną przez ramię. Przewrócił babę i za chuligaństwo dostał kolegium. Przysadzili mu 40 tys. złotych i wywieślił orzeczenie do publicznej wiadomości w urzędzie gminnym. Później okradł jednego z mieszkańców naszej wsi. W dniu kradzieży przyjechał z Zawidza taksówką do dziewczyny, z którą sympatyzował, z koszem kwiatów. Kiedy indziej po pijanemu zasnął z zapalonym papierosem i spalił dom. Cud, że przeżył. W maju tego roku ukradł sąsiadowi motocykl, rozbił o drzewo i wtedy uciekł do Warszawy. Matka jak to matka: ratowała go, łagodziła, pokrywała straty. Gdyby wcześniej zajął się nim sąd, może nie doszłoby do tra-

czy, dlaczego zmienia adresy tak odległe w kilometrach, bo chyba z 400 je dzieli.

A w tym arkuszu: od pierwszej klasy do ósmej zachowanie nieodpowiednie lub gorsze nawet, i tylko raz lepsze od byle jakiego. Długośmy próbowali dociec, dlaczego ten właśnie chłopak stał się mordercą. Przecież (jak stwierdził dyrektor szkoły, a jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie w obliczu rzeczy, która już się stała) kłaniał się nauczycielom nawet po skończeniu ósmej klasy, co nie jest — przynajmniej w wioskowych uczelniach — nagminne. Bardzo, aż do podziwu pedagogów, dbał o swego brata (o tego chorego), opiekował się nim, bronił i nie pozwalał na żadną krzywdę. Co prawda, w opinii moich rozmówców, rozbisurmanilo to okropnie tegoż braciśzka, niemniej solidarność godna podziwu.

Dziadek, który nie jest dziadkiem, bo jego syn, a ojciec tych czworga chłopaków nie jest ich prawdziwym ojcem, tylko ojczymem, mówi:

— Kiedy u mnie mieszkali, dzieci, jak to dzieci, psocili i figlowali i żadne nie było lepsze czy gorsze. Przykro mi to mówić, ale mój syn był najgorszy. I za jego przyczyną musieli ode mnie odejść. No bo, gdy mój przyszywan wnuk musiał stawać w mojej obronie, w moim własnym domu...

Ludzie są wstrząśnięci. I brutalnością, gdy ujawniono szczegóły (nade wszystko po telewizyjnym przekazie z wizji lokalnej) i tym, że sprawca jednej z najbardziej odrażających zbrodni w ostatnich latach pochodzi z ich miejscowości.

Matka, co prawda, jest innego zdania. Powiedziała dokładnie tak:

— Przekupili głupiego, naiwnego i młodego chłopaka ze wsi. Panie, to nie on zrobił!

Co oznacza w jej ustach „przekupili”, możemy się tylko domyślać. I chyba się domyślamy. Jest to ból matki. Przy całej brutalności tego bezsensownego mordu — matczyne serce krwawi. Trzeba być matką, by to zrozumieć.

Czyn tu opisywany przeraża tym bardziej, że sprawca to jeszcze prawie dziecko. Ale chyba właśnie dlatego wymaga innego o nim myślenia niż o zaprawionym w bandytyzmie rzeźmieszk. Może się jednak mylić? Nie wiem, co sądzić o człowieku, którego nie widziałem i z którym nie rozmawiałem. Z gazet wyleciały wizerunki prymitywnego chłopaczka. Rodzina, co jasne, a nawet dyrektor szkoły przedstawiają obraz nieco inny. Sprawcy śmierci człowieka, nic nie może jednak usprawiedliwiać.

MAREK KOPROWSKI

PS. Nie należy jednak zapominać, że w czasie gdy pisany był powyższy artykuł Marek Marzec był osobą tylko podejrzaną o dokonanie zabójstwa. Ostateczne zdanie w tej sprawie należy wyłożyć do Sądu.

Dlaczego stał się mordercą?

nów, a najmłodszy chory — i to bardzo poważnie. Matka czterech synów wygląda zdumiewająco młodo, jest szczupła, zgrabna i ładna. Do reportera nastawiona agresywnie. Dłaczają się do niej dwaj obecni w domu synowie, ostre kociuszki, szczególnie ten z wojska (bo jest akurat na urlopie), rozebrany do pasa, umięśniony, prawie by się chciał bić. Ma pretensje, że prasa (która już u nich była — traktując zresztą hasło „prasa” jak coś, co stanowi całość i jeśli już była raz, to po co znów?) wykrzywiła portret ich brata, że już z góry określiła go jako bandziora, że z rodzinnej ich tragedii robi sensację, karmi się oczywistym nieszczęściem matki i syna. Drżący z emocji głos urlopowanego żołnierza zaświadcza o głębokim poczuciu niesprawiedliwości. Młodszy jego brat (ten chory) zbliżył się z wyraźną ochotą przyłapania mi w łeb, co być może by się stało, gdyby nie wrodzona umiejętność zażegnawania konfliktów w zarodku. Matka (i to najbardziej można zrozumieć, bo dziecko dzieckiem, nawet zbrodniarzem) ze łzami w oczach, mimo agresji, znów mówi o tragedii rodzinnej. Jakoś nikomu z nich nie przyszło do głowy, że jednak większą tragedię przeżywa rodzina Jana Strzeleckiego. Jego żona, matka, dzieci, choć nie wiem, czy je ma...

Ponieważ zaczyna być niebezpiecznie, odchodzę po półgodzinie rozmowy, odbytej stojąc, na podwórku, przed skromnym, niewielkim domkiem rodziny Marka Marca.

Wcześniej odwiedziłem sołtysa. I co? Okazało się, że Marek to nieźle ziółko, co potwierdziła późniejsza rozmowa z dyrektorem szkoły i wychowawczynią jego klasy.

gedii. Tu u nas nikt nie może zrozumieć, dlaczego on to zrobił.

Dyrektor szkoły powiada tak:

— Proszę pana, gdy ten Marus stał przed moim biurkiem i spojrzał mi w oczy i nie odwracał tych oczu, nie unikał, a przystojny jest jak diabeł i te oczy niebieskie i tak patrzył tymi ładnymi oczami i kłamał, kłamał... We wszystko bym mu uwierzył. Ale byli świadkowie, którzy widzieli, jak było naprawdę. Wtedy mu się te oczy rozbiegały. A chodziło o to, że strasznie pobili kolegę. W szkole, na każdej przerwie chłopcy się biją, no bo są to chłopcy i muszą się bić. Ale zwykle jest taka bójka niewinna biłajtyka. A on nie to, że zbił, on skatował swego rówieśnika. I wcale nie mówię tak dlatego, że gdy już wiemy o tragedii, to patrzymy na niego jak na łobuza. Już wtedy powiedziałem na radzie pedagogicznej, że jest to niebezpieczny osobnik. Bo w oczy patrzy i wygląda jak anioł, a w tej a-nielskiej powłoce diabeł, niebezpieczny diabeł, tak to dosłownie nazywałem.

Słucham pana dyrektora, bardzo sympatycznego zresztą człowieka, i czuję, że jakaś sympatia do Marka się w nim tli. Nie tylko ja to czuję, bo wychowawczynie klasy mówi:

— Panie dyrektorze, niech pan pokaże jego arkusz ocen.

No i dyrektor wyciąga arkusz ocen, na którym pierwsze wpisy datują się jeszcze z podwójbrzyjskiej szkoły podstawowej, bo z tamtych stron pochodzi Marzec. Stamtąd przyjechali do Stropkowa, tu mieszka ojciec dziadek, zresztą nikt nie musi się nikomu tłumaczyć.

Sherlock Holmes po łódzku

Nie tak dawno łódzka popołudniówka zelektryzowała wszystkich Czytelników wiadomości o panu, który zamierza założyć prywatne biuro detektywistyczne. Niezależnie od praktycznej realizacji tych ambitnych planów taka firma już w Łodzi istnieje... Jest to zarejestrowana w sądzie od lipca bieżącego roku spółka z ograniczoną odpowiedzialnością o wdzięcznej nazwie „Finezja”. O swej — miejmy nadzieję — finyzyjnej pracy zgodzili się porozmawiać z reporterem „Odgłosów” trzech pomysłodawcy i założyciele spółki: BOGDAN MACZYŃSKI (aktualnie prezes „Finezji”), JANUSZ BŁONSKI i MAREK MACHCIŃSKI.

— Uchylmy od razu rąbka tajemnicy i przyznajcie się panowie, iż jesteście byłymi milicjantami...

— Oczywiście, taką firmę mogą prowadzić tylko zawodowcy, za jakich bez fałszywej skromności możemy się chyba uważać. Tak jest zresztą na całym świecie, również w Polsce, kilka już działających biur detektywistycznych prowadzą byli milicjanci. Jeśli już ma być finezja...

— Zgoda. Czymżeś w pierwszym rzędzie zajmiesz się grono milicyjnych rutyniarzy?

— Zakres działania naszej spółki jest bardzo szeroki, choć powiedzmy od razu wyraźnie, iż jest to plan docelowy, początkowo rzecz jasna nie we wszystkich dziedzinach będziemy oferować swe usługi. Przede wszystkim proponujemy przewóz pieniędzy...

— Po napadzie w Otwocku chyba wzrosło zapotrzebowanie na tego typu usługi?

— To prawda, a różnego typu spółdzielnie, małe firmy państwowe nie mają własnych pracowników dozorcy. Tymczasem, zgodnie z obowiązującymi przepisami, wpłaty do banku, od pewnej sumy mogą dostarczać wyłącznie „fachowcy”.

— Od jakiej sumy?

— No, od dużej, powiedzmy ogólnikowo. I tu chcemy wszystkim dbającym o swe tak zwane utargi pomóc. Zabiegamy, jako firma, o pozwolenie na broń, co właśnie przy przewozie pieniędzy będzie niezbędne. Mamy w planach specjalne przystosowanie „Nysy”, we wnętrzu której znajdzie się nawet pancerny sejf do transportu kosztowności, różnego typu wartościowych przedmiotów. I my naprawdę wiemy jak to trzeba zrobić...

— Nie wątpię. Już wiemy że oprócz pieniędzy gwarantować będziecie też bezpieczny przewóz różnego rodzaju przesyłek. Cóż jeszcze oferuje „Finezja”?

— Dużą grupę usług określonych ramowo jako zabezpieczenie przed włamaniami. Myśl-

my tu o instalowaniu urządzeń antywłamanowych (w przyszłości również o własnej ich produkcji...), ale także zająć się chcemy poradnictwem związanym z instalowaniem, zapewniającym też pełną obsługę urządzeń zabezpieczenia mienia — z testowaniem, pośrednictwem i serwisem włącznie. Jeśli już o specjalnych zamkach, sztyrach i alarmach mowa to proponujemy naszym klientom także... awaryjne otwarcie uszkodzonych bądź zablokowanych zamków w drzwiach czy sejfach.

— Czy u tym celu zatrudnicie jakiegoś emerytowanego włamywacza? Geniusza „paświka”?

— Nie ma potrzeby. Mamy takiego fachowca, z naszej branży; zapewniamy, że jest lepszy od wielu notowanych „złotych rączek”.

— Wiem, że „Westa”, czyli wchodzący ostro na rynek rewalacyjny konkurent PZU — również działalnością „Finezji” jest zainteresowana?

— Owszem, prowadziliśmy już wstępne rozmowy. Proponujemy bowiem także ochronę różnego typu imprez, wystaw, zawodów sportowych. I właśnie „Westa” chce nawiązać z nami współpracę przy „obstawie” choćby wernisaży czy imprez typu „Interfashion”.

— Cóż jeszcze z bogatego zbioru ofert waszej spółki zaprezentujecie dziś Czytelnikom „Odgłosów”?

— Warto może wspomnieć, że będziemy wynajmować kierowców wraz z ochroną, zapewniamy także chcemy szkolenie i instruktaż w zakresie samoobrony. Zapewniliśmy już sobie udział w charakterze instruktorów byłego mistrza kraju w boksie i wicemistrza w karate.

— Przy tak szerokiej gamie propozycji spółki „Finezja” pięciu członków—założycieli musi mieć do współpracy grono fachowców z najróżniejszych dziedzin. Kogo poszukujecie, kto byłby wam przydatny?

— To nie jest tak, my nie prowadzimy naboru sportowców ani nie będziemy ogłaszać się, iż poszukujemy pracowników o superumiejętnościach. Powiedzmy wyraźnie — rekrutujemy pracowników niemal wyłącznie spośród starych kumpi i znajomych, ludzi z branży, doskonale nadających się do pracy w firmie detektywistycznej, a przy tym — nam znanych, wiarygodnych, sprawdzonych.

— Czy będziecie poszukiwali osób zaginionych?

— Jeśli tylko będą takie zgłoszenia, również i w tej robocie pomagając będziemy kolegom z milicji. A pamiętamy wszyscy z własnej praktyki, jak sprawy poszukiwania osób zaginionych są zwykle zawiłane, pracochłonne, jak wielką machinę trzeba czasem uruchomić, by

znaleźć na przykład nastolatka, która bez wiedzy rodziców „prysnęła” z chłopakiem nad morze. My sobie z tym damy radę.

— A tropienie nieuczciwych małżonków, śledzenie niewiernych narzeczonych, czy choćby odkrycie garści intymnych szczegółów o ewentualnych przyszłych żonach dla ogłaszających się w gazetach „młodzieńców” z krajów zachodnich. Czy i takie proponujecie usługi?

— Trudne pytanie. Zasadniczo i te sprawy będą nas interesowały, ale tam, gdzie w grę wchodzić będą najbardziej intymne sprawy człowieka działającego będziemy z dużą rezerwą i delikatnością. Może i czasem będzie trzeba odmówić współpracy...

— Czy wyjeżdżający na wakacje zbieracz antyków bądź przeciętny „ciulacz” złotych zębów i „świniek” może liczyć na waszą pomoc?

— Oczywiście, jeśli tylko zęby zostawi w domu. A nieco poważniej: możemy zająć się pilnowaniem mieszkania i pozostawionych tam precjozów, przy czym właściciel wcale nam nie musi wskazywać gdzie je przechowuje.

— Napiszmy teraz wyraźnie, że gwarantujemy swoim klientom także...

— „gwarantujemy pełną dyskrecję, czyli całkowitą anonimowość. To chyba rozumiecie. Co więcej: nie będzie żadnej biurokracji: papierków, ankiet, dokumentów. Będzie nas interesowała wyłącznie konkretna sprawa.

— Pięknie, pięknie. Od kiedy rozpoczynamy działalność i gdzie można was szukać?

— Mówiąc najkrócej — radzimy śledzić gazety, rubryki ogłoszeń. Zgodnie z literą prawa już istniejemy, ale czekamy jeszcze na formalność, czyli zezwolenie Wydziału Przemysłu i Handlu Urzędu Miasta, dogadujemy także sprawę firmowego lokalu, który będzie się mieścić na Widzewie. To wszystko już długo nie potrwa. A gdy ukażą się w gazetach nasze ogłoszenia, będzie to znak, że ruszyliśmy pełną parą...

— Słyszałem jednak, że już były pierwsze próby i propozycje...

— Owszem, kilkanaście, jakoś ludzie dowiedzieli się o nas prywatnymi kanałami...

— Cóż to były za sprawy? Ciekawe choć?

— Ciekawe, ale wie pan, to wszystko co mogą powiedzieć. Tajemnica zawodowa...

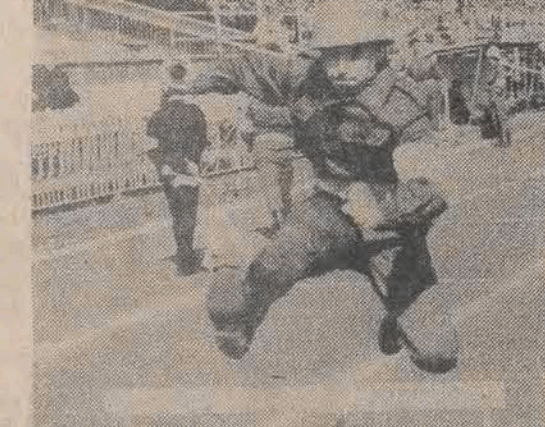
— Zycząc więc łódzkiemu Sherlockowi Holmesowi samych fascynujących zajęć, finyzyjnych akcji i błyskotliwych rozwiązań detektywistycznych zagadek.

— Dziękujemy. Sztyl firmy — zobowiązuje...

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Strazacy

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Lepiej być młodym, zdrowym i bogatym niż biednym, starym i chorym — to popularne powiedzenie nie budzi wątpliwości. Ale czy młodość, zdrowie i pieniądze wystarczają do szczęścia, albo przynajmniej zadowolenia z losu — albo na odwrót: czy każdy, komu brakuje zdrowia, majątku a młodość ma dawno za sobą, musi być ze swego życia niezadowolony na tyle, żeby chcieć je odmienić — na te pytania nie ma jednoznacznej odpowiedzi i każdy musi ją sformułować sam, na własny, wyłączny użytek. Jakże często bywa, że to, co wydaje się dobre wszystkim (no, prawie wszystkim) wcale dobre nie jest dla tego, któremu życiowe otoczenie pragnie ulżyć w ciężkiej doli. I właśnie Dziadek, który na to co dobre, a co złe miał inny pogląd niż jego sąsiedzi, przypłacił życiem swoją niezależność.

Dziadek był stary — w tym roku skończył 90 lat. Zdrowy też nie był — kto w tak godnym wieku może być całkiem zdrowy — ale i choroby też go nadmiernie nie dręczyły, gdyż w przeciwnym wypadku nie doczekałby dziewięćdziesiątki. Żył sobie z dnia na dzień, przysmarując nieco głodem, sam w niewielkim, lecz we

dził Dziadek, a że emerytura była ze starego potrfela i dzielił się nie bardzo było czym, wybrał się do Urzędu Pocztowego, skargę na listonosza złożył i zażądał, aby pieniądze zostawił mu na poczekanie, skąd będzie je sam odbierał.

Życzenie obywatela to dla urzędu prawie rozkaz — czekała więc emerytura miesiąc, drugi i trzeci. Nikt się po nią nie zgłaszał, trzeba było odesłać. W końcu ZUS wstrzymał wypłatę świadczeń, których nikt nie odbierał.

Rosły stopy nie zapłaconych rachunków za światło, jeden i drugi monet przysłała elektrownia, w końcu przyszedł monter i zdjął licznik. W mieszkaniu nie było więc prądu, ale Dziadek dużo spał i nie bardzo mu to przeszkadzało.

Przeszkadzało jednak sąsiedom, tym bardziej, że z mieszkania dołatywały zaczęły nieprzyjemne zapachy, a na ścianach niższego piętra pojawiły się zaciekli. To w mieszkaniu Dziadka zepsuła się instalacja wodno-kanalizacyjna. Nie zgłaszał tego nigdzie, nie domagał się naprawy. Sąsiedzi po raz kolejny udali się do pomocy — znaleźli ją. Przybyła ekipa z administracji, dopływ wody do mieszkania odcieła, mieszkaniem niższych kondygnacji przestało grozić zalanie. Teraz

spacer nie wychodził, nie pewnie nie jadał, bo przecież w domu nic nie było.

— Nie może tak być — mówili znowu sąsiedzi — do domu starców zabrac człowieka trzeba, albo do szpitala, chce czy nie chce, ktoś się nim opiekować musi.

Po raz kolejny do opiekuna społecznego poszli. Do Dziadka przyszedł lekarz — psychiatra. Zbadał staruszkę i żadnych odstępstw od normy psychicznej, poza zmianami miażdżycowymi, typowymi dla wieku, nie stwierdził. W każdym razie nie, co mogłoby być podstawą do wnioskowania o ubezwłasnowolnienie. Nie można więc było siłą przenieść go do Domu Opieki Społecznej — a na dobrowolne przeniesienie nie wyrażał zgody. Chciał już do końca pozostać w swoim mieszkaniu — bez względu na kuszającą wizję gotowanych posiłków i centralnego ogrzewania w domu starców. Protestował nie tak gwałtownie jak kiedyś. Po wtargnięciu pracowników administracji, po przymusowych naprawach, po wyrzuceniu śmieci, które jednak były jego śmieciami, stanowiącymi dla niego jakąś wartość — nie wyrażał zgody na zmianę miejsca pobytu. Wystarczyłoby to zapewne pracownikom opieki społecznej. Nie wystarczyło sąsiadom.

Spadek czeka w depozycie na sprawę sądową (zwykle w takich przypadkach postępowanie), mieszkanie, w którym zostało parę niedźnych gratów i bezwartościowych osobistych rzeczy, czeka na remont i następnego lokatora. I tylko Dziadek już nie ma.

— Nie trzeba było tego robić — mówią sąsiedzi. — Przecież my mogliśmy się nim na zmianę opiekować, przecież miał za co żyć. Może tutaj u siebie pożyłby sobie jeszcze trochę?

Pewnie by pożył?

A może — przez ten właśnie przypadek — dożył swego kresu tak, jak sobie życzył inny Staruszek, który miał dość silnej woli, aby nie pozwolić się sobą zająć? Bo i w tym przypadku interweniowali sąsiedzi. Domagali się też sąsiedzi od różnych instytucji energiczniejszego zajęcia się losiem parę starych ludzi, którzy bynajmniej nie chcieli ingerencji we własne życie. A już zwłaszcza nie życzyli sobie zamieniania własnego mieszkania na ciepłe miejsce w domu starców. Wreszcie, po kolejnych interwencjach, trafili do niego na skutek użytego podstępów. Powiedziano im, że zostana na jakiś czas umieszczeni w sanatorium. Wzięli więc trochę osobistych rzeczy i przenieśli się do „sanatorium” w Łodzi — które okazało się domem opieki. Tam w bardzo krótkim czasie Staruszkę zmarła, a Staruszek — po prostu uciekł. W jednym ubraniu, nie zabierając nic ze sobą. Nie wrócił do mieszkania, może bał się, że znów się nim przymusowo ktoś zaopiekuje.

Zajął starą szopę na Złotynie, z blachy i zmurszałych desek. Jest tam jakiś piec, jakieś wyko — ale przez sufit widać gwiazdy.

— Jak się pan czuje, Staruszek — pyta odwiedzający go czasem pracownik socjalny — co panu potrzeba?

— Nic nie potrzeba — odpowiada Staruszek. — Dobrze mi tu, pod jabłonią podziemię, na słoneczku. Robię to, na co mam ochotę.

Jeszcze jest ciepło, jest słoneczko, ale czy Staruszek pod swoją ulubioną jabłonią przeżyje zimę? Może i nie, nie powód to jednak, aby siłą poprawiać mu warunki.

Dobrze, że są ludzie, którzy — wbrew dość powszechnej zniechęceniu interesują się losiem innych nie z urzędu, lecz po prostu z wewnętrznej potrzeby niesienia pomocy. Nie zawsze jednak to, co — naszym zdaniem — jest dobre, dobre jest także zdaniem tych, którym chcemy pomóc. I ich pogląd powinien liczyć się przede wszystkim. Złazł więc, jeśli jest to pogląd na to, jak przeżyć swoje ostatnie dni. Może się przecież zdarzyć, że zamiast zdrowym i bogatym ktoś woli być biednym i chorym. Nawet jeśli trudno to w uwierzyć — każdy z nas być może przekona się o tym za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt.

Nie uszczęśliwiać na siłę!

Śmiertelna kąpiel dziadka

TERESA JERZYKOWSKA

wszystkie urządzenia wyposażonym mieszkanku na osiedlu Montwiłła-Mireckiego. Żony ani dzieci nie miał nigdy, dalsza rodzina, mieszkająca gdzieś w Polsce nie interesowała się nim — a może zresztą to Dziadek nie interesował się rodziną?

Czasem jakaś sąsiadka przyniosła talerz ciepłej zupy, kiedy indziej znowu wybrał się do baru mlecznego, ale obiadu nie zjadł — wrócił i z połowy drogi. Może zapomniał o obiedzie, a może właśnie znalazł i postanowił niezwłocznie odnieść do mieszkania kolejnego eksponat do swojej kolekcji? Zbierał bowiem najdziwniejsze rzeczy: paplery, tekturowe pudełka, kawałki złomu i inne, wyrzucone przez ludzi rupiecie.

Z czego żył — trudno dociec, nie pobierał bowiem emerytury.

— Nie może tak być — mówili sąsiedzi — żeby człowiek na starość nie miał żadnych środków do życia. Państwo ma obowiązek coś na to poradzić.

I dziwili się, że państwo nie nie radzi, do opiekuna społecznego chodzili, do PKPS i jeszcze gdzie indziej żeby Dziadkowi jakieś parę groszy zapomogli przyznać, opiekunkę „z urzędu” załatwić.

Nie wiedzieli ludzie — bo i skąd mieli wiedzieć — że Dziadek pieniądze po prostu nie chce. Kiedy w odpowiednim wieku zakończył wieloletnią pracę na kolei — otrzymał jak wszyscy, emeryturę. Regularnie i punktualnie przynosił ją każdego miesiąca listonosz. Najpierw było zwyczajnie — jak u innych emerytów, potem jednak listonosz okazał się typem podejrzany. Zamiast oddawać pieniądze co do grosza — i ewentualnie czekać na napiwek — część oddawał, a część chował do własnej kieszeni. Tak przynajmniej twier-

dził Dziadek, a że emerytura była ze starego potrfela i dzielił się nie bardzo było czym, wybrał się do Urzędu Pocztowego, skargę na listonosza złożył i zażądał, aby pieniądze zostawił mu na poczekanie, skąd będzie je sam odbierał.

Życzenie obywatela to dla urzędu prawie rozkaz — czekała więc emerytura miesiąc, drugi i trzeci. Nikt się po nią nie zgłaszał, trzeba było odesłać. W końcu ZUS wstrzymał wypłatę świadczeń, których nikt nie odbierał.

Rosły stopy nie zapłaconych rachunków za światło, jeden i drugi monet przysłała elektrownia, w końcu przyszedł monter i zdjął licznik. W mieszkaniu nie było więc prądu, ale Dziadek dużo spał i nie bardzo mu to przeszkadzało.

Przeszkadzało jednak sąsiedom, tym bardziej, że z mieszkania dołatywały zaczęły nieprzyjemne zapachy, a na ścianach niższego piętra pojawiły się zaciekli. To w mieszkaniu Dziadka zepsuła się instalacja wodno-kanalizacyjna. Nie zgłaszał tego nigdzie, nie domagał się naprawy. Sąsiedzi po raz kolejny udali się do pomocy — znaleźli ją. Przybyła ekipa z administracji, dopływ wody do mieszkania odcieła, mieszkaniem niższych kondygnacji przestało grozić zalanie. Teraz

spacer nie wychodził, nie pewnie nie jadał, bo przecież w domu nic nie było.

— Nie może tak być — mówili znowu sąsiedzi — do domu starców zabrac człowieka trzeba, albo do szpitala, chce czy nie chce, ktoś się nim opiekować musi.

Po raz kolejny do opiekuna społecznego poszli. Do Dziadka przyszedł lekarz — psychiatra. Zbadał staruszkę i żadnych odstępstw od normy psychicznej, poza zmianami miażdżycowymi, typowymi dla wieku, nie stwierdził. W każdym razie nie, co mogłoby być podstawą do wnioskowania o ubezwłasnowolnienie. Nie można więc było siłą przenieść go do Domu Opieki Społecznej — a na dobrowolne przeniesienie nie wyrażał zgody. Chciał już do końca pozostać w swoim mieszkaniu — bez względu na kuszającą wizję gotowanych posiłków i centralnego ogrzewania w domu starców. Protestował nie tak gwałtownie jak kiedyś. Po wtargnięciu pracowników administracji, po przymusowych naprawach, po wyrzuceniu śmieci, które jednak były jego śmieciami, stanowiącymi dla niego jakąś wartość — nie wyrażał zgody na zmianę miejsca pobytu. Wystarczyłoby to zapewne pracownikom opieki społecznej. Nie wystarczyło sąsiadom.

Zadzwonili do naszej redakcji.

— Zrobicie coś — mówiła sąsiadka — stary człowiek żyje w nędzy, sam, nikt nie interesuje się jego losem.

Po wyjaśnieniu sprawy w Ośrodku Opieki Społecznej nie podjęliśmy interwencji, uważając, że każdy ma prawo umierać tak, jak sobie życzy — o ile w ogóle jakikolwiek wybór losu mu pozostawia.

Niezadowoleni sąsiedzi zwrócili się do telewizji. Nedza i balagan, panujący w mieszkaniu Dziadka na ekranie telewizyjnym robiły wstrząsające wrażenie. Telewizja to potęga — odpowiednie instytucje po emisji programu rzuciły się więc ze zdwojoną energią do opieki nad Dziadkiem. Tym razem już na siłę, bez pytania o zgodę.

Wezwano lekarza, zdecydowano o przewiezieniu Dziadka do szpitala. W asyście sąsiadów przygotowywano go do wyjazdu. Kiedy pielęgniarzka otworzyła szafę, aby poszukać piżamy — wypadła paczka. Oczom zdumionych sąsiadów ukazała się jej zawartość — złoty zegarek w kilku grubych kopertach, biżuteria, spora ilość dentystycznego złota. Wstępny szacunek zawartości szafy niedarza — to kilka milionów złotych. Czy zapomniał o tym, czy też uważał, że „czarna goźdźdź”, na którą skarb był schowany, jeszcze nie nadeszła — nie dowiemy się już nigdy. Przeliczone, opisane, zapakowane — powodowały złote przedmioty do depozytu.

Dziadek — apatyczny, przeżarty kolejnym pogwałceniem jego osobistej wolności, brutalną ingerencją w życie, jakie prowadził z wyboru, nikomu przecież tym sposobem nie czyniąc krzywdy — pojechał do szpitala.

Tam — po załatwieniu wstę-



Foto: Grzegorz Gajdański



Mówi: Ryszard Michalski

— Skąd wziął się pan w lotnictwie?

— Zaczęło się od modelarstwa. W rodzinie nie było żadnych lotniczych tradycji. Potem było szybownictwo, a od 10 lat pracuję zawodowo jako pilot w Łódzkim Aeroklubie. W sumie już 16 lat jestem związany z lotnictwem.

— I dopiero teraz mistrzostwo świata w lotach rajdowo-nawigacyjnych.

— Lotnictwo sportowe można tak długo uprawiać, jak na to pozwala zdrowie, więc jeszcze sporo czasu przede mną. Startowałem w mistrzostwach świata, Europy i Polski. U nas się mówi, że trudniej jest zdobyć mistrzostwo Polski niż mistrzostwo świata.

— Skoro już jest pan mistrzem świata, to może i przyjdzie mistrzostwo Polski. Do tej pory startował pan w lotach precyzyjnych, a teraz w lotach rajdowych. To był debiut i powiodło się. Jak to przyjęli koledzy?

— U nas obowiązuje taka zasada, wprowadzona przez, nieżyjącego już niestety, trenera Zdzisława Dudzika, że nieważne jest kto zdobywa medal, ale ważne jest, aby to był Polak. I my staraliśmy się tę zasadę z powodzeniem wcielić w życie. Zdobywamy to, co jest do zdobycia.

— A jak będzie dalej? Rosną następcy?

— Z tym gorzej. W Polsce sportem lotniczym zajmuje się około 200 osób i jakoś chętnych nie ma tak wielu, jak byśmy chcieli.

— Taki trudny sport?

— Chyba nie to jest powodem. Zaczynałem latać w 1973 roku i wtedy w grupie chłopców uczących się latać było po 30 osób. Dziś nie ma już tak licznych grup. Jest mniej chętnych i szybciej się zniechęcają. Poza tym lekarze skreślają sporo chętnych.

— Zły stan zdrowia?

— Najczęściej wady kręgosłupa. Ale wśród tych, którzy latają jest wielu obiecujących. Nie będzie więc źle.

— Sport lotniczy — jak wiem — nie daje takich profitów, jak niektóre inne dyscypliny. Może to jest powodem mniejszego zainteresowania tą dziedziną.

— My nie latamy dla pieniędzy.

— Ciekawam, ile pan dostał za mistrzowski tytuł?

— Tytuł ten zdobyliśmy w Włodzimierz Skalkiem z Częstochowy. Dostaliśmy razem milion złotych. Po pół miliona na osobę.

— I co pan robi z tą zawrotną sumą?

— Przede wszystkim jeszcze jej nie dostałem. Jak dostanę, to podadaję długie, bo właśnie kupilem kolorowy telewizor.

— W Łodzi, kiedy odbywały się mistrzostwa Europy w lądach precyzyjnych, każdy z was miał inny, bo swój własny dres. Jak było teraz?

— To się trochę zmieniło. W ubiegłym roku po raz pierwszy dostaliśmy kadrowe dresy. Odnowiono nam garnitur, a niektórzy dostali nowe. Moja marynarka była nieco za ciasna, a rękawy miały nieco za długie, ale spodnie były dobre. Buty i koszulki kupiliśmy już za własne pieniądze.

— I być może dostaliście jeszcze jakieś pieniądze na te mistrzostwa?

— Owszem. Dostaliśmy od Komitetu do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej pieniądze na wpisowe. Też po raz pierwszy.

— Kto płacił przedtem?

— Różnie. Trochę Aeroklub PRL, trochę sponsorzy — miłośnicy lotnictwa. W tym roku za paliwo płacił Aeroklub, a część kosztów pokryli Anglicy, którzy trenowali w Polsce, między innymi w Łodzi i Piotrkowie Trybunalskim.

— Jesteście na bóg zawodowo związani z lotnictwem?

— Tak. Część z nas pracuje w Locie, a część w aeroklubach, tak jak ja. Włodzimierz Skalki, Wacław Nyc, Wacław Wiecezorek. Wynikają z tego pewne kłopoty. Koledzy, którzy pracują w Locie nie otrzymują zwolnień na zawody i jadą tam w ramach urlopow albo biorą urlopy bezpłatne.

— Inni sportowcy takich kłopotów nie mają i nie mają też tytułu medalu i tytułów. Ale proszę mi powiedzieć, jak długo jeszcze można startować na sławetnych „Wilgach”?

— Jeśli nie zostaną opracowane takie regulaminy, którym „Wilgi” nie sprostają, to chyba długo. Nasz przemysł samolotowy nie jest zainteresowany w konstruowaniu lekkich sportowych samolotów. Również i te, które robi teraz, wykonuje niedbale. Odebraliśmy w listopadzie 1987 roku 5 „Wilg” i wszystkie były z fabrycznymi usterkami. Wytwórnia niechętnie przyjmowała reklamacje.

— Jedną z wad „Wilgi” jest to, że dużo zużywa paliwa.

— Tak. Ma ustaloną normę 50 litrów na godzinę, ale podczas lotów konkursowych potrafi wypalić i 70 litrów.

— A inne wady?

— Zasadnicza, że nie lata ze zgaszonym silnikiem. Próbowano wprowadzić taką konkurencję, w której trzeba było przelecieć pewien odcinek przy silniku pracującym na minimalnej mocy. „Wilgi” niestety mają tę wadę, że gdy silnik straci odpowiednią moc, to samolot spada niczym żelazko.

— Wasze sukcesy sportowe są przecież najlepszą reklamą przemysłu lotniczego. Czy nikt tego nie rozumie?

— Jak widać, nie. Wszystkie nasze sukcesy osiągamy na „Wilgach”, ale nie myślę o nowych konstrukcjach.

— A świat nie stoi w miejscu. Może się okazać, że mamy znakomitych pilotów, którzy nie będą mieli na czym latać.

— Nie chciałbym, aby do tego doszło.

— Rozumiem. Porozmawiajmy więc o tym, jak to było w Anglii. Jaką rolę pełni pilot — wiadomo. Jaką nawigator?

— Musi wyrysować pierwszy odcinek trasy w 2 minuty. Jeśli się pomyli — samolot leci w innym kierunku. Zdarzało się to, ale nie Polakom. Anglicy zresztą robili różne pułapki, na przykład językowe, przygotowali trudne trasy. Po trzech konkurencjach, kiedy już sądził się, że to koniec i wszystko jest dobrze, rozluźniliśmy się. Na lotnisku okazało się, że jest też czwarta konkurencja. Nie wypadliśmy w niej najlepiej.

— Pewnie sądzili, że są to trudności dla obcych, a wysłarzę sobie z nimi poradę. Jak wiadomo zajęli trzecie miejsce. W czym im zresztą sporo pomógł Polacy, jako że wspólnie z Polakami trenowali.

— Nie tylko. Tak się złożyło, że wylosowali numery po naszych i latali nam na ogonie.

— A wy co na to?

— Raz udało się nam „wpuścić Anglika w maliny”. I to w Anglii.

— Co teraz pana czeka?

— Chciałbym zdobyć mistrzostwo Polski.

— Życzymy więc tego i gratulujemy sukcesu!

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Świt igrzysk

Wspominam czas
gdy Ektos z Elidy
Kleostenes z Pisy
Lkurgos ze Sparty
dłonie na słowa natchnione
kładli w cieniu oliwki.

Jedynie lutnia Homera
mogłaby światu wyśpiewać
wielkość chwili ezowieckiej
równiej szczytowi Olimpu.
Oto przenika ziemię
Półka niosąca Eirene
ścina wojenny płomień
poświęca pielgrzymi kł.

Zewsząd gdzie grecka mowa
najmniejszym listkiem drzy
do matki igrzysk — Olimpii
wyrusza helleński ród
by wypić puchar wzruszenia
i ujrzeć jak rodzi się heros
z olimpijskiego snu.

Łódź 19-II-1984 r.

Półka z książkami

PRZYGODY GENERAŁA

Gen. dyw. Józef Kuroplewski w swojej nowej książce noszącej dość ironiczny tytuł „Nieprzewidywane przygody”, pisze tym razem o polskim o-kresie „biedów i wypaczeń”, kiedy obok słynnych dowódców (J. Kirchmayer, St. Tatar, S. Mossor) znalazł się także na ławie oskarżonych za udział w szpiegostwie, dywersji, działalności kontrrewolucyjnej i kontaktach z imperialistami. Gen. Kuroplewski za „popętnienie” tych zbrodni został skazany na karę śmierci. Odsiedział 5 lat i 8 m-cy, by w końcu wyjść „z braku dowodów winy”. Jest to więc książka niezwykle ciekawa, bo traktująca o naszym, polskim czasie „polowań na czarownicę”.

Józef Kuroplewski: Nieprzewidywane przygody. WL 1983. Str. 390. Cena 750 zł.

RZECZ O HETMANIE

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza od jakiegoś czasu wydaje cykl opowieści faktograficznych, w których nie tyle przypominają ludzi i wydarzenia z naszej historii, ile przedstawia tych ludzi i te wydarzenia w nowym, popularyzatorskim, ujęciu. Ostatnio ukazała się rzecz o hetmanie i wielkim kanclerzu koronnym Stanisławie Żółkiewskim, stawianym za życia, owianym legendą po śmierci. Książka stanowi ciekawy wstęp do niezwykłego Polaka, a jej treść uzupełniają liczne reprodukcje miniatur, litografii, obrazów i portretów.

Leszek Podhorodecki: Stanisław Żółkiewski. LSW 1983. Str. 320. Cena 750 zł.

OPOWIEŚCI FANTASTYCZNE DOSTOJEWSKIEGO

Wielkość ludzi wie, że Fiodor Dostojewski to pisarz drążący niezgłębione wnętrza człowieka, to Dante oprowadzający nas po piekle ludzkich namiętności. Natomiast jego twórczość z zakresu fantastyki pozostaje w cieniu „Zbrodni i kary”, „Braci Karamazow” czy „Biesów”. A przecież te krótkie opowiadania są dla twórcy Dostojewskiego równie ważne jak i wspomniane powyżej dzieła. Pisał je w swoim „Dzienniku pisarza”, a więc są one jego reakcjami na zdarzenia zachodzące w świecie oraz na własne obsesje i lęki. Przekład Marii Leśniewskiej.

Fiodor Dostojewski: Opowiadania fantastyczne. WL 1983. Str. 196. Cena 350 zł.

Oprac.: E. IW.

Akcja najnowszej powieści Jerzego Wawrzaka rozgrywa się w ciągu grudniowego tygodnia roku 1981 — od 9 grudnia (środa) do 15 grudnia (wtorek). W dniach tych, jak w soczewce, skupiają się polskie losy. Sclerają się poglądy, linie podziału przebiegają częstokroć wśród rodzin. Wawrzak ukazuje rozgałęzioną, wielopokoleniową rodzinę, której monolit poddany zostaje próbie w trudnym momencie wprowadzenia stanu wojennego. Narrator „Cichych dni”, inżynier Zygmunt

dyrektorskim fotela prominent musi opuścić dotychczasowe miejsce. Nie może się z tym pogodzić, czuje się pokrzywdzony, osamotniony, w końcu usiłuje przemieścić się z miejsca i ich logikę. I to jest właśnie najciekawsza sprawa: niejednoznaczna, kontrowersyjna. Inżynier Worono pogubił się w nowej sytuacji, choć nie potrafił się do tego przyznać. Chce być w dalszym ciągu człowiekiem silnym, zdecydowanym, nie dopuszcza więc do głosu wątpliwości. Zastępuje je dekla-

Ma to program inżynier Worono ma szanse spełnić na stanowisku wojewody. Otrzymał też propozycję intratnego wyjazdu zagranicznego. Nie znamy jednak jego decyzji.

Powieść kończy się niemal happy endem: całkowitym porozumieniem rodzinnym, sugerującym możliwość porozumienia narodowego. Finalna scena niestety nie przekonuje. Zbyt łatwo nastąpiło pogodzenie zwaśnionych stron. Zbyt szybko Woronowie zakrzyknęli: „Kochajmy się!” Z rzeczywistością zaś, jak to się ciągle okazuje, nie tak łatwo poradzić sobie za pomocą dobrych chęci i zaidei. Pozostaje ona bardzo złożona, dynamiczna, i tego właśnie aspektu zabrakło w „Cichych dniach”.

Tak się złożyło, iż w tym samym niemal czasie ukazały się dwie książki mówiące o naszej współczesności z pozycji takiego samego — formalnie — bohatera: inżyniera-dyrektora. Myślę tu o „Pustyni” Tadeusza Siejaka oraz „Cichych dnach” Jerzego Wawrzaka. Bohater Siejaka patrzy ostro, dostrzega gospodarczy balaż, i rwanie się wiezi społecznych. Bohater Wawrzaka pragnie stabilizacji na bazie dotychczasowej. Między tymi punktami widzenia sytuuje się współczesna rzeczywistość polska.

Tak się złożyło, iż w tym samym niemal czasie ukazały się dwie książki mówiące o naszej współczesności z pozycji takiego samego — formalnie — bohatera: inżyniera-dyrektora. Myślę tu o „Pustyni” Tadeusza Siejaka oraz „Cichych dnach” Jerzego Wawrzaka. Bohater Siejaka patrzy ostro, dostrzega gospodarczy balaż, i rwanie się wiezi społecznych. Bohater Wawrzaka pragnie stabilizacji na bazie dotychczasowej. Między tymi punktami widzenia sytuuje się współczesna rzeczywistość polska.

Jerzy Wawrzak: „Ciche dni”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1983, s. 183, nakład 14 650 + 350 egz., cena zł 380.

Porozumienie?

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Worono, był do niedawna dyrektorem wielkich zakładów przemysłowych. Odejście z pracy nie zmieniło jego sposobu myślenia. Od pierwszej do ostatniej strony powieści wiadomo, po której stronie barykady. Po stronie przeciwnie znalazł się jego syn, młody gniewny działacz „Solidarności”. Konfrontacja między ojcem i synem stanowi zasadniczą oś konstrukcyjną powieści. Poza stałe konflikty, w tym małżeńsko-erotyczny schodzą na plan dalszy, stanowiąc jedynie obyczajowe tło, nie pozabawione zresztą pikantnych realiów i szczegółów.

Inżynier Worono to bliski krewny (duchowy, rzecz prosta) bohatera powieści Jerzego Wawrzaka powstałych w latach siedemdziesiątych. Autor ukazywał w nich młodego człowieka, który szybko osiągnął zawodową pozycję i równie szybko robił polityczną karierę. Stawał się niejako pozytywnym bohaterem swego czasu. Tym razem okrzyki wy-

ratywnie brzmiącymi hasłami rodem z minionej epoki. Przyzwyczajony do dotychczasowego ładu, upatrujący w nim swoje miejsce — sprawia wrażenie „twardogłowego”. Dopiero eskalacja napięcia spowodowana ogłoszeniem stanu wojennego, internowanie syna, rodzinne dyskusje i spory wywołują rysy i pęknięcia w tym współczesnym człowieku z marmuru. Ich to efektem staje się następująca konkluzja: „Rola outsidera to nie dla mnie. Trzeba założyć znów tę konia u-prząż, ale pomny doświadczeń, nie biec z kłapkami na oczach, tylko myśleć i szukać wewnętrznej zgodności między tą służbą a własną prywatnością, szukać i odnaleźć harmonię między światem zewnętrznym a domowym szaciszem, gdzie ten świat ostatnie się odciedza jako satysfakcja albo gorzkie brzemie. Bez tej harmonii życie nie ma większego sensu, staje się wyłącznie jako-ś wyprawieniem, nieszczęściem”.

Prowadzone od wielu lat prace na Łódzką bibliografię regionalną, choć napotykają na różnorodne trudności, systematycznie posuwają się naprzód. Powoli Łódź otrzymuje pełną dokumentację bibliograficzną swych najnowszych dzieł, obejmującą wszystkie dziedziny życia społecznego, politycznego, naukowego, kulturalnego.

Bibliografii łódzkiej ciąg dalszy

Po tomie „Łódzkiej bibliografii regionalnej za lata 1945—1970” opracowanej przez W. i W. Frontczaków w BUŁ ukazały się, kontynuujące ją, 3 tomy „Bibliografii Łodzi i województwa łódzkiego” za 1971, 1972 i 1973 rok, opracowywane w Dziale Informacji i Bibliografii MBP im. L. Waryńskiego. Po dłuższej przerwie spowodowanej kłopotami finansowymi i poligraficznymi ukazał się w ostatnich miesiącach kolejny tom za rok 1974. Tak jak poprzednie obejmuje swoim zasięgiem województwo łódzkie w granicach sprzed 1975 r. a bazą źródłową są polskie wydawnictwa zwracając się także do lokalnych i włączając.

Spełniony jest, jak zawsze, szczegółowy indeksami — autorskim i przedmiotowym, co w połączeniu z przejrzystym schematem, wg

którego uszeregowano tak bogaty materiał, ułatwia użytkownikowi praktyczne korzystanie z bibliografii.

Bibliografia przeznaczona jest dla szerokiego kręgu odbiorców: uczniów, studentów, bibliotekarzy, nauczycieli, pracowników nauki i także dla organów władz administracyjnych i politycznych regionu. Warto zaznaczyć, że tom

liczący 388 stron został wydrukowany metodą małej poligrafii w Pracowni Reprograficznej MBP.

Bibliografia Łodzi i województwa łódzkiego: rok 1974 (tom oprac. zespół: Małgorzata Baśńska, Jolanta Dominikowska, Maria Lalek; red. Andrzej Gawroński — Łódź: Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, 1983 — 388 s.; 24 cm — Ind. — zł 1500 (u wydawcy).

PESTKI DYNI

Uchodźmy w świecie za naród, który potrafi dbać o swoje zabytki, chronić je, należycie konserwować. Nasi specjaliści od rekonstrukcji, restauracji i konserwacji chorych, starych dzieł sztuki znani są dobrze daleko poza granicami; ostatnio nawet do Chin pojechali na konsultacje... Pracowali w Rydze, w Tallinie, Poczdamie, w Dreźnie, Budapeszcie, w Hiszpanii, Wietnamie, w Jugosławii, Meksyku... z geograficznych nazw można by było ułożyć cały niemal globus.

I cóż z tego, skoro tak wiele zabytków u nas ginie i to ginie bezpowrotnie, raz na zawsze; skoro tak wiele innych jest na najpiękniejszej drodze do ruiny; skoro za parę lat następnego w ruinę popadną?

O Krakowie głośno, o Sandomierzu głośno, ale poza nimi jest jeszcze tysiące miejscowości, gdzie coś się zachowało i... niszczycie. Gdzie jakiś dworek szlachecki, jakiś młyn wodny czy wiatrak, karczma jakaś, stara synagoga, ruiny zamczyska rozbiegane powoli przez każdego, kto potrzebuje dobrego kamienia, stary park, w którym wychną się stare drzewa — całe aleje wiałów, buków, dębów idą na opał — wszystko to ulega nieodwołalnej zagładzie przez niszczące działanie czasu i to jest naturalne. I przez ludzką głupotę, niemożność, niefrasobliwość, obojętność, brak pieniędzy, brak odpowiednich przepisów — co już naturalnym nie jest.

Wszyscy o tym stanie rzeczy wiedzą i nio. A jeśli się coś czasami uratuje, jeśli jakaś firma, zakład przemysłowy czy na koniec zdeminiowany szalenie uratuje coś z owego bezliku niszczących obiektów — to się o tym przez miesiące gada w telewizji i pisze w prasie; albo „dosuwa się po cichu domiar, kary pieniężne za ominięcie jakiegos kretyńskiego przepisu, nasyła prokuratora i najróżniejsze kontrole...”

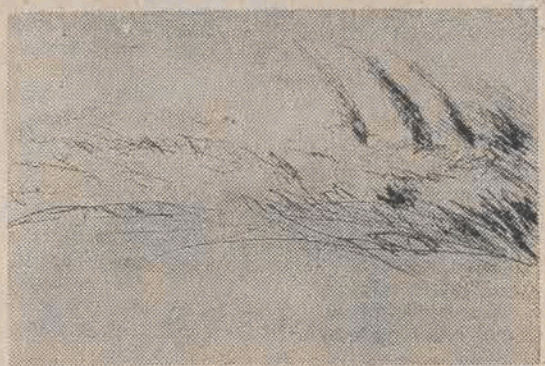
Przyjeżdżają ludzie z zagranicy i widzą, odbudowaną Starówkę Warszawską, Zamek Królewski jak nowy — bo nowy! — Starówkę Gdańską, Lubelską i mówią: — „Co za wspaniały naród, który tak dba o dziedzictwo swoje, co za wspaniali fachowcy!”

A przecież jest to kłamstwo; jakże bolesny i głupi paradoks.

Parę kilometrów albo i metrów od tych „zabytków” niszczą prawdziwe zabytki i niewielkie są szanse na ich ocalenie... A i te nowo zbudowane rozsypany się przecież. W Lublinie, Warszawie, Gdańsku...

Nasza kultura została w czasie ostatniej wojny okaleczona bardzo dotkliwie. Musielismy i chcieliśmy podnieść z gruzów nasze Stare Miasta, ważne pomniki naszego narodowego jestestwa — było to przedsięwzięcie niespotykane w skali światowej. Było ono potrzebne naszemu zniszczonemu państwu i narodowi, który przeszedł gehenną i wkroczył na nową drogę. Ale nie możemy pozwolić dzisiaj, aby ginęły prawdziwe zabytki, by ubożał nasz — i tak nie za wielki — skarb. Nasz wspólny skarb.

ANDRZEJ GRUN



Rys. Andrzej Grun

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

NOWY SEZON TEATRALNY

Zakończyły się urlopy i Łódzkie teatry rozpoczęły nowy sezon. W Teatrze im. S. Jarczaka, 9 września, wystawiono na Dużej Scenie musical dla młodzieży J. Cygana i K. Dębskiego pt. „Bunt komputerów” w reż. W. Kępczyńskiego, zaś na Małej Scenie — „Niebezpieczne związki” Ch. Hamptona w reż. B. Hussakowskiego. Jeszcze w tym miesiącu Teatr im. S. Jarczaka zapowiada premierę „Racurial” Michaela de Ghelderode w reż. A. Pawłowskiego.

Także w ub. tygodniu nowy sezon rozpoczął Teatr Nowy spektaklem S. Tyma pt. „Jaja jak berety” w reż. J. Hutka. W połowie września wznowi działalność Duża Scena tego teatru farsą Michaela Frayna „Czego nie widać” w reż. J. Hutka. Kierownictwo Teatru Nowego zapowiada w najbliższych tygodniach dwie premiery — „Wedrowny teatr Sopoliwicia” L. Simovicia w reż. K. Rościłowskiego oraz „Bonjour Marcel D.” Jerzego Sitarza w reż. Lucyny Miłczarek.

Przy tej okazji warto odnotować, że na zaproszenie Serbskiego Teatru Narodowego z Nowego Sadu Łódzki Teatr Nowy

wyjadła w końcu miesiąca na tournée po scenach Jugosławii. Pod koniec bm. także i Teatr Powszechny wyjadł na gościnne występy do stolicy Czechosłowacji. Przed wyjazdem sezon teatralny zainaugurowano tu w ub. niedzielę spektaklem „Cyd” J.A. Morsztyna zrealizowanym przez A. Hanuszkiewicza, zaś najbliższą premierą będzie „Sen nocy letniej” W. Szekspira w reż. D. Bargielowskiego.

TERESA WOJTASZEK-KUBIAK ZNÓW W ŁODZI

Łódzcy melomani do dziś wspominają ubiegłoroczne występy solistki Metropolitikan Opera Teresy Wojtaszek-Kubiak, której światowa kariera rozpoczęła się w Teatrze Wielkim w Łodzi. I oto, zgodnie z zapowiedzią, pani Teresa Wojtaszek-Kubiak znów odwiedziła Łódź, by w koncercie inauguracyjnym nowego sezonu Teatru Wielkiego zaprezentować „Cztery ostatnie pieśni” Richarda Straussa. Nasza znakomita śpiewaczka wystąpi także w roli Toski w przedstawieniu, które w dniu 21 września przekaże z sali opery telewizji w programie II.

NIE DAROWAŁ SZOŁOCHOWOWI

Szlochow był nie tylko wielkim pisarzem, ale i wybitnym działaczem społecznym. Dzięki jego staraniom w Wleszeńskim rejonie zbudowano szkołę, wodociąg, założono elektryczność i radiowęzeł, niesiono pomoc najbardziej potrzebującym. Współuczestnikami tych poczynań byli bliscy przyjaciele pisarza.

W 1937 r. na podstawie fałszywych oskarżeń wszystkich aresztowano, gronili im śmierć lub w najlepszym razie zsyłkę. Szlochow ani przez chwilę nie wierzzył w słuszność postawionych jego towarzyszom oskarżeń. Ale śledztwo prowadził sam Jetow. W czasie jednego z licznych pobytów w Moskwie Szlochow zgłosił się do Stalina, do którego miał dosyć łatwy dostęp, ponieważ „Gospodarz” lubił go i cenil. Przedstawiając sprawę aresztowanych pisarzy powiedział, że jeśli oni są wrogami ludu, to on także nim jest i powinien być również aresztowany. Stalin obiecał sprawę ponownie rozpatrzyć i prawdopodobnie zlecił to właśnie Jetowowi. Wkrótce przyjaciel Szlochowa zwolniono. Ale Jetow nie darował tego Szlochowowi i spowodował, że na posiedzeniu Biura Politycznego pojawił się je-

so „sprawa”. Zarzuty musiały być jednak tak blache, że Stalin wydał decyzję: „Niech jedzie do tej swojej Wleszeńskiej i spokojnie pracuje nad „Cichym Dniem”...”

LWOWSKIE WSPOMNIENIA

Prozaik i reportażysta Adam Hollanek wraz z Jerzym Janickim napisali książkę dla KAW pt. „Ta noc we Lwowie”, w której opisali jedną z najbardziej ponurych zbrodni hitlerowskich. — Wrócemy w nim (reportażu) do tragedii, która rozegrała się w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. we Lwowie — mówi Hollanek — kiedy to gestapo rozstrzelało na Wzgórzach Wólczych grupę najwybitniejszych lwowskich profesorów, a wraz z nimi Tadeusza Boga-Zeleńskiego, który przeżywał wówczas w mieszkaniu przyjaciela znajdującego się na liście skazanych i również został aresztowany. Był to zwykły mord, kontynuacja wcześniejszej akcji przeprowadzonej w 1939 r. w stosunku do profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (...).

W naszej książce odzwierciedlamy przebieg sądu, ostatnie godziny ofiar. Odskazywaliśmy ludzi, którzy widzieli egzekucję. Takim naocz-



Rys. Sławomir Łuczyński

W Nowym Jorku ukazała się niezwykle interesująca książka C. L. Sulzbergera pt. „Fathers and Children” (Ojcowie i dzieci). Sulzberger — historyk, wieloletni korespondent „New York Timesa”, a także jeden z wybitnych publicystów londyńskiego „The Times” — przedstawia w swojej książce 14 wielkich osobistości i ich sławnych albo niesławnych ojców. Swoistą próbkę może stanowić przytoczona przez autora uwaga Randolpha Churchilla, że „trudno jest rosnąć w cieniu wielkiego debuta” i w innym miejscu sarkastyczne drwiny Aleksandra Wielkiego nasmiewającego się z pijanego ojca, Filipa Macedońskiego.

Różnoraka była spuścizna pozostawiona przez ojców synom czy córkom. Autor pisze, że np. ojciec Stalina był go i ścigał z nożem kuchennym, narażając go na takie cierpienia i upokorzenia, jakie później Stalin sprawiał innym. Wspomniany Filip Macedoński pozostawił Aleksandrowi Wielkiemu znakomitą machinę wojenną, z której ten zrobił świetny użytek. Królowa Elżbieta I odziedziczyła po swoim ojcu tron i przypuszczalnie... syfilis, Mozart miał ojca bardziej zainteresowanego niesmiertelnością swego syna niż on sam i który wywierał presję na syna w ciągu niemal całego niezwykłego jego życia.

„Kiedy także będziesz miał syna — pisał Aleksander Dumas, autor „Trzech Muszkieterów” do syna Aleksandra Dumasa, autora „Da-

GŁOSNE KSIĄŻKI

„Zmarł tak, jak żył...”

my Kamellowej” — kochał go tak, jak ja ciebie kochałem, ale nie wychowywał go tak, jak ja ciebie wychowałem”.

Obu pisarzy łączyła nie tylko krzepka budowa ciała, dziwnie płaskie rysy twarzy i pociąg do kobiet i kieliszka. Dumas ojciec, jeden z najświetniejszych pisarzy francuskich, należał do ludzi gwałtownych i niezwykle silnych. Dumas syn opowiada, że nieraz widział ojca, generała armii napoleońskiej, jak wracając do domu i wjeżdżając do stajni podciągał się na poręcz belce, podnosząc konia między kolanami. Pod koniec życia Dumas ojciec znalazł się w Puy de Dôme, gdzie syn pielęgnował go, do ostatnich dni. „Zmarł tak, jak żył...” nie zaważając tego — powiedział syn, gdy było po wszystkim.

Książka stawia tezę, że wpływ rodziców na dzieci nie ma tak ogromnego znaczenia i że dziedzictwo dzieci traktować należy dosłownie: dziedzictwo tronu, majątku, pozycji politycznej itd. Być może dzieci w tej książce są niezwykłymi indywidualnościami i że w końcu przerosły swoich rodziców tak, że ich pokrewieństwo wydaje się przypadkowe. „To, co odziedziczyłeś po ojcu — pisał Goethe — musisz sam zarobić dla siebie, w przeciwnym razie nie będzie to twoje”.

C. L. Sulzberger: „Fathers and Children” (Ojcowie i dzieci). Wyd. Arbor House Publishing, CO, Nowy Jork.



„Tradycji nie potrafiłbym odrzucić...”

rozmowa z PIOTREM GRAJTEREM.

— Jaki jest stosunek pana — jako młodego kompozytora — do tradycji muzycznej?

— Tradycji nie potrafiłbym odrzucić. Szczególnie cenna jest w niej dla mnie rola warsztatu i rzetelność podejścia do tworzenia. Nie uznaję np. pisania „przeciw instrumentom”, spotykanego często w awangardzie.

— Jaki wobec tego jest pana stosunek do awangardy?

— Dobrze, jeśli awangardowe eksperymenty są impulsami pomocnymi w znalezieniu nowych środków wyrazowych. Gorzej, gdy eksperymentatorzy (świadomie nie używam tu określenia — kompozytorzy) stawiają się ponad wykonawców i odbiorców i chcą być nieomal dyktatorami.

— Kompozycji uczył się pan w łódzkiej Akademii Muzycznej u prof. Tomasza Klesiewetera, specjalistycznego studia kompozytorskiego ukończył pan w 1984 r. u prof. Jerzego Bauera. Jednak wcześniej był studiował w zakresie teorii muzyki i organów. Te ostatnie — jak wyczytałem w notce biograficznej — w Łodzi u Mirosława

Pietkiewicza i w Hamburgu u Ernsta-Ulricha Kameke.

— Edukacja kompozytorska traktowała właściwie jako poszerzenie wiedzy ogólnomuzycznej. Uważałem ją za jeszcze jedną formę bycia muzykiem. Nie jestem bowiem zwolennikiem zubażającej trochę artystyczny światopogląd wąskiej specjalizacji, będącej wytworem ostatnich czasów. Kiedyś tak nie było.

— Może więc słowo o studiach kompozytorskich.

— Profesorowie, u których się uczyłem, przykładają ogromną wagę do spraw warsztatowych. Prof. Klesiewetter kładł szczególny nacisk na dyscyplinę w zakresie formy. Prof. Bauer również, z tym, że inspirował zarazem do szukania w tej dziedzinie zu-

— Właśnie, wbrew pozorom u tym mam największe trudności. Może zbyt dobrze znam organy i zdaje sobie sprawę, co do nich nie pasuje, co brzmi banalnie, powiem więcej — co jest organów niegodne. Dlatego też często noszę w sobie pomysły i ich nie ujawniam.

— Gdzie pan dotąd występował i w jakim repertuarze?

— Grałem na wszystkich wielkich festiwalach organowych w kraju, ponadto w ZSRR i kilka razy w RFN. Staram się wykonywać utwory z różnych epok, ożywiłem szczególnie chętnie interpretacje dzieł J. S. Bacha. Uwzględniłem też w programach własne kompozycje. Z dużą satysfakcją prezentuję także utwory nieżyjącego już łódzkiego organisty i wielce interesującego kom-

pozytora — Bernarda Pietraka. Uczył mnie przedmiotów teoretycznych i improwizacji organowej i był mój pierwszym patronem duchowym w twórczych poczynaniach.

— Dziś już natomiast i pan wyklada...

— Praca pedagogiczna jest dla mnie ważną dziedziną. W łódzkiej Akademii Muzycznej prowadzę zajęcia z organów, kontrapunktu, harmoniki, analizy dzieła muzycznego (w czym niewątpliwie pomaga mi znajomość procesu twórczego), literatury muzycznej. Również w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy mam klasę organową.

— I kim się pan czuje przede wszystkim?

— Ciągle czuję się głównie organistą.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYSZ

Studio „PARTner” działa w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Ta grupa poszukujących plastyków, psychologów i socjologów z zawodu zaszczepiła swoje poglądy na łódzki grunt.

W ubiegłym sezonie kulturalnym pierwsze działania plastyczne z młodymi ludźmi przeprowadził łódzki artysta pod ideowym przywództwem Wiesława Kurdelaka. Był to rodzaj zabawy plastycznej z pogranicza teatru i zbiorowej terapii. Przedmiotem aktu twór-

„Cyrk na Manhattanie”: dzieci będą miały możliwość kreacji własnych światów plastycznych, a młodzież — w sobotę, 24 września, pod okiem z kolei Janusza Byszewskiego. Artysty z Niemiec Zachodnich przywiozł ze sobą własne tworzywa do kompozycji.

Wiesław Kurdelak poprowadził także zajęcia z cyklu „Mój portret” organizowane pod hasłem: „Tu i teraz, taki jestem, taki chciałbym być. Nasz portret — ja, ty, my, dziś i jutro”. Natomiast treścią zajęć Tomasza Teodorczyka

Manhattański happening

czego były kolorowe, teksturalne pudła. Dzieci tworzyły z nich kompozycje przestrzenne. Wiesław Kurdelak inspirował już takie akcje twórcze na strychu, używając starych, niepotrzebnych przedmiotów. Wszystko to służyło na rozbudzenie wrażliwości estetycznej dzieci (z zachowaniem relaksowego charakteru).

Obecnie Dom Kultury „Manhattan” przy ul. Żwirki 15 znów będzie miejscem happeningów. W piątek, 23 września, Jerzy Andrzejko i Nilson Kirchner z zaprzyjaźnionej Grupy SPIELWAGEN z Berlina Zachodniego zapowiadają

będą „Zdarzenie, które mogłoby zmienić życie — jak zawrzeć w jednym znaku, w jednej prostej formie wszystkie swoje marzenia, pragnienia o lepszym życiu”. Grupy „PARTner” i SPIELWAGEN zapowiedziały również na weekend otwarte spotkania autorskie.

W. KUPISZ

Myśli nieuczesane

STANISŁAW JERZY LEC

- Czas obrodził geniuszami. Miejmy nadzieję, że będzie kilku zdolnych.
- Tam gdzie wszyscy śpiewają na jedną nutę, słowa nie mają znaczenia.
- Walkę o władzę prowadzi się z nią.
- Czas pozostanie ludożercą.
- Na koturnach trudniej schodzić ze sceny.
- Własna niemoc jest tak niebezpieczna jak obca przemoc.
- Siaba pamięć pokoleń utrwała legendy.
- Marzenie niewolników: targ, gdzie można by sobie kupować panów.
- Widziałem skutki, które co roku obradzały inną przyczyną.
- Za ile głosów liczy się w głosowaniu głos historii?
- Z doświadczenia strzelca: wielkich trudniej trafić niż małych.
- Nie dziw się, że kto nie pachnie, lubi, by mu kadzono.
- W niebezpiecznych czasach nie wchodzi w siebie, tam się najłatwiej znajduje.
- Nieobecni nigdy nie mają racji, ale bardzo często zachowują życie.
- Żeby być sobą, trzeba być kimś.
- Często dach nad głową nie pozwala ludziom rosnąć.

(Stanisław Jerzy Lec — „Myśli nieuczesane”, Wydawnictwo Literackie 1972 r.)



Centralne Muzeum Włókiennictwa — Międzynarodowe Triennale Tkaniny 1988. Guy Houdouin — Francja.

Kronika

ŁÓDZKA ORGANIZACJA TOWARZYSTWA KRAJOWA KULTURY ŚWIECKIEJ zaliczana jest do najaktywniejszych w kraju. Według aktualnych danych zrzesza w swych szeregach 14 tysięcy członków. Najliczniejszą w niej grupę stanowią nauczyciele, pracownicy dydaktyczni wyższych uczelni, studenci oraz uczniowie (łącznie ponad 8 tys. osób).

Przy Zarządzie Łódzkiej TKKS prowadzą ożywioną działalność takie instytucje kulturalno-owsiawotne, jak Łódzki Ośrodek Kultury Świeckiej, Międzyuczelniany Klub „Dialog”, Ośrodek Edukacji Obywatelskiej, Klub „Dziwłaki”, Wszechnica Dzielnikarska (wydaje własną gazetkę).

NA TEGOROCZNYCH MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH KSIĄŻKI WE FRANKFURCIE N. MENEM — rozpoczynających się 4 października — ekspozycja będzie m.in. nowa powieść Umberto Eco „Wahadło Foucault’a”.

Akcja jej dzieła się współcześnie w Paryżu, w sferach wydawniczych, wokół tajemniczego zniknięcia autora książki o templariuszach. Nowy utwór literacki 50-letniego, sławnego włoskiego profesora semiotyki wzbudził ogromne zainteresowanie wśród najbardziej liczących się w świecie edytorów. Zbiegają oni o uzyskanie licencji na tłumaczenie.

Warto przy okazji nadmienić, iż „Imię różny”, które stało się szlagierem światowym, doczekało się już wydan w 24 językach (w tym samym nakładzie 14 mln egzemplarzy).

ARCHITEKTURA POLSKA PONIOSŁA DOTKLIWĄ STRATĘ. Zmarł w Warszawie, w wieku 80 lat, profesor Jerzy Hryniewiecki m.in. projektant stołecznego „Stadionu X-lecia” oraz katowickiej hali sportowej.

JANUSZ GŁOWACKI, autor „Witruwii nonsensu” i kilku innych głośnych książek, scenarzysta filmowych oraz sztuk teatralnych — co kilku już lat mieszka w Stanach Zjednoczonych. Na Broadwayu duży sukces odniosła jego sztuka „Karmel”. Oczekuje zaś na wystawienie najnowszego utworu scenicznego tego pisarza — opowiadający o losach powojennych polskich emigrantów.

ZNANY NASZ REŻYSER — JANUSZ ZAORSKI — przystąpił do realizacji nowego filmu pt. „Kocham pana”. W rolach głównych zobaczymy w nim całą plejadę gwiazd: Janusza Gajosa, Mariannę Opanię, Mariusza Dmochowskiego, Jana Englerta, Henryka Bistę.

Twórca zamierza m.in. przedstawić bez osłonek nieudolne stosunki panujące w niektórych klubach piaskarskich.

Obraz ten z góry może więc liczyć na powodzenie. Ale czy podzielił uzurwieniec?

WĘGERSKI INSTYTUT KULTURY I MUZEUM HISTORII MIASTA ŁÓDZI zapraszają do Galerii Łódzkiej (przy ul. Ogusowej) na wystawę prezentującą węgierską ceramikę współczesną.

W SALONIE SZUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA (przy ul. Piotrkowskiej 88) otwarta została 2 września br. ciekawa wystawa grafiki i gwaszy (z cyklu „Exodus”) Hanny Stankiewicz.

NA EKRANY LONDYŃSKICH KIN WSZEDŁ FILM AGNIESZKI HOLLAND „Anna”. Przedstawia on losy czeskosłowackiej aktorki, która w 1938 r. wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

W PRADZE OTWARO ŚWIATOWA WYSTAWĘ FILATELISTYCZNĄ. Wśród 800 eksponatów, nadesłanych z 63 państw, przyciąga uwagę bardzo cenna kolekcja o tematyce olimpijskiej Antonia Samanacha.

W GDYNIE STANIE W TYM ROKU POMNIK działacza państwowego i gospodarczego II Rzeczypospolitej — Eugeniusza Kwiatkowskiego, zwanego w okresie międzywojennym z budową tego miasta oraz utworzeniem Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Autorem projektu pomnika jest Stanisław Sawchowiec, który zajął pierwsze miejsce w rozpisany konkursie.

W DOMU POLONII W KRAKOWIE, otwarta została wystawa obrazów światowej sławy tenora — Wiesława Ochmana. Podczas otwarcia wernisazu można było nabyć tekę z reprodukcjami prac tego artysty.

Otrzymał on z tej sprzedaży honoraria Wiesław Ochman przeznaczył na odnowę zabytków Krakowa. Piękny gest, zresztą nie pierwszy z jego strony, godny naśladowania!

5 WRZEŚNIA BR. FILHARMONIA ŁÓDZKA zainaugurowała nowy sezon koncertem, w którym jako solistka wystąpiła wybitna skrzypkaczka, laureatka wielu międzynarodowych konkursów — Barbara Górszyska.

W programie koncertu znalazły się m.in. utwory Brahmsa i Beethovena. Orkiestrą Filharmonii Łódzkiej dyrygował Roman Bugaj.

NA BROADWAYU szlagierem letniego sezonu była sztuka Davida Mameta „Speed The-Plow”. Jej autor jest laureatem Nagrody Pulitzera z 1984 r. — za twórczość filmową.

Fabula przedstawienia oparta została na kanwie stosunków panujących w świecie wielkich gwiazd. Główną atrakcją przedstawienia stanowi udział w nim słynnej gwiazdy rocka — Madonny. Gra ona sekretarkę planu.

Opinie recenzentów o teatralnym debiucie Madonny są podzielone. Przeważa opinia, iż potwierdzenie jej roli było wynikiem nie tyle aktorskiego talentu, ile głośnego nazwiska.

JEDEN Z NAJSTARSZYCH POLSKICH SAMOCHODÓW, liczący 87 lat „Adler”, można zobaczyć w warszawskim Muzeum Techniki.

Przez długi czas auto to nie było prezentowane, ze względu na fatalny stan techniczny. W 1987 r. poddane zostało gruntownej renowacji i zrekonstruacji. To trudne zadanie wykonał Juliusz Słodziński — mechanik, znawca starych pojazdów.

NOWYM PRZESZEM PSS „SPOŁEM” W ŁÓDZI wybrany został mgr Andrzej Pietrak (lat 40), dotychczasowy kierownik Wydziału Społeczno-Ekonomicznego KL PZPR.

Jest on absolwentem Uniwersytetu Łódzkiego (ekonomika handlu wewnętrznego). W Instytucji partyniej był również odpowiedzialny za funkcjonowanie obrotu towarowego w naszym mieście.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

nym świadkiem jest mieszkający dziś we Wrocławiu prof. Stuchlik. Wówczas znajdował się w domu przy ul. Nowakowskiego, w pobliżu Wzgórz Wóleckich i stamtąd obserwował Niemców i ofiary. Drugim naczynym świadkiem był nieżyjący już dziś, niestety, prof. Groer. Z zachowanych relacji, ze wspomnień różnych osób zrekonstruowaliśmy tragedię tej lipcowej nocy. Te rekonstrukcje wzbogaciłymi współczesnymi relacjami lwowskimi (...) Jest to moje rodzinne miasto. Przez długi czas nie można było nie mówić i pisać szczerze i otwarcie o pewnych sprawach lwowskich, zwłaszcza tych drażliwych. Dziś, kiedy nastąpiły tak korzystne zmiany, spisałem swoje lwowskie wspomnienia z okresu niezwykle trudnego, bo z lat 1939—44 tj. do repatriacji, kiedy to musiałem opuścić Lwów i przeniosłem się do Krakowa (...) Książkę przyjęło Wydawnictwo Literackie (...) Jak do tej pory drukowano u nas niewiele o tym wojny światowej...

PRZESTRASZYLI SIĘ NOWEGO

Scenarzysta Oleg Bieleusow i reżyser Siergiej Łukjanienkow przedstawili Komisji Konfliktowej Związku Filmowców swój prowizorycznie smontowany, nie skończony jeszcze dokument „B61”. Utwór traktuje o wydarzeniach w Afganistanie, lecz zrealizowany został u nas, w kraju, gdzie mieszkają osieroczone dzieci, owdowiałe kobiety, o samotnione matki. Pielęgnują groby, do bólu wpatrują się w fotografie bliskich, odczytują znane na pamięć listy. Twórcy ukazali prawdziwy pogląd społeczeństwa na jeden z najbardziej palących problemów politycznych. Trudno go skomentować, lecz z tym znakomicie — jak mi się wydaje — poradził sobie działacz międzynarodowego ruchu „Świat bez wojen” pisarz Oleś Adamowicz i ojciec Wiktor, prawosławny duchowny. Zapewniają, że film będą komentować również w Lwowie w czasach II wojny światowej...

będzie odbiegać od opinii ludzi, wypowiadających się na ekranie. Ale spierać się będą nie z równymi im partnerami, lecz z osieroconymi dziećmi, żonami i matkami. W każdym sporze trzeba będzie uwzględnić ich nieukończony ból. Kto odważy się odmówić im prawa do takiego właśnie spojrzenia na tę wojnę? Kierownictwo „Białoruśfilmu” odważyło się. Widocznie przestraszyło się nowego, niekonwencjonalnego spojrzenia na skomplikowane problemy. Posłuszyło się „obiektywnym” argumentem — brakiem pieniędzy na dokrętki. Nie będą przytaczać wszystkich kompetentnych wypowiedzi, jakie sformułowano w Moskwie w obronie filmu. Dość powiedzieć, że kierownictwo „Goskino” wyasygnowało na dokrętki 80 tys. rubli. Niewykluczone, że prace nad „Bólem” przyjdzie zakończyć w innej wytwórni. (Klim Ławrientiew, sekretarz Związku Filmowców ZSRR na łamach „Moskiewskich Nowosti”).

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

(5)

ARNOLD MOSTOWICZ

Prawdziwy koniec łódzkiej dintojry

Zapyta pan, co z tym wszystkim wspólnego ma sprawa Szaia Magnata? Jak już panu powiedzialem, Szaia zabrali sie po arestowaniu jego policyjnej protekcji do likwidacji swego przedsiwiorstwa. Takich duzych przedsiwiorstw latwo sie nie likwiduje. Powiedza to panu zarowno Rotszyld, jak i spadkobiercy Onassisa. A co dopiero w getcie. Tymczasem w calej tej sprawie na pierwszy plan wysunal sie Gertler. Kilkakrotnie byl Szaia Magnat wzywany do Sonderkommando, kilkakrotnie Gertler odwiedzal Szaie w jego mieszkaniu. O czym rozmawiali? Co mial Gertler do zaproponowania Szaia? Tego nikt nie wie i nigdy sie nie dowie, tym bardziej, ze dzisiaj, po latach nie ma to najmniejszego znaczenia. Z cala pewnoscia stana Szaia Magnat, moze po raz pierwszy w zyciu, przed dyktandami, ktorzych rozwiadz w ramach swoich doswiadczen nie potrafil. Mozna sie tez domyslic, ze nawet w Szaia, ktory niejako widzial i slyszal, taki wspolpracujacy z gestapo Gertler wzbudzac musial przerazenie.

No i wreszcie sie stalo. Szaie Magnata wezwano do Kripo, gdzie go podobno przesluchiwalo kilku oficerow SS. Z tego pierwszego przesluchania Szaia wrócil, ale nikomu o jego przebiegu nie wspomniat. Jak mi ktos godny zaufania powiedzial, probowal Szaia w tym czasie odebrac sobie zycie, ale ktorys z domownikow odlat go od stryczka... Po co? Po kilkunastu dniach Szaia zostal na plac Koscielny wezwany po raz drugi. Do domu juz nie wrócil. Jak twierdzili wiezniowie, ktorzy w tym samym czasie znajdowali sie w areście Kripo, Szaie Magnata przesluchiwano kilkadziesiat godzin bez przerwy. Bito go i torturowano, lecz niczego z niego nie wyciagnieto. Nie wydal zadnego ze swoich wspolnikow. Nie zdradzil ani slowkiem, gdzie schowal to wszystko, co zdalzy w ciagu krotkiego czasu Niemcom ukrasac i co zdalzy kupic w postaci biuterii czy zlota. W domu Szaia przeprowadzono wielogodzinna rewizje. Na nim samym wyprobowano ponoc wszelkie metody tortur, ktora wymyslil niemiecki umysl dla zaspokojenia niemieckiego sadyzmu. Nic nie pomoglo. Po trzech czy czterech dniach tradycyjnym zwyczajem wezwano na plac Koscielny pogotowie ratunkowe. Lekarzowi pokazano worek z przyceplona do niego kartka, ktora informowala, ze wewnatrz znajduja sie zwloki Szaia Zylberszaca. Przyczyna zgonu, jak podalo Kripo, mial byc atak serca... Moze pan to uznac za zrzadzenie losu, ale tym, ktory odbieral z Kripo doczesne resztki Szaia Magnata, byl ten sam lekarz, ktoremu Klieger przywiozl list od ojca z Warszawy, i ten sam, ktory pelnial u wspolnika Gertlera dyzury podczas wrzesniowej szpery, podslychal rozmowy, jakie obydwal prowadzili...

Oto jak zakonczylo swoje istnienie łódzka dintojra. Nie z wybuchem wojny, nie z nawroceniem sie Slepego Maksa, ale wraz ze smiercia Szaia Magnata zameczonego w Kripo. Moze panu uzupelnic te opowiesci innym szczegolem. Kiedy w kilkanaście lat po wojnie przystapiono w Łódzi do burzenia starych Bałut, to wybudowac na miejsce zburzonych rudersmutne i brzydkie osiedla, natrafiono podczas wykopow na olbrzymi magazyn skór. Byly to podobno skory najlepszej jakosci, i to znakomicie przechowane. Czy stanowiły czesc owego sezonu ze skarbami, ktore Szaia Magnat zamierzal sobie odlozyc na czasy powojenne? Mysle, ze tak. Mysle, ze gdy burzono dalsze domy dawnych Bałut, odnajdywano inne skrytki. Nie potrafie panu powiedziec, czy Szaia Magnat w ogole sie zastanawial, jak te skarby w przyszłości wykorzystac. Ale przeciez rząda u nas, dzięki Bogu, maszy pracujace, nie ma bogaczy ani wyzyskiwaczy i komu-

kolwiek skarby Szaia Magnata przypadły w udziale, to przeciez dostaly sie one koniec koncow w ręce ludu, no nie?

Pan mnie pyta, co sie stalo z Gertlerem i Kliegerem? To tez ciekawy watek calej tej historii. Otóz na rok przed likwidacja getta łódzkiego Gertler zniknal. Mówiono, ze zostal arestowany i wyslany do obozu. Arestowany, nie arestowany — zakonczył wojne w takim stanie zdrowia, ze dal nam Boze obydwoim. Co jest o tyle, prosze pana, ciekawe, ze jak mi wiadomo, nie zdarzylo sie, by ktokolwiek arestowany w getcie przez wladze hitlerowskie nie zostal natychmiast wykonczony. I to na wszelki wypadek z cala rodzina, jak to mialo miejsce z owym komendantem wiezienia.

Klieger zostal szefem Sonderkommando do konca. I on zakonczył wojne w znakomitym stanie zdrowia. Obydwaj przyjaciele spotkali sie po wojnie w Niemczech Zachodnich. Tam szybko obrosl w grube pieniadze. Znalezi sie jednak zawistni ludzie, ktorzy przypomniaли sobie podejrzané kontakty Gertlera i Kliegera z wladzami niemieckimi i gestapo. Uwazali, ze sprawa taka powinna rozstrzygnac Zydzi we własnym zakresie. Klieger ukryl sie podobno gdzieś w Australii. Gertler stanal jednak przed sadem gminy zydowskiej w RFN. Byl na tyle przytomny, by poszukać sobie swiadkow, ktorzy przysiegali, ze byl on nieslychanie przyzwoitym czlowiekiem. Po dlugich badaniach, przesluchaniach swiadkow i oskarzonego, sad polubowny gminy zydowskiej oczyścił Gertlera ze wszystkich zarzutow. Rozumiem, ze nie latwo bylo powiazac decyzje skazujaca Zydza za wspolprace z gestapo, ale nie sadzi pan, ze skoro takie decyzje podejmowaly sady wszystkich krajow okupowanych w stosunku do swoich obywateli, mogl ja podjac i sad gminy zydowskiej? Dawid Gertler umarl szanowany i powazany, choc mam nadzieje, ze na tamtym swiecie gdzieś za zakretem czekal na niego Szaia Magnat.

Widze, ze zaczyna sie pan domyslac, dlaczego opowiedzialem cala te dluga historie. Oczywiscie ma pan racje. Chodzilo mi, prosze pana, o to, ze dranie tacy jak Gertler czy Klieger wywineli sie sprawiedliwosci... Oto dlaczego zajalem pana tyle czasu sprawami dintojry... Pan pamietal? To wlasnie sad polubowny, a jak pan chce, honorowiy... Tyle ze, jak pan widzi, sad sadowi nierowny i nierowna dintojra dintojrze... Różne bywaly rodzaje moralności i sprawiedliwosci. Czasami warto moze uронić lezke za sprawiedliwoscia wyrokow, ktore ferowali Fajwel Bucik, Szaia Magnat i Slepy Maks...

Uwertura

Niczego nie zapomniec. Z dziesiatkami milionow ludzi tego kontynentu wkroczyli w stan wojny. Gdyby mogli, chetnie umiesciliby w swojej pamieci tasne filmow, rejestrujaca wydarzenia, sprawy, obrazy, fakty, ktore od kilku miesiecy tworzyly nowa codzienność. (Kiedys bedzie to mozliwe — przekonywal sie). Na razie kazdy dzien dostarczal nowych doswiadczen, a kazda noc przetrzazala w nieskonczoność gorzki smak niepokoju. Jeszcze wczoraj — wczoraj? nie, kilka miesiecy temu — w oblozonej Warszawie uczyl sie alfabetu wojny totalnej prowadzonej przez Niemcow przeciw Polsce. To byla jego wojna, tak jak byla wojna trzydziestu pieciu milionow Polakow. Bral w niej udzial na ulicy, w domu, w przygodnych szpitalikach, w szpitalu wreszcie. Klęska Polski byla jego klęska. Nie mial jednak czasu na jej rozpamietywanie. Nie zdalzy jeszcze dokonac remanentu swoich strat. (Byl w tym wieku, kiedy przeczenia sie wartosc przyzyc, i wydawalo mu sie, ze wyrówna ona bilans klęski). Zanim zaczerpnal oddechu, Niemcy rozpotali nowa wojne. Z Zydami. A wiec ponownie z nim. Po dwakroć, a moze do kwadratu wciagniety zostal w stan wojenny materiel swiata. Parę miesiecy temu jako bezimienny Polak mordowany byl bombami, pod ktorymi konala Warszawa. Dzis jako bezimienny Zyd odgrywa swa role w spektaklu, ktorego pre-

mera odbyla sie dawno, a ktory przyszli zwycięzcy postanowili z okazji tej nowej wojny przypomniec.

Masz oczy — patrz uważnie. Masz uszy — dobrze sluchaj... Zapamietaj to wszystko, gdyz nadejść moze taki dzien, ze sam nie bedziesz pewny, czy to bylo prawda, czy moze tylko koszmarnym snem? Prawda? Dla kogo? Dla kogos, kto czekac bedzie na mecie i komu przekażesz jak cenny skarb, ktory chroniles podczas calego twego biegu o zycie? A moze meta starzysci bedzie pustka smierci i tylko wiatr roznie sie na cztery strony swiata proch i popiol, popiol i proch, tak jak roznosi teraz zawartość tej fibrowej walizki, ktora sie placz pod nogami i na ktorej reszka bialego plota jak klepsydry zachowala atramentem wypisane litery: Gold... czy moze Geld... (..)

Znajdowal sie z tylu, za ostatnimi maruderami otoczonej zandarmami ciżby ludzi. Tuż przy chodniku, tam gdzie tłum byl rzadszy, niby somnambulicy kroczyl swiy, wysoki mezczyzna. Co bylo najdziwniejsze, obydwiema rekoma przyciskal do piersi — tak, tak — doniczke z pleknym fikusem. Obok niego drobne kroczy stawiala jego zona, podtrzymujac mu ramiona, jak gdyby chciala dopomoc meżowi w doniesieniu do celu swiętej relikwii. Kobieta miala narzucone na siebie dwa plaszcze, a na glowie kapelusze meza. Nietrudno bylo sie domyslic, co sie dzialo wczesniej. Niemcy, jak zwykle miotajac sie i wrzeszczac, weszli do mieszkani, ktore kazali pod grozba rozstrzelania opuscic w ciagu dziesieciu minut. Dzie siec minut. Tyle, by opanowac przerazenie, uciec sie, rzucic spojrze nie na sciany, na meble, na firanki i wiszaca nad lozkiem fotografie slubna, na garnki — na wszystkie rzeczy, ktore stanolily czastke zycia, i w ostatniej chwili chwycic to, co znalazlo sie pod reką i co sie przez lata czule pielagnowalo. Drzwi zapieczetowano. Przyjezdzały przeciez wkrótce Niemcy z Estonii. Pozydowskie meble, garnki, poszwy i koszulki ucyzniaj im blizsza, troszczaca sie o nich niemiecka ojczyste.

Szedl wolno za innymi. W tym przedstawieniu, ktoremu Niemcy przypatrywali sie z satysfakcja, jaka odczuwa rezyser ogladajac premiere wystawianej przez siebie, zaplanowanej na wiele spektakli sztuki, on sam odgrywal role nieco uprzywielejoną. Nie znajdowal sie wroscz przesiedleńców. Byl lekarzem pogotowia. A jego obecność miala znamionowac solenną troske o wlasniwy przebieg widowiska... Szedl z tylu, nie mogl wiec dostrzec twarzy czlowieka wlokacego dwie cięzkie, jak widac, walizy. Czlowiek chybila plakal. A moze zanosisil sie kaszlem? Przekonal sie po chwili, ze robil jedno i drugie. Gorzej, ze coraz bardziej pozostawal w tyle. Widac bylo, ze dokonuje przekraczajacego jego mozliwosci wysilku, chcac dogonic reszte kolumny. Gdyby pozostawal przynajmniej jedna z walizek, z pewnością by mu sie to udalo. Teraz podszedl do niego zielono umundurowany Niemiec. Przez chwile wygladalo to tak, jakby chcial zyciawie udzielic pomocy czlowiekowi nadmierne oblozonemu. Ale okazalo sie, ze chce mu te walizki wyrwac z rak. Czlowiek jednak bronil sie rozpaczliwie. Mogl dostrzec teraz jego twarz. Okalala ja dluga, szara broda i wymykajace sie spod zwykłej czapki pejsy. Tak, ten z cala pewnością uczestniczyl juz niegdys w podobnym wydarzeniu. Wtedy mial do czynienia z zoldakami Izabeli i Ferdynanda, ktorzy w imie krzyza swiętego oczyszczali z Zydow Hiszpanie, a w tej chwili szamocze sie z zandarmem, ktory w imie krzyza lamanego oczyszcza z Zydow Łódź. Niemcowi udalo sie wreszcie wyrwac walizke z ucieplonej do niej reki. Kopnal ja na bek. Mezczyzna nie dal za wygraną i rzucil sie po resztki swego dobytku. Niemiec jak gdyby na to tylko czekal. Szybko sciagnal z ramienia pistolet maszynowy i wypuscil krotka serie.

Nie!!! — Krzyk rozlegl sie, zanim Niemiec pociagnal za cyngiel. Później dopiero ta seria... Widocznie krzyczal ktos inny, nie ten pejsasty mezczyzna, ktory spokojnie lezy teraz obok swego majatku i juz nie przeszkadza w sprawnym przeprowadzaniu wysiedlenia. Niemiec nachylil sie nad nim i sprawdzil z troska, czy aby solidnie wykonal robotę.

Teraz on odebral musi wyznaczona mu role. Wraz z sanitariuszem podbiegli do lezacego, aby sprawdzil, czy ten rzeczywiscie nie zyje. Uczynil to wykonujac ruch podobny do tego, jaki przed chwila wykonal Niemiec. W lezacy nie bylo wiecej zycia niz w rozciagnietej obok niego walizce. Wydal wiece polecenie sanitariuszowi, aby sprawdzil personalia zabitego. Niemcy bardzo zwracali na to uwage. Zabity przez nich musial miec imie, nazwisko, adres i figurowac w wykazie, ktory nazajutrz dyrektor pogotowia przesle wladzom, a wladze o wszystkie te nazwiska powieksza liste zabitych za stawianie oporu...

Wpisal po chwili pliate nazwisko do notesu. To dopiero poczatek. O! Jeszcze jakaś seria.

Niedawno temu podobne strzaly slyszal z innej okazji. Niemcy swietowali noc sylwestrowa. Okupant plawil sie w radości. Wszyscy pochowali sie za zamknietymi oknami i zaryglowanymi drzwiami. Z ulicy dochodzily strzaly i spiew. Mocny, radosny. Teraz byly strzaly, nie bylo spiewu. Niemcy wiedza, ze jesli sie chce sumiennie wykonac swój obowiazek, nie nalezy spiewac. Nie wypada. Na miesiac przed ową sylwestrowa nocą zostal przydzielony do pracy w pogotowiu. Mowiac dokladniej — w pogotowiu zydowskim. A jeszcze dokladniej — w pogotowiu podlegajacym przełożonemu starszenstwu Zydow. Lekarze pogotowia miali prawo udzielac pomocy tylko Zydym — udzielenie pomocy aryjskiowi mialo byc karane wiezieniem i grzywną. Na pierwszym, organizacyjnym zebraniu o decyzji Niemcow powladomil lekarzy starszy laryngolog, ktory swoja informacje o stworzeniu zydowskich placowek zdrowia zakonczył niespodziewanie cytatem Iacina skims: „Quidquid id est timeo Danaos et dona ferentes”. Czym nie tylko wykazal znajomosc Wergilego, ale i nie mala dalekowzrocznosc. On, stary lekarz zydowski, i Laokoon wiedzieli, ze na przychylność bogow liczyc mogą tylko nawni i slepi, i ze przecistawianie sie im nie lezy w mocy zstowiska... Obok pogotowia dla

Zydow — jeszcze jeden dar — getto dla Zydow. Na Bałutach. (..)

Rozrosła nam sie teraz kolumna — pomyslal patrzac, jak z bram domow zandarmi wyprawdzaja coraz to nowe grupy ludzi z zolita latka. Cala akcja wynikla zreszta z tego, ze sie Niemcy zdenerwowali, i slusnie zdenerwowali. Oglosili utworzenie getta, podali do wiadomosci jego granice, a tylko nieliczni z Zydow uwierzyszy, ze to nie grozby czy zart, porozumieli sie z zyjacymi na Bałutach Polakami i za slone pieniadze wykupili co lepsze mieszkani. Wybór nie byl duzy. Tych lepszych, z urzadzeniami sanitarnymi, bylo trzysty — czterysta na czterdzieci tysiecy. Reszta Zydow łódzkich przez pierwsze kilka tygodni czekala. Na co? Moze na to, ze ziszczaja sie plotki, nie wiadomo gdzie wymyslane i nie wiadomo przez kogo puszczane w obieg: ze wojna sie konczy, ze Hitler nie zyje, ze ofensywa francuska, ze czolgil radzieckie, ze Rumunia, ze... Im sloneczko wyzej... Kto przedtem w zydowskiej dzielnicy slyszal o Sikorskim? Najwyzej nieliczni stali czytelnicy gazet. Teraz wiedzielo o nim kazde zydowskie dziecko.

Jaka to ulica? W ciemnosciach wszystkie sa do siebie podobne, szczegolnie w Łódzi. Zachodnia, zdaje sie. Na zachodzie ma sie lada dzien zaczac...

Uwaga. Z drugiej strony ulicy wezwal go sanitariusz, czyniac dodatkowo jakies gesty, ktore ginely w ciemnosciach. Pobiegl we wskazanym kierunku. Jeszcze uslyszal krzyk: — Pogotowie! Ktos lezy w bramie. — A w bramie okazalo sie, ze ktos lezy takze na podworku. Torujac sobie droge lokciami, przecinal sie przez tłum ciagnacy juz teraz cala szerokoscia ulicy. W bramie zwykly omdlenie. Kobieta. Nakazal sanitariuszowi zrobic odpowiedni zastryk. Sam uklakil przy drugim potrzebnym pomocy lekarskiej. Na kamieniach podworka lezal starszy czlowiek. W narzuconej na plizame marynarce. Ktos zyczliwy podlozyl mu pod glowe poduszke. A glowa ta poduszki juz w zasadzie nie potrzebowala. Byla do polowy zmiazdzona, gdyz wyprobowal na niej kolbe swego karabinu jakis esesman.

Nie zapomniec! Nie zapomniec! — powtarzal to sobie co chwila. W oknie na parterze stol jakaś kobieta i placz. Jej nie ruszono — jest Polka. Ale juz samo wygladanie oknem jest aktem odwagi. Z oficyjny wychodzil inna kobieta, rowniez Polka, kleka obok konajacego i modlil sie. Podworko tonie w mroku.

Poslal sanitariusza po nosze. Po chwili w dwójke wyniesli dogorywajacego, kierujac sie do dorozki pogotowia. Sprawnym ruchem nosze z rannym umiescili wzduz dorozki, umocowali je, by sie nie zsunely. Polecil woźnicy, by jechal do szpitala. Czy musi sie spieszy? Nie, nie musi. Siegnal do notesu i wpisal jeszcze jedno nazwisko, ktore ustalil niezawodny sanitariusz. Wprawdzie czlowiek jeszcze zyje... Jutro sie upewni, kiedy zadzwoni do szpitala. Jutro? Czy w ogole bedzie jutro? Chwila odpoczynku. Przynajmniej do powrotu dorozki.

Kiedy zaczal pracowac w pogotowiu, otrzymal wydane przez wladze niemieckie zaświadczczenie, zezwalajace mu na bezkarne gwalcenie godziny policyjnej. Bylo to nader wygodne. Ale nie naduzywatal tego prawa. Dosć szybko przekonales sie, ze wieciorz i zydowska samotnosc na aryjskiej ulicy tworza sytuacje zbyt ryzykowna. Wracal kiedys pozno wieczorem do domu i jak zwykle przechodnie przyladali mu sie niby spacerujacej malpie. Tylko, ze tym razem postanowil byc bardziej zdyscyplinowany. Nie mogla przeciez bezkarne prowokowac aryjskich przechodniow zolita opaska. Bo wtedy byly jeszcze opaski na rekawach. Zolite gwiazdy wprowadzono pozniej...

(...Później? Ejże!... Ty tam, z ostatniej ławki, Tak, ciebie mam na mysli. Przeszeli na chwile grac z twoim sasiedem w wojne morską i powiedz mi, co wiesz o Soborze Lateraniskim? — Sobór Lateranski... Sobór Lateranski... sobór uchwalil, ze wszyscy Zydzi musza nosic specjalna latę na odziezy, aby ich mozna bylo odróżnić od chrześcijan... Rok? — Soboru? — Tak, w ktorym roku odbył sie sobór? — W tysiąc dwieście piętnastym, panie profesorze... Rzeczywiście w tysiąc dwieście piętnastym. Teraz mamy rok tysiąc dziewięćset czterdziesty. Równy siedemset dwadzieścia pięć lat temu. Niemcy wiedza, jak uczciw taka rocznica...)

Wtedy niedaleko Zielonego Rynku uslyszal jakis swojskie: — Gdzie sie pchasz, Zydziaku! — Dokladnie tak samo zapytali go w polowie wrzesnia na dziedzińcu szpitala w Warszawie dwaj studenci (a moze to byli mlodzi lekarze?). Pracowal w tym szpitalu po pieszej ucieczce z Łódzi. Wówczas nie bylo zolitych opasek, ale jego rysy byly rownie niezawodna co opaska oznaka haniebego pochodzenia. Na łódzkiej ulicy pytanie zostalo wprawdzie zadane w rdzennej polszczyźnie, ale, jak sie okazalo, padlo ono z ust swiętutkiej daty folksdojca. W kazdym razie dwaj panowie wzli go energicznie pod reke i zaprowadzili do najblizszego komisariatu. Tam jakis podoficer sprawdzil jego zaświadczenie i z zalem puscił go wolno, dodajac jedynie: — Ale masz ty, Zydzie, swięskie szczescie. — Tym razem skonczylo sie wiec na respektowaniu urzędowego dokumentu, ale nie musialo tak byc zawsze... Wtedy w szpitalu incydent tez sie zakonczył happy endem. Dwaj lekarze, z ktorymi pracowal, cos tam wyjasnili obydwu studentom i ten pierwszy, ktory go zagadnal, podszedl do niego z wyciagnietą reką: — Przepraszam, kolego, nie wiedzieliśmy, ze...

— Dorozka wrócila, panie doktorze — sanitariusz wyrwal go z rozmyslan. Nawet nie zauwazyl, ze siedzial na jakiejś kupie cegiel. — Coś musiało sie zdarzyc, bo wszystko stanęło.

C.D.N.

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem książki Arnolda Mostowicza „Złota Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.

NR 38 (1590), 17 WRZEŚNIA 1988 R.

Łódzkie getto

10 ODGŁOSY

O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna, kiedy z paczka rozwija się w kwiat? Dalszy ciąg tej starej piosenki na pewno nie udzieli wyczerpującej, zadowalającej odpowiedzi na postawione przez tekściarza pytanie. Cudowna, doznająca miłość puentuje takie rymowanki. Komu dziś zależy na miłości? Sfera uczuciowości to rynek, na którym obowiązują takie same prawa, jak na rynku samochodowym. Szuka się większej, szybszej, bardziej luksusowej maszyny, kupuje się to, na co nas stać, zapożyczając się, rzecz jasna, w banku lub u znajomych.

Stosunek człowieka do człowieka jest stosunkiem handlowym, szukanie partnera jest przetargiem. Kto da więcej za moją urodę, za moje wspaniałe piersi, za umiejętność błyszczenia? Facet z forsa może sobie pozwolić na znakomitą fizycznie maszynę. Stary fabrykant dzinsów przelutuje prawie wszystkie młode aktorki, o których głośno z tego powodu w belgijskiej prasie. Ohydny, śmierdzący czosnkiem Grek, nalaadowany forsa jak ślepa kicha w stanie infekcji, bierze sobie wdowę po zamordowanym polityku z Ameryki. Ciekawe, czy położyłaby się z taką ślepa kicha, gdyby kicha była trochę biedniejsza.

Georgia tej nocy była wspaniała. Niewyczerpane pomysły, zupełny brak egoizmu, ani śladu lenistwa. Gadaliśmy do rana, kochając się i odpoczywając. Było wspaniale, bo uczucie: sam czysty seks, bez złudzeń.

Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby została ze mną, żeby odeszła od Jasia Duchy na tychmiast. Ona też nie miała nic przeciw temu — teoretycznie. Wyjaśniła:

— Podobasz mi się, jest mi z tobą dobrze. Szkoda, że nie zderzyliśmy się wcześniej w kraju. Na pewno rozwinięłyby się romans, jak cholera. Na pewno przeżylibyśmy wspólnie kilka lat, może nawet mielibyśmy razem dziecko. Ale teraz jest inna sytuacja. Odecham od Janka, oczywiście, ale dopiero po otrzymaniu azylu. Teraz trzeba, żeby to wyglądało prawidłowo: małżeństwo prosi o azyl. Nie trzeba wprowadzać niepotrzebnych komplikacji w procedurę. Ale zaraz potem...

— Co zamierzasz zrobić? Wyjedziesz z Belgii?

— Nie chciałabym. Połóż mi się tutaj. Widzę, jak patrzysz na mnie facieci. Wiem, że wyglądam egzotycznie, różnie się od tutejszych kobiet... To wszystko krowy, przyjrzyj się do brzo.

— Przyjrzałem się. W dużej mierze zgadzam się z tobą. Ale na razie masz ogład niższych warstw społecznych. Bogaci nie chodzą po ulicach. Przesuwają się samochodami. Ich kobiety błyszcą w salonach, a nie w supermarketach. Nie stwarzaj sobie fałszywej wizji możliwości.

— Kotku — powiedziała — chodzi o to, żeby dotrzeć do salonu. Jak tylko załapię kontakt, dam sobie radę.

— Widzisz wyraźnie to, do czego zdążasz? — Absolutnie. Chodzi mi o forsa. Dużą forsa. Taką forsa, o jakiej nikt w Polsce nie ma pojęcia.

— Po co ci taka forsa?

— Dla dobrego samopoczucia. Kiedy byłem siedemnastoletnią podfruwajką, ogłądałem zaparkowane przed hotelami zagraniczne samochody. Kiedyś przed „Europejskim” zobaczyłem cudo, o nazwie „Lamborghini Espada”, o mało nosem nie wybiłam bocznej szyby, żeby zobaczyć, co też za liczbą figuruje na liczniku, było chyba trzysta z czymś. Wtedy wyszedł z hotelu taki kurdupel włoski, wiesz, jedno z takich czarniactw, poduszonych gównem ze złotymi sygnetami na pazurach... Spojrzał na mnie obojętnie i odjechał. I wtedy pomyślałem sobie: człowieczku, jeżeli ty masz powód, żeby przyjeżdżać do Polski, to uwalę nie jestem bogaty. Prawdziwi bogacze nie przyjeżdżają do Polski.

— Dlaczego? — zapytałem zdumiony. — Przecież to mógł być właściciel firmy, która... Georgia roześmiała się. Pociągnęła mnie energicznie za ramię. Miał to być gest żartobliwy, a był bolesny.

— Chłopcze — powiedziała. — Właściciele czegośkolwiek liczącego się w świecie nie przyjeżdżają do tego kraju.

— A Fiat?

— Fiat ma swoje interesy w Hiszpanii, w Brazylii, może mieć i w Polsce. To co innego. Głazila teraz fragment, którego przedtem zadawała ból. Musieliśmy przerwać konwersację. Wstałem i podniosłem Georgię na ręce. Przy zapalonym świetle, w wprost wielkiego lustro w staromodnej szafie, kochałem dziewczynę w powietrzu. Długimi, smagłymi nogami opłatała moje biodra, ramionami trzymała mnie za kark. Wparty mocno stopami w podłogę, przechylił się do tyłu, trzymałem ją za pośladki, unosząc jej ciało rytmicznie. To, że stanowi dla niej jedyne oparcie, podnieciło ją mocno, szybko osiągnęła orgazm. Ale nie chciała zmienić pozycji. Wkrótce akt zamienił się w pracę, ponieważ ważyła swoje pięćdziesiąt pięć kilogramów. Jednak moje podniecenie było większe od zmęczenia. Nie poddawałem się, obaj pracowaliśmy znakomicie. Po kilkunastu minutach strzeliłem w nią z taką ulgą, jakby to było zwycięstwo w walce o życie. Georgia też doszła.

— Jesteś mocniejszy od Janka — powiedziała, gdyśmy się już wydyszełi. — Na początku próbowałem w ten sposób, ale później...

— Słuchaj, gdybym spędził z tobą tydzień, to już bym takich rzutów nie robił, nie ludź się. Poszczę od trzech miesięcy i podnoszę ciężary w klubie na Université Libre, dlatego mam trochę pary, ale dziecko drogie, zapamiętaj sobie ten akt dobrze, żebyś miała o czym myśleć podczas stosunku z jakimś bogatym, skrzypiącym staruszką...

Panęła mnie żartobliwie po głowie.

— Ty też pomyśl o swojej przyszłości. Na pewno tutaj jest dużo bogatych wdów. Wiesz, na Zachodzie facieci korykują na zawal serca,

tm bogatsi, tym więcej korykują, bo stresy i tak dalej. Kobiety żyją przeciętnie o piętnaście lat dłużej. Gdybyś poderwał taką samotną, miłą staruszkę, słuchaj, ptasiego mleka by ci nie brakowało. Mogłbyś pisać, podróżować, uprawiać sport, wymarzone życie dla takiego facieci jak ty!

— Nie przepadam za staruszkami.

— Janek mówił to samo. Obaj jesteście głupcami. Staruszki mają jedną doskonałą cechę: szybko znikają ze sceny.

— Można trafić na taką, która pociągnie do setki. Trzydzieści lat zmarnowane...

— Bzdura. Pod osiemdziesiątkę taka dziewczyna już nie potrafi kontrolować ani majłku, ani ciebie. Robisz, co chcesz.

— Łącznie z wynoszeniem nocników.

— Znowu gadasz bzdury. Nie mówimy o wdowie po notariuszu, tylko o dużych pieniądzech. Widziałeś te pałace w Uciele? To są właściwie pieniądze. Armia pokojówek, pielęgniarek, starsza pani ma opiekę jak królowa. A ty w tym czasie rezydujesz w jednym z jej domów, a właściwie już jednym z twoich domów, gdzieś w Alpach, albo na Florydzie, albo na Riwierze. Co kilka dni porozumiewasz się z nią telefonicznie, o nic więcej jej nie chodzi, możliwe, że nawet nie pamięta twojego imienia, może myśleć, że jesteś jednym z jej wnuków.

— Odwróćmy sytuację — powiedziałem — zamiasz staruszkę postaw staruszką. Widzisz się w roli wnuczki?

— Jak najbardziej — powiedziała Georgia. — Mogę być nawet prawniczką. Im starszy, tym lepszy.

O czym marzy dziewczyna

— Chodzi ci naprawdę tylko i wyłącznie o forsa?

— Zgadłeś, przyjacielu — powiedziała Georgia i obsunęła się w dół posłania. Wzięła moje zmęczone zwierzątko do ust i wczarowała w nie życie.

— Jak się ma forsa — zabelkotała, starając się mówić i trzymać jednocześnie — to można mieć i takie rzeczy bez problemu...

Naciągnąłem ją na siebie, usiadła mi na twarz, pochylona do przodu robiła swoje z wprawą, znaną z wieloletniego doświadczenia i prawdziwego umiłowania sportu. Lubie tę pozycję, nazywam ją „astronomiczną”, ponieważ masz człowieka nad sobą słońce i księżyc jednocześnie, wszystko w zasięgu pięciu zmysłów. Ież to razy, jako dzieciak, chciałem polować księżyc albo zanurzyć palec w słońcu? Więc to jest właśnie sposób na spełnienie tych marzeń, ofermo. Spróbuj.

Georgia po prostu oszalała, kiedy zakneblowałem jej wszystkie otwory, oprócz uszu. Wham, bam, thank you ma'am. Trzy orgazmy w minutowych odstępach. Ta dziewczyna to karabin maszynowy, w wiecznym pełnym magazynie! Sprawiała mi ogromną radość tym strzelaniem. Człowiek chce być potrzebny, widzieć efekty swojej pracy. Szczęście dami jest moim szczęściem, nie inaczej, ofermo. Pomyśl o tym.

Janek Duch leżał pijany, nieprzytomny, na kanapie obok pożerał szklankę, niejakiego Opari Mariana. Reszta nysusów spała gdzie popadło, niektórzy w miękkim podłożu własnych ryzygwin. Oferty. Kiedy przetrzeźwieją (bo nie wytrzeźwieją chyba nigdy), ochlapia się wodą, zmieniają łachy i wyjdą na ulicę, żeby przyglądać się kurwom, mknącym w mercedesach i BMW, z nieodłącznymi pudełkami pod tylną szybą. Nałapią się wrokiem tych cudowności i wrócą do wyr, żeby walić konia, o ile nie spiją się znów tak, że w ogóle zapomną, że są mężczyźnami.

Georgia zmęczona, wypompowana, ale zaspokojona, prawie szczęśliwa. Wiele ludzi myli zaspokojenie ze szczęściem, dlatego potrzebują forsy, wydaje im się ona nieodzownym warunkiem osiągnięcia szczęścia, bo przecież dzięki niej można osiągnąć stan zaspokojenia.

— Jestem szczęśliwa — powiedziała, odpoczywając, gładząc leniwie moją spoczną klatkę piersiową.

— Gdybyś była — powiedziałem — nie chciałabyś niczego więcej.

— Właśnie takie poczucie szczęścia daje człowiekowi siłę, i wtedy zaczyna chcieć więcej. Bo wie, że może zdobyć to, co chce.

Nie dziwiłem się już, że nie żył z sobą od roku. Chciwość tej latoty ludzkiej żeńskiego rodzaju przechodziła odporność Ducha. Kiedy poznał dokładnie jej charakter, jej pragnienia i bezwzględność, przestraszył się chyba, nie mógł uwierzyć, że ta jego wymarzona Georgia, którą zabrał puzoniście jaszowemu, jej pierwszemu mężowi, jest osobą uczuciowo niedorozwiniętą.

O powiadała mi teraz swoje życie. Tak, była gadatliwa. Lubiała dwie, nie, trzy rzeczy: seks, gadanie i jazdę samochodem. Tu miała seks, ale gdyby stała w drzwiach fa-

cet, trzymający w ręku kluczyki od porsche'a, Georgia wstąpiła w łóżko bez słowa i zniknęła za pierwszym zakretem.

— Wiesz, dlaczego pierwszy raz wyszedłem za mąż? Ten facet grał na puzoniu, taki koncert w lesie, w Głzycku. Obok estrady stał włoski skuter, Lambretta, czy coś takiego. Ogłądałem ten skuter, jak głupia. W przerwie koncertu podszedł do mnie, zapytał, czy mam prawo jazdy. Miałam. Dał mi kluczyki i powiedział, że mogę sobie jeździć, ile chcę. Pojechałem. Wieczorem poszedłem do jego pokoju. On był kaleką, rozumiesz, małeńki, jedna noga krótsza. Nie mógł nawet marzyć o takiej dziewczynie jak ja. A ja wiedziałam, że mam nad nim przewagę, że będzie mnie kochał i pracował dla mnie, że wkrótce kupimy sobie samochód i zaczniemy jeździć za granicę. To dopiero byłoby życie! No i starał się, jak mógł. Po miesiacu był ślub, zamieszkaliśmy w wynajętym domu pod Warszawą, on komponował, koncertował, ale niestety, minęły dwa lata i o samochodzie ani słycho. Nie wystarczało forsy. Wtedy poznałem Janka. Duch już był znany, ale jeszcze nie tak. Dopiero przy mnie zdobył się na osiągnięcia. Miłość go uskrzydliła. Sprzedał stary samochód, kupił nowy, wiesz, miał alfe romeo. Dawał mi jeździć, ile tylko chciałem. Wiesz, czasami wjeżdżałem na uczelnie tą alfą, a tu obok mnie parkuje profesor jakimś starym volkswagenem garbusem, takie pudło zardzewiałe, niedźwie. Patrzę na tego gościa, on patrzy na mnie, i ja sobie myślę: baranie, jesteś profesorem, i co z tego masz? Starego grata? Przecież to ustydy czymś takim się pokazywać! I wtedy zaczęłam rozumieć, że w tym nędznym kraju nie wytrzymam długo.

— Nie rozumiem — przerwałem jej — powinnaś być usatysfakcjonowana tym, że masz lepszy samochód niż twój profesor. Dlatego właśnie powinnaś myśleć, że to dobry kraj do życia, że już coś w tym kraju znaczysz, bo

masz więcej niż profesor. Idąc twoim tropem myślenia.

— To jest rozumowanie oświeceniaka — obruszyła się. — Rozumiesz, ja mam kawalek starej marchwi, ale inni zdychają z głodu, wiesz ja mam, znaczę, o wiele lepszą sytuację. Sztandynger kiedyś powiedział, a może to był Lec, że kiedy mu się zdawało, że dotarł do ostatniego dna, to usłyszał pukanie od spodu. Fajny kawał, ale w życiu, to ja na takim przedostatnim dniu nie mam zamiaru siedzieć. Imponuje mi bogactwo, nawet, jeśli nie należy do mnie, bogactwo świata, ludzi wokół mnie. W takim świecie nie ginę, mam pewność co do tego.

— To jest rozumowanie psa — powiedziała. — Wokół uczucia, a ty czekasz pod stołem na kości i ochlapy, i wiesz, że je dostaniesz. To ci daje spokój, pewność przeżycia następnego dnia.

— A żebyś wiedział — rzekła z przekonaniem. — Wśród bogatych nie giniesz. A wśród biednych to nawet średnio zażożnym trudno być.

— No i co?

— Jak to co? Odecham od Janka, ponieważ nie spełnił moich oczekiwań. Jego kariera, wiesz... Jaka kariera można zrobić w Polsce? Jeszcze, gdyby Janek był Żydem — powiedziała — z żalem. — Ale on nawet Żydem nie jest.

— Głupi kutas — powiedziałem z przekonaniem. — Powinien się obrzezać i chodzić z fufarą na wierzchu, zaraz by się wam poprawiło.

— Nie wygłupiaj się. Wiesz, co mam na myśli.

— Wiem. A co się stało z puzonistą?

— Tkwi w tym samym bagnie. Gra na puzonie i komponuje. Podobno ma jakiś samochód, jakiś plastikowy z NRD, nie wiem, mówiono mi tylko.

— Nie martw się, co Janek robi, jak odejdiesz?

— Ani trochę. Czy on martwił się o mnie? Spędziłam z nim pięć lat, pięć długich, bezpowrotnie straconych lat! A przecież już w rok po ślubie namawiałam go do wyjazdu. Mogłiśmy wyjechać cztery lata temu, bez problemu. Wtedy jeszcze nie zadził z „Wolną Europą”, z Żydami, dałby mu pracę w radio, albo w czymś takim, wiesz, jakie by to było życie?

— Przecież i tak byś od niego odeszła, on by miał jakąś smutną pensyjkę w tej „Wolnej Europie”, a ty byś już poznała urok bogatego świata...

— Pewnie! Byłabym o cztery lata młodsza. Wiesz przecież, jak wspaniale wtedy wyglądałam. Nis było faceta, żeby się nie zainteresował.

— Cera miała lepszą, to fakt — powiedział złośliwie — ale pierś to teraz masz lepsze, pełniejsze.

— No, tak — powiedziała, udobruchana, i machinalnie pomacała sobie pierś. — A cera, to wiesz, nerwy i brak żarcia w Rzymie... Ale szybko dojdę do siebie. Włosy już mi przestały wychodzić. Niezłe mam włosy, co?

Rzeczywiście, były to znakomite włosy. Gdybym był perukarzem, nie marzyłbym o niczym innym, tylko o całym wagonie takich włosów. Patrzyłem teraz na Georgię jak na zestaw fizycznych elementów, nie jak na istotę ludzką, obdarzoną tym bliżej nieokreślonym wnętrzem, które jedni nazywają duszą, inni intelektem, zresztą diabli wiedzą, co to tam w środku człowieka tkwi, co powoduje, że ktoś jest dla kogoś innego ciekawy. Georgia już mnie nie ciekawiła, była kuklą, nadmuchiwana gumową kobietą, którą można kupić w porno-shopie, tyle że żywą. Oczywiście, że żywa kukla jest zawsze lepsza od gumowej. Ale w pewnym momencie człowiek sobie zdaje sprawę, że stosunek z taką kobietą, jak Georgia, nie jest zasadniczo różny od stosunku z kukłą. W obu wypadkach jest to rodzaj masturbacji.

W mojej sytuacji musiałem się zadowolić tym, co było. Głód seksualny to potężna siła. Uczeń powiada, że pierwszym, najważniejszym głodem, jest głód fizyczny. Na drugim miejscu plasuje się głód seksualny. Na trzecim miejscu dopiero głód wolności. Wniosek dla rządzących: nie rozpieszczę ludu żarciem, zamknąć burdele... Ludziska zajęci gotówką za kotłetem i dupą, nie pomyślą nawet o tym, że siedzą w klatce. Dopiero jak się nara i podupca, o, wtedy zaczyna się kolomyjka! Dlatego zwykłe zaczyna się szumieć tak zwani intelektualści? Bo mają za dobrze, sukinyśny. Piją koniaki, zakaszają kawiozem i tarzają się w rozpucie, nadużywając języka. Mądry władca stawia na nie dożywionego proletariatu, który językiem posługuje się nieporadnie, raczej z rzadka i niechętnie. Przykładem kraje takie, jak choćby Haiti, gdzie Jan Duch przybył rok później, żeby wziąć rozwód z Georgią w ciągu jednego dnia.

Na razie jednak Georgia leży w łóżku ze mną i coraz mniej interesuje mnie jako człowiek. Jakież mam jednak prawo oceniać moralność i psychikę Georgii, ja, który wieczorem zbilżbym wszystko, żeby tylko dobrać się do jej czarnego, wilgotnego krocza? Ha, teraz, kiedy już się obżarłem jak wilk, zaczyna mi się nie podobać brutalna i pozbawiona wszelkich hamulców pazerność tej samicy. Po kilku doświadczeniach każdy facet ma tendencję do karności. Miałem kumpla, który brał dziewczę z ulicy, płacił jej, rznął, a potem płacił podwójnie, żeby z nim spędziła jeszcze godzinę, podczas której potępiał jej styl życia, nawracał na uczciwą drogę, proponował pracę w fabryce na przykład, gdzie mogłaby zarobić miesięcznie dokładnie tyle, co na kurewstwie w ciągu połowy wieczoru.

Zaśmiałem się, przypomniał sobie tego nieszczęśnika, ponieważ byłem kiedyś świadkiem jednego z jego kazań, wygłoszonego w czasie, kiedy dama wypelniała swoje zawodowe obowiązki właśnie ze mną. Rozpraszano mnie jego gadanie, seans trwał długo, w końcu nie wytrzymała:

— Te, papuga, weź sobie z torebki swoją forsa, jeszcze ci stówę dorzucę, tylko się zamknij.

Było to w czasach, kiedy ta rozrywka kosztowała trzysta złotych, a za pięćset z kolacją to na całą noc.

I tu właśnie pies pogrzebany. Można mieć frajdę z dziewczuchą z baru, czy z ulicy, można sobie z nią nawet fajnie pogadać, nawet — co mi się kilka razy zdarzyło — wejść w roman-sowy jakby układ, pełen ciepła i przyjaźni. Przez wiele lat miałem przyjaciółki, które zwierzały mi się z najbardziej zwirowanych problemów i którym ja się zwierzałem. Były na sprzedaż, ale nie całe, nie ze wszystkim. Zawód co innego, człowiek co innego, choć w ogromnej większości wypadków od kurew należy trzymać się z daleka, bo są to psychopatki, wariatki, złodziejki, kłamczuchy i w ogóle osoby upośledzone umysłowo, roznosicielki wszelkich możliwych przypadłości. Ale miałem w swoim długim życiu trochę zadziwień, wynikających ze zderzenia z kobietami na sprzedaż.

Georgia natomiast wydała mi się zjawiskiem przewyższającym moje rozumienie pojęcia „kurewstwo”. Ona miała na sprzedaż wszystko. Nie tylko ciało, zadbane, młode, wrażliwe. Ale wszystko: cały mózg, do ostatniego zakamarka, cały system nerwowy, psychikę, duszę — jeśli coś takiego istnieje. Przeciekowała, wywalona od środka na wierzch, proszę bardzo, bierzcie, katuszcie, kto da więcej?

— A kiedy będę bogata — powiedziała sen-nie, starając się wyciągnąć poduszkę spod mojej głowy — wtedy Janek zrozumie, co stracił. Zrozumie, że powinien wyjechać ze mną wcześniej, że powinien pracować z większym zapałem. Polecę na starca za stercem, zobaczysz, jaki numer wytnę. Będę miała miliony, Andrzejku, nie przejmuj się. Jeszcze ci dam takie stypendium, że nie będziesz wiedział, na jakim świecie żyjesz.

— Dziewczyno — powiedziałem — azyl polityczny dla ciebie, to pomyłka.

— Wiem — roześmiała się cicho. — Każdy z nas powinien prosić o azyl ekonomiczny...

— Każdy, oprócz ciebie. Ty powinnaś wystąpić o azyl kurewski.

— Ach, nie zawracaj głowy. Wezmę, co dadzą...

— Ja też — powiedziałem. — Jak dają, trzeba brać.

I leżąc na prawym boku podłączyłem się do niej od tyłu. Co za gratka, mieć zawodówkę za darmo!

C.D.N.

A może do kina?



Proponujemy dziś polski film Andrzeja Barańskiego pt. „Tabu” (na kanwie powieści fińskiego pisarza Timo K. Mukki). Barański nie boi się zwirowałości i codzienności. Dał tego dowody w dwóch poprzednich filmach: „Niech cię odleci maza” i „Kobieta z prowincji”. To przyglądanie się życiu potrafi Barański przenieść z literatury do filmu. Ale literaturę wybiera też swobodnie, nie ciesząc się rozgłosem. Akcja „Tabu” dzieje się w Warszawie, ale w sposób jakiegoś odosobnienia, na odludziu osada robi wrażenie antycznej sceny, na której tle reżyser przedstawia to, co przydarzyło się dwóm kobietom, matce i córce. Pokochały one jednego mężczyznę, a on wybrał córkę, czy też uległ córce...

W filmie występują: Grażyna Szapolowska, Bernadetta Machala-Krzemińska, Bronisław Pawlik, Krzysztof Gosztyła, Zofia Merle, Olaf Lubaszenko i inni.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

* „Wrzesień — Miesiącem Filmu Polskiego”, pod takim hasłem do końca września prezentowane będą w kinach (poza kinami premierowymi) najciekawsze pozycje — ujęte w formie przeglądów tematycznych, takie jak: „Wielkie Wideo Filmowe”, „Przegląd Filmów Archiwalnych”, „Polski Wrzesień 1939 r.”, „Problemy Współczesności”, „Przegląd Komedi Filmowych”, „Kreacje aktor-skie” itd.

* Na uroczystości 40-lecia (listopad br.) Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi zapowiadają swój przyjazd Robert Wise (reżyser — ten od „West Side Story”), przewodniczący hollywoodzkiej Akademii Filmowej.

WŁÓKIENNICZA SPÓŁDZIELNIA PRACY IM. L. PAKINA w Pabianicach, ul. Kilińskiego 25

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych

MASZYN

	szk.	rok bud.
1. SZYDEŁKARKI PEŁSKIE LD-14, LD-15	3	1974—1975
2. NÓZ KROJCZY LU-9	1	1971
3. OVERLOKI	3	1971—1984
4. ŚPIBNOWKI „LUCZNIK”	2	
5. ŁANCUSZKARKA TALERZYKOWA	1	
6. KROSNA ANGIELSKIE	4	
7. CEWIARKI „HACOB”	5	
8. SNOWADŁO TASMOWE SZYBKOBIEŻNE	1	
9. MASZYNNKI ŻAKARDA	14	
10. ŁĄCZARKA	1	
11. TRANSPORTER	1	

Przetarg odbędzie się w dniu 20.09.1988 r. w świetlicy spółdzielni, przy ul. Bocznej 11 w Pabianicach, o godz. 10. Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej w dniu przetargu do godz. 9.30 w kasie spółdzielni Maszyn i Urządzeń można oglądać od dnia ukazania się ogłoszenia do dnia przetargu w godz. 7—15.

Braków w wyposażeniu nie uzupełniamy, za wady ukryte sprzedanych maszyn spółdzielnia nie ponosi odpowiedzialności.

Wszelkich informacji związanych z przetargiem udziela Dział Głównego Mechanika, tel. 15-59-21, 15-21-24 w 7 i 9.

2559/K

PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU ARTYKUŁAMI WYPOSAŻENIA MIESZKAŃ „D O M A R” w Łodzi, ul. Piotrkowska 190

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych

MASZYN I URZĄDZEŃ

1. WCIĄGNIK ELEKTRYCZNY, typ T-105-22K, rok budowy 1969, procent zużycia 70, cena wywoławcza 187.412 zł.
2. STRUGARKA DO METALI, typ PAB-40, rok produkcji 1978, procent zużycia 15, cena wywoławcza 285.287 zł.
3. WÓZEK AKUMULATOROWY, typ EV-418, procent zużycia 70, producent „Balkancar”, nr fabr. 1967, rok produkcji 1974, cena wywoławcza 98.636 zł.
4. WÓZEK AKUMULATOROWY, typ EV-418, nr fabryczny 3110, rok produkcji 1975, procent zużycia 65, cena wywoławcza 61.608 zł.
5. WÓZEK AKUMULATOROWY, typ EV-418, nr fabr. 1884, rok produkcji 1974, procent zużycia 70, cena wywoławcza 100.631 zł.
6. WÓZEK AKUMULATOROWY, typ EV-418, nr fabr. 1999, rok produkcji 1974, procent zużycia 70, cena wywoławcza 67.981 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 23 września br., o godz. 11, w bazie magazynowej przy ul. Armii Czerwonej nr 28b.

Wyżej wymienione urządzenia można oglądać w bazie magazynowej w dniach 19—21 września br., w godz. 9—12.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić w kasie przedsiębiorstwa, Piotrkowska 190 — III piętro, do dnia 22.09.1988 r. Zastrzeżenie się prawo wyboru oferenta, częściowego wycofania maszyn lub unieważnienia przetargu.

2563/K



Mały telefon dla reporterów? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podaj adres, słuchawka i wykręć numer 30-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:
15 września — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—15.
22 września — JERZY KWIECIŃSKI — godzina 10—15.

Relacja z dyktura przy telefonie z dnia 8 września 1988 r.

Ten dyktura nie należał do spokojnych (20 rozmów), co dobrze świadczy o naszych Czytelnikach, lecz zbyt często zło o instytucjach, bądź ludzkiej odpowiedzialności za cokolwiek.

Sporo jest spraw, które powinny być załatwiane funkcjonalnie przez instytucję, a nie ciągnąć się tygodniami, psując krew logicznie myślącym obserwatorom tych niezgodnych sytuacji. Często decyduje, które powinny zostać wydane przez szeregowe urzędnika, musi zapadać na najwyższych szczeblach władzy. Bywa że dopiero interwencje organów centralnych przywracają ład, który zapewnił winien referent urzędu dzielnicy. A bywa, że niezrozumiały i niezłowny przepis nie jest w stanie zmienić nikt w kraju — i to jest dopiero zdumiewające.

Oto przykłady:

Pan R.D. (nazwisko do wiadomości redakcji) opowiada o ulicy Krótkiej, która w stronę Juliana-wa jest biurowym kłopotem. Odpowiednie służby miały zlikwidować problem, jak to zrobić? Ano, ustawiono znak drogowy: „Ulica bez przejazdu”. Nasz Czytelnik podnosi jeszcze następujące sprawy: na ul. Zachodniej szaleje rowerzyści, i — bywa — przewracają przechodniów. Zbyt rzadko pojawiają się tam patroli. W okolicach Bazarowej przy Zachodniej kierowcy urządzają sobie wyścigi, choć zebrały dla pieszych nakazują ostrożność. Na koniec rozmowy coś z polityki: według pana R.D. Jerzy Urban mówiąc na konferencji prasowej, że „tych mek” (chodzi o okrągłe stoły — M.K.) mamy dużo, ośmiesza rząd, który reprezentuje.

Pani Maria Chmielewska: są przystanki kolejowe: Łódź Retki-nia, Dąbrowa Przemysłowa, Łódź Zaryw i inne. Przejżdżając tamtejsze pociągi (wcale nie pospieszne) nie zatrzymują się i „wy-rzucają” pasażerów dopiero na Dworcu Kaliskim. Ludzie mieszkający w okolicach wymienionych przystanków muszą tramwajami i autobusami wracać tam, gdzie byli 10 minut wcześniej, tyle że bez możliwości wyjścia z pociągu. A wystarczyłoby, żeby pociąg zatrzymał się na 2 minuty. Żeby wpaść na tak genialny pomysł, oszczędzający czas i ludzi, wys-tarczyłoby pomyśleć nie dużo.

Bolesław Lipnicki — szef produkcji odlewni „Wilfa” jest mieszkańcem Widzewa-Wschodu. Przy ul. Gorkiego, przed blokami 324, 325 i 328 ktoś beztępienie zdecydował, by wyznaczono ogró-dzinę. Ani tam się bawie dzie-ciom, ani to parking. Żeby jakoś zamaskować tę chybłą decyzję, konceptu nie starczyło jednak na wymyślenie przeznaczenia owych działów. Ludzie zachodzą w głowę, co je ustawiono i są oburzeni. Żeby chociaż posadzono w nich kwiaty, byłoby ładniej i koloro-wo. Widać trudno o tak historyczną decyzję. Druga sprawa: pla-ga gołębi, które paskudzą na bal-kony i parapety, co powoduje du-żący smród. Dochodzi do kon-fliktów między zwołaniami a przeciwnikami tych ptaków, za-drażni się nawet rękoczyni. Gołę-bie upatrzyły sobie na „mieszka-nia” wywietrzniki i pozapychały je. Ktoś powinien się tym zająć.

Gospodarzem terenu jest RSM „Bawelna”.

Pan A. z ul. Łęczyckiej (prosi o dyskrecję): 27 sierpnia pękła rura wodociągowa. Woda lała się nieprzerwanie do 2 września, do godz. 17, powodując milionowe straty. W tym czasie okoliczne krany były suche. Interwencje gazet codziennych i telewizji nie skutkowały. Pan A. zadzwonił do Urzędu Miasta, gdzie usłyszał od pani pełniącej dykturę 1 września, że jeśli nie ma wody, to niech sobie niealapie. Dopiero interwen-cja w KC PZPR spowodowała, że przejechał do naszego Czytelnika inżynier miasta w asyście dwóch pracowników KŁ. Wcześniej, w rozmowie telefonicznej, inżynier miasta „miał język długi jak kosa”, a w obecności pracowników KŁ stracił rezon.

Bogdan Tomczak kupił w komi-nie przy al. Kościuszki wzmacniacz za 42 tys. zł, który okazał się u-szkodzony. Agent odmówił zwrotu gotówki i jest „na prawie”. Zgo-dził się, co prawda, przyjąć aparat z powrotem, ale z 12 proc. stratą klienta. I to oburza Czytelnika, gdyż doskonale wie, że agent sprę-dając wzmacniacz powtórnie, nabija-jąc w butelkę kogoś innego. Pre-strzega więc potencjalnych nabyw-ców przed zakupem w komisie przy al. Kościuszki.

Pik. Drożdż skarży się, że osie-dle Odrzańska pozbawione jest ga-zu. Dowożony jest, co prawda, gaz w butlach, ale tylko do godz. 15. Kiedys wożono do wieczora. Dziś tracą więc ci, którzy pracują do 15, a tak pracuje większość. Komu przeszkadza dawny zwyczaj, kory-stny dla mieszkańców osiedla? Poza tym, ten, kto leży na tap-czanie, jest wygrany, odpada mu sporo kłopotów. A tyle mówi się o szacunku dla pracy...

Pani A.N. (nazwisko do wia-domości redakcji) z ul. Wschodniej jest oburzona i zbulwersowana. Starszy mężczyzna, który zasiadł i zmarł w południe, w centrum miasta (róg Jaracza i Wschodniej), przeleżał na chodniku przykryty prześcieradłem 2 godziny, nim o-powiednie służby komunalne za-brwały zwłoki z ulicy. To „skan-dal”. Nasza Czytelniczka wróciła właśnie z wakacji w Bułgari i tam obserwowała, jak z ruchliwej au-tostady często gęsto wpadające pod samochody psy sprzątano w ciągu kwadransa. A tu człowiek przeleżał 2 godziny!

Pan Jerzy Mielczarek, powołuje się na reportaż Jolanty Wron-skiej w „Polityce” o niesprawie-dliwym przydziale działek bu-dowlanych w Łodzi — proponuje podjąć ten temat przez „Ogłos-zy” i dociec głębszych prawd. Np. czy podjąć na niektórych decy-zjach przez prezydenta miasta i sekretarza KŁ, składane były ta sama ręka, jako że w tym właśnie czasie nastąpiła zamiana fotela i ta sama osoba zaczęła pełnić nowe funkcje.

Zadzwonił z Radomska pan Jan Mielczarek, pracownik spółdzielni produkcyjnej w Wiednie. Opowie-dział o karygodnym marotraw-stwie: przed rokiem zginiło 15 ha łąki, dziś nie zebrano bobiku z 25 ha. Straty zawinione przez nieudolnych „decydentów” ze spół-dielni sięgają 70 mln zł. Jest to „szybki” temat dla reportera, bo przykłady podane w rozmowie są pierwowzory z brzęgu.

Pan Jan Stojanowski prosił o interwencję w ubiegłym tygodniu zgłosił w MPO wywóz szamba. Do dnia dyktura redakcyjnego nikt nie przyjechał, szambo wylewa się z dołu, cuchnie, itd. Zadzwoniłem do oddziału wywozu nieczy-ściwości MPO Pani, która podjęła telefon obiecała załatwić szybko i dobrze. Dobrze i to, choć takie sprawy naprawdę nie prasa po-winna załatwiać, o czym pisał

również Andrzej Gębarowski na wstępie relacji z dyktura ubiegło-tygodniowego.

Czytelnicy dzielą się również z dykturującym reporterem różnymi sprostowaniami, które świadczą między innymi o bacznej obser-wacji życia i o tym, że ludzom nie jest obojętne, co dzieje się dookoła.

Pan A.K. (była prośba o dys-krecję) chodząc po Piotrkowskiej dostarcza, iż niektóre samochody nie przestrzegają przepisów dro-gowych. Chodzi o nakazy skrętu w prawo. Te „równiejsze” pojaz-dy, to nie oznakowane wozy mu-nicyjne oraz należące do Urzędu Miasta. Jeśli już tak jest, należa-łoby napisać pod znakiem: nie dotyczy milicji i samochodów U-rzędu Miasta i wtedy byłoby w porządku. Tymczasem drażni wie-lu podział na różnych i równie-szych. W tej samej sprawie, z ty-m samymi sprostowaniami za-dzwonił pan Andrzej B. O czym więc to świadczy.

Pan, którego nie zdążyłem zapy-tać o nazwisko, a przedstawiają-cy się jako przedwojenny socja-lizm twierdzi, że zdjęcie zamiesz-czone w poprzednim numerze „Ogłoszy”, ilustrujące tekst Ar-turka Mostowicza, jest odwróco-ne (lewa strona jest prawa). Pan ow pamięta dokładnie ten frag-ment miasta i wie, że się nie myli.

W poniedziałek, 5 września, „Głos Robotniczy” zamieszczył roz-mowę z prezydentem Radomska, z której wynika, że miasto jest fantastycznie zaopatrzone w mię-so. Oburzona Czytelniczka twier-dzi, że to nieprawda, że dzienni-karz nie sprawdził, jak jest w rzeczywistości, przytaczając słowa bez pokrycia. Poza tym, Szkoła Podstawowa nr 10 w Bełchatowie przyjęła dzieci, choć Sam-Epid, nie wyraził na to zgody.

Zadają się również zwierze-nia, bo wiadomo, że jak się czło-wiek wygada, to trochę lepiej na duszy. Pani B.K. (dyskrecja) przez godzinę opowiadała o swej ge-nialnej z mężem alkoholikiem. Przerzuciła, do czego może do-prowadzić człowiek siebie i naj-bliższych (wydawałoby się). Wła-snoręcznie i bez przymusu!

Była jedna prośba o rozstrzygnięcie presyjowego zakładu. Sta-nisław Krak zapłacił, czy to pra-wda, że po gen. Okulickim, który rozwiązał AK, delegatura ion-dyńska wyznaczyła jako jego na-stępcę pik. Krzemienieckiego, mie-szkającego do dziś w Waszyng-tonie, który odznaczał prezydenta Reagana krzyżem warszawskim. Pytanie podaje dosłownie.

No i wreszcie oceny niektórych materiałów drukowanych w na-szym tygodniku. Nie ma tym razem szczególnych koledey po pio-rze, bo dwie rozmowy krytyko-wały piszący.

Pani I.A. (prosiła, by nie poda-wać nazwiska), pracującą 15 lat w służbie zdrowia, nie podoba się lekceważący ton w sprawozdaniu z ostatniego dyktura Andrzeja Gę-barowskiego, gdy pisze o dziew-czynie z ul. Nawrot, która od-krzyła w sobie talenty udrzwicie-lskie. Czytelniczka nasza była świadkiem leczenia 10-letniego chłopca, który się moczył. Popra-wa była ponoć radykalna. Inne-mu dziecku zrosło się rozczere-pione podniebienie. Do dziesięc-tych z ul. Nawrot przychodzi na-wet lekarz ze swym problemat-mi zdrowotnymi. Bez dokładnego poznania tematu nie można twier-dzić, że ona beruje na ludzkiej naiwności, tym bardziej, że nie czepie korzyści materialnych, a efekty jej poczyniła są widoczne — kończy pani I.A.

Pan z wyższym wykształceniem humanistycznym, w imieniu gru-py swoich kolegów z pracy, pro-testował gorąco wobec różnych o-pini i Andrzeja Karola, wypowia-danych ex cathedra, nie znoszą-cych sprzeciwu. Przeciwności An-drzejowi sposób pisania Mariana Zdrojewskiego. Chodzi o toleran-cję wobec gustów, sposobu my-slenia, życia, postępowania innych ludzi, wg ich „smaku”.

Później wybiła godzina piętna-sta i poszedłem do domu na o-biad.

MAREK KOPROWSKI

FABRYKA URZĄDZEŃ PRZEMYSŁU SPOŻYWCZEGO „Z A S T R U D N I” w Łodzi, ul. Pojezierska 97

Z A T R U D N I GŁÓWNEGO KSIĘGOWEGO

Kandydaci winni spełniać następujące warunki:

- wykształcenie wyższe ekonomiczne,
- co najmniej 5-letni staż pracy na stanowisku kierowniczym,
- uprawnienia biegłego księgowego.

MISTRZA W DZIAŁU ZBIORNIKÓW

Kandydaci winni spełniać następujące warunki:

- wykształcenie wyższe — inż. mechanik,
- uregulowany stosunek do służby wojskowej.

Oferty wraz z dokumentami prosimy składać w Dziale Spraw Pracowniczych, Łódź, ul. Pojezierska 97, tel. 51-23-81.

8774/K

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

CZY JEZUS BYŁ W INDIACH?

Na tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie interesowały mnie głównie pozycje i instytucje wydawnicze zajmujące się religioznawstwem, orientalistyką i islamistyką. Pod tym względem ciekawą ofertę miała oficyna wydawnicza Islam International Publications (Al-Sharikatul Islamiyyah) z siedzibą w Londynie. Prezentowała ona m.in. tłumaczenia Koranu i wypowiedzi (hadisy) Proroka islamu w kilku językach. Tu chciałyby przedstawić jedynie tłumaczenia z angielskiego fragment broszury wydanej, przez tę oficynę, zatytułowanej „Why Islam?”, w której przedstawia się m.in. postać Jezusa Chrystusa w sposób jak dotychczas — przynajmniej autorowi tego wstępu — niesłuszny i raczej zaskakujący.

Wspomniana oficyna wydawnicza należy do muzułmańskiego Ruchu Al-Ahmadija, założonego w 1889 r. w Kadian, małej wiosce w Pendżabie w Indiach, przez Mirzę Ghulam Ahmada. Pretendował on do roli Oczekiwanego Reformatora; a stworzony przezeń ruch ogłosił go kalifem. Funkcja ta jest dożywotnia, i od tego czasu wibracji należący do ruchu dokonują wyboru kolejnych kalifów (obecny jest IV już kalifem). Pragnieniem założyciela ruchu było zapoczątkowanie — w oparciu o islam i własne mesjanistyczne poglądy — nadejścia złotego wieku jednej uniwersalnej religii powszechnego braterstwa.

Ruch Al-Ahmadija założył gminy wyznaniowe w wielu krajach świata (m.in. w krajach Europy Zachodniej i Australii). Do ważnych osiągnięć ruchu należy budowa meczetów przez wyznawców zrzeszonych w poszczególnych gminach. W Europie pierwszy meczet zbudowano w Londynie w 1924 r. natomiast meczet gminy wzniesiony w katolickiej Hiszpanii w 1982 r. był pierwszym takim obiektem założonym w tym kraju w okresie ostatnich 500 lat — tj. od zakończenia rekonkwisty.

Wyznawcy islamu należący do Ruchu Al-Ahmadija prowadzą działalność wydawniczą, w skali światowej w wielu językach — także w języku polskim. Lista ich publikacji obejmuje tłumaczenia Koranu („The Holy Qur'an”, „Le Saint Coran”), komentarze Koranu („Commentary on the Holy Quran”), i wypowiedzi Proroka (Imam Mahmud Taha Zuk, Hadisy, Warszawa 1984).

Pierwsze wydanie broszury, której fragment przedstawiamy Czytelnikom, ukazało się w 1983 r. Od tego czasu wspomniana oficyna wydawnicza opublikowała i udostępniła zainteresowanym kilka pozycji książkowych na ten temat. Są to:

— Hazrat Mirza Ghulam Ahmad, Jesus in India (Jezus w Indiach);

— Muhammad Zafrrulla Khan, Deliverence from the Cross (Zbawienie z krzyża);

— Truth about Crucifixion (Prawda o ukrzyżowaniu);

— J. D. Shams, Where did Jesus die? (Gdzie zmarł Jezus?).

Orientacja mesjanistyczna Ruchu Al-Ahmadija leży u podstaw jego zainteresowania postacią Jezusa Chrystusa. Czy w związku z tym można oskarżać jego wyznawców w tej materii o tendencyjność lub brak obiektywizmu? Pod względem zgodności ich sądów z koncepcjami wiary islamskiej i oficjalnej doktryny islamu — odpowiedź powinna brzmieć przecząco, choć można postawić tezę o nowej szerszej interpretacji tego momentu. Islam uważa proroków — a więc Abrahama, Mojżesza, Dawida, Jezusa, Muhammada itd. — za śmiertelników, których wyróżniające się cechy ludzkie sprawiły, że Bóg wybrał ich za pośrednictwem siebie. Soba a wybrani ludźmi czy też całą ludzkością. Jest to jednak temat zasługujący na odrębne polakowania.

„Zachodzi uderzająca sprzeczność między rzeczywistym życiem Jezusa a biblijnymi legendami. Nowsze badania wykazują, że urodził się on około 8 r. p.n.e. w skromnej wielodzietnej rodzinie. Miejscem jego narodzin było nie Betlejem, lecz miasto rodziców Marii — Nazaret w Galilei. Pracę zawodową rozpoczął jako stolarz, a w późniejszych latach wstąpił do sekty żydowskiej zwanej Bractwami Ezechielskimi. Pewne badania wskazują na to, że w latach trzydziestych swego życia Jezus podróżował na Wschód aż do Indii, lecz wiadomości są nader skąpe na temat tej pierwszej podróży.

W wieku lat czterdziestu znajdujemy go w Palestynie, gdzie otrzymał Wezwanie Boże. Głosił swoją wiarę wśród ludności Galilei, lecz napotykał na silny opór uczonych w piśmie, starożytny oraz sekty Faryzeuszów, oczekujących przybycia Bojownika — Mesjasza, który wyzwoliłby Izrael spod panowania obcego jarzma. Nie powiodło mu się również w Jerozolimie, a nawet jego uczniowie nie byli pewni swej wiary. Nawiał się spisek przeciwko niemu w roku 35 n.e.; został aresztowany i postawiony przed żydowskim Sanhedrynem osądzony o herezję, a także przed rzymskim sądem oskarżony go o nawoływanie do buntu. Otrzymał wyrok śmierci i został ukrzyżowany, lecz zdjąto go z krzyża w trzy godziny później ze względu na zbliżający się Szabat, w stanie nieprzytomności a nie pośmiertnie. Bracia Ezechielscy przywrócili go do stanu przytomności i zaopiekowali się nim w grobowcu na terenie prywatnego gaju, należącego do jednego z jego członków. Po trzech dniach był on w stanie położyć się pojąłajmie w Jerozolimie. W obawie przed ponownym aresztowaniem, Jezus pokazywał się bardzo rzadko, a wkrótce po odzyskaniu zdrowia pojechał się ze swoimi uczniami na Górę Oliwną, po czym udał się w podróż do Judei, Samarii, Tyberiad i Damasku.

Następnie Jezus przystąpił do pełnienia drugiej części swej misji, polegającej na głoszeniu wiary wśród dziesięciu „zaginionych plemion” Izraela. Podróżował w kierunku północy do Nisibin i Aleppo, a następnie przekroczył Tygrys, przeszedł przez Kaszgar w centralnej Persji na swej drodze do Afganistanu. Tu oraz w Kaszmirze znajdowały się resztki zaginionych plemion Izraelitów, osiadłych w czasie Niewoli — co znajduje niepodważalny dowód w nowszych badaniach historycznych, etnograficznych i lingwistycznych. Wśród tych właśnie ludzi Jezus głosił swoją naukę, a na ślady jego obecności można trafić w Ghazni, Jala-labadzie i Murree. W tej ostatniej miejscowości zmarła i została pochowana matka jego Marii.

Jezus zmarł w bardzo podeszłym wieku 120 lat (około 112 roku n.e.) w miejscowości Sringar w Kaszmirze, gdzie można dziś obejrzeć jego grób w Roza Bal przy ulicy Khanyar (po hebrajsku: Rezia Ball, Kohiah-Ur).

Rozmiar tej broszury nie pozwala na szczegółowe omówienie jakiegokolwiek z wyżej przedstawionych punktów (...) Powiem jednak kilka słów o ukrzyżowaniu jako centralnym zagadnieniu wiary chrześcijańskiej. Żadna z opowieści ewangelicznych nie ma charakteru naocznego świadectwa, ale właśnie ich sprzeczności dostarczają nam cennych wskazówek (Biblia zawiera ponad 12 ewidentnych wypadków niezgodności dotyczących zdarzeń związanych z ukrzyżowaniem i ponad 20 wypadków niezgodności dotyczących pochowania, zmartwychwstania i wniebowstąpienia).

Można teraz podsumować dowody przemawiające przeciwko śmierci na krzyżu w sposób następujący:

1) Jezus pozostał na krzyżu zaledwie trzy godziny, co nie było wystarczająco długo do spowodowania śmierci zdrowego człowieka. Głównym celem ukrzyżowania było zadawanie ofiarom długotrwałych cierpień, i w wielu wypadkach ofiary przeżywały trzy lub więcej dni; umierały one w końcu na skutek głodu, wyczerpania i złego krążenia krwi. Znałe były przypadki odzyskania przytomności przez ofiary po dwunastu godzinach ukrzyżowania, a nawet dłużej. Stąd często stosowano praktykę doprowadzenia egzekucji do końca przez ukamienowanie lub bicie kijem.

2) Pilat, będący namiestnikiem doświadczonego w podobnych

sprawach, wyraził zdziwienie, gdy otrzymał informację o tak szybkim zgonie Jezusa (Mk 15,44).

3) Dwóch przestępców ukrzyżowanych obok Jezusa uśmiercono przez łamanie ich gołeni, lecz jemu dane było uniknąć tej męki zgodnie z prorocstwem Dawida (J 19,36).

4) Gdy jeden ze strażników włócznią przebił mu bok, wypłynęła krew i woda — co jest oznaką życia (J 19,34).

5) Pod wpływem snu swojej żony (Mt 27,19), Pilat był skrycie przychylny Jezusowi i dlatego przedłużył rozprawę tak, aby egzekucja miała miejsce w środku popołudniowej pory dnia, zaledwie trzy godziny przed rozpoczęciem Szabatu. Wiedział bowiem, iż żydowski zwyczaj wymagał zdjęcia ofiary z krzyża. Centurion i jego żołnierze otrzymali w tej mierze sygnał od urzędu namiestnika i dlatego byli odpowiednio łagodni (J 19,33).

6) W odróżnieniu od ukrzyżowanych obok niego dwóch złodziei, Jezus nie został pochowany. Zajął się nim przyjaciele, którzy uczynili odpowiednie przygotowania do jego szybkiego usunięcia (evacuation) (J 19,38).

7) Wrogowie w żadnym wypadku nie mieli pewności co do jego śmierci i dlatego czynili starania o postawienie strażnika przed jego grobem (Mt 27,63—66). Twierdzili nawet, że gdyby uczniom Jezusa udało się jego wykraść „ten ostatni błąd (error) będzie gorszy niż pierwszy”. (W polskich przekładach Biblii zamiast słowa „błąd” jest używane słowo „oszustwo” — przyp. H. J.). Jaki był ów pierwszy błąd? Mogło to być jedynie zdjęcie Jezusa z krzyża przed śmiercią. Zamierzano więc upewnić się, że umrze w zamkniętym grobie.

8) Jezus opuścił grób w przebraniu (J 20,15), a nie jako „Zmartwychwstały Pan”. Pokazał się on nielicznym tylko osobom (Dz 10,41), i opuścił Jerozolimę udając się na tajne spotkanie z uczniami w Galilei (Mt 28,16).

9) Sam Jezus przewidywał własne ocalenie od śmierci, głosząc iż jego znak podobny będzie do znaku Proroka Jonasza, który przez trzy dni przebywał ŻYWY (podkr. autora) w wnętrzu wieloryba, tak jak Jezus miał pozostać ŻYWY (podkr. autora) w swoim grobowcu (Mt 12,39—40; Lk 11,29).

10) W noc poprzedzającą swoje aresztowanie, Jezus spędził wiele godzin na modlitwie w nadziei przyszłego ocalenia od wrogów (Mk 14,36; Lk 22,44). (...) Jezus nigdy nie głosił idei poświęcenia własnego życia za grzechy ludzkości. Doktryna zbawienia przez krew Jezusa jest późniejszą inwencją św. Pawła. W rzeczywistości, słowa samego Jezusa na krzyżu: „Boże mój, Boże mój czemuś mnie opuścił?” (Mt 27,46) wyrażały momenty zwątpienia i rozpaczy.

11) Jezus zwykł mawiać, że został posłany do owiec, które poginęły z domu Izraela (Mt 15,24), do szukania i zbawienia tego, co zgineło (Lk 19,10). W owych czasach tylko dwa spośród dwunastu tych plemion były osiadłe w Palestynie, a jego misja byłaby niepełna, gdyby nie udał się na Wschód w celu odnalezienia pozostałych dziesięciu. Nie miał zatem zamiaru oddania życia; Ewangelie wspominają o podjętych próbach — od początku swej misji — środkach ostrożności dla uniknięcia ewentualnego aresztowania (Mt 16,20; J 11,53—54).

Wstęp i tłumaczenie
H. JAMSHEER

JUBILEUSZOWE REFLEKSJE

Ponad 20 lat temu znana łódzka bibliotekarka dr Wiesława Kaszubina ogłosiła drukiem niezastąpioną do dziś „Bibliografię prasy łódzkiej 1863—1944” (Warszawa 1967) w ramach wydawanej przez Pracownię Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego XIX i XX wieku Polskiej Akademii Nauk serii „Materiały i studia do historii prasy i czasopiśmiennictwa polskiego”.

Przypominam o tym dlatego, że właśnie w tym roku przypada 125 rocznica wydania pierwszego numeru polsko-niemieckiej gazety „Łódzkie Ogłoszenia — Łódzer Anzeiger” (wydarzeniu temu i samej gazecie poświęcam osobny felieton).

Bibliotekarze z Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi z okazji tego pięknego jubileuszu przygotowali retrospektywną wystawę historii czasopiśmiennictwa łódzkiego, której odozba jest unikalną w kraju kompletną egzemplarz „Łódzkich Ogłoszeń”. W imieniu organizatora wystawy zachęcam Czytelników do odwiedzenia zawsze gościnnej Książnicy przy ul. Gdańskiej 102 i obejrzenia tej interesującej ekspozycji, czynnej do końca września br.

Przy okazji jubileuszu, wystawy i książki W. Kaszubiny nasuwają się piszącemu te słowa niewesołe refleksje nad stanem zachowania tak ważnej dla dziejów miasta jego gospodarki, kultury i życia codziennego substancji źródłowej, jaką są gazety codzienne i inne wydawnictwa periodyczne sprzed lat. Autorka w przedmowie do bibliografii napisała: „Stan zachowania prasy łódzkiej nie jest dobry. Komplety, a nawet większe zespoły należą do rzadkości”. Przez 20 lat biblioteki łódzkie zwiększyły znacznie stan posiadania, ale równocześnie pogłębiły się w tym czasie nieodwracalne zagrożenia papieru — tego podstawowego nośnika treści druku, o jakich piszę w jednym ze swoich felietonów. Dlatego też korzystam nadal z informacji zawartych w książce Kaszubiny, choć niewątpliwie warto ponownie przeanalizować stan zachowania prasy łódzkiej i wyciągnąć w praktyce bibliotecznej właściwe wnioski.

Na ogólną liczbę 834 zarejestrowanych w bibliografii tytułów czasopism łódzkich, ukazujących się w latach 1863—1944, składa się 539 periodyków polskich, 109 niemieckich, 13 rosyjskich, 2 angielskie, 93 w języku jidysz (żargonie), 18 w hebrajskim, po jednym w językach: czeskim, francuskim, litewskim, ukraińskim i w esperanto. Bibliografia wymienia 35 tytułów czasopism zamierzonych, zapowiadanych i niepowybranych.

Spśród pozostałych 799 czasopism łódzkich aż 215 nie przetrwało do naszych czasów. Pozostał po nich tylko zapis bibliograficzny i niki ślady w literaturze pamiątkarskiej i innych przekazach źródłowych. W szczególności uległy całkowitej stracie czasopisma wydawane dla społeczności żydowskiej: zaginęło bezpowrotnie 69 periodyków w żargonie i 17 w języku hebrajskim. Przepadło wiele czasopism nielegalnych i konspiracyjnych, wydawanych przez podziemne organizacje różnych orientacji politycznych.

Mamy więc do czynienia ze spuścizną czasopiśmienniczą tamtych czasów liczącą 584 tytuły, rozproszoną na terenie całego kraju. Z tej liczby w samej tylko Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie jest 299 tytułów czasopism łódzkich, podczas gdy w czterech łódzkich księgozbiórach naukowych i publicznych jest ich tylko 277. Spśród owych 299 tytułów czasopism aż 183 uzupełnia kolekcje łódzkie, dając łącznie 460 tytułów. Pozostałe 124 tytuły są rozproszone w kilkudziesięciu innych bibliotekach w kraju oraz w zbiorach prywatnych.

Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego w Łodzi posiada 18 tytułów czasopism łódzkich, nie znajdujących się w żadnej innej bibliotece polskiej. Biblioteka Uniwersytecka takich czasopism ma 33. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Łodzi — 34, a Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego 2, ale Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie ma aż 151 unikatów w skali kraju. Bibliografia Kaszubiny podaje czasem wysokość nakładów niektórych czasopism, gdy było to możliwe do ustalenia. Dla przykładu „Biuletyn Radiowy Polskiej Partii Robotniczej”, wydawany w latach 1942—1943 w kilkutygodniowym nakładzie, zachował się tylko w jednym egzemplarzu w bibliotece Zakładu Historii Partii, a miesięcznik „Gastronom”, ukazujący się w latach 1922—1931 w nakładzie 2000—5000 egz., przetrwał do dziś jedynie w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Zbigniew S. Siemaszko w monografii Narodowych Sił Zbroj-

nych (Londyn 1982) odnotował wydawanie od grudnia 1939 r. czasopisma NSZ „Pochodnia”, które po zmianie tytułu na „Szaniec”, a potem „Na Zachodnim Szaniec”, ukazywało się w nakładzie od 500 do 3000 egz. Do dziś zachowane zostały pojedyncze numery tego czasopisma w jednej tylko bibliotece stołecznej.

Podobna sytuacja — widoczna jest również w łódzkiej kolekcji kalendarzy — ognia społecznej komunikacji pośredniego — pomiędzy czasopiśmiennictwem a książką. Niedawno przeprowadzone poszukiwania w największych bibliotekach krajowych doprowadziły do wniosków zgola nieoptymistycznych.

Tragiczny los Biblioteki Akademii Nauk ZSRR w Leningradzie, która niemal doszczętnie spłonęła w lutym 1988 r., powinien być ostrzeżeniem dla organizatorów gromadzenia zbiorów bibliotecznych. Trzeba jak najrychlej skopiować na mikrofilmach, mikrofilmach, foto- lub kserokopiach te periodyki, które znajdują się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie i w innych bibliotekach krajowych, póki jeszcze czas, póki te najcenniejsze z cennych dokumenty przeszłości miasta nie uległy doszczętnemu zniszczeniu. Trzeba uczynić wszystko co tylko możliwe, aby zachować dla przyszłości zanikające ślady spuścizny pokoleń.

Odwoluję się też do dobrej woli Czytelników, w których posiadaniu być może znajdują się luźne nawet, pojedyncze egzemplarze czasopism łódzkich z lat 1863—1944. Biblioteki przyjmą chętnie w darze lub zakupią tytuły i numery uzupełniające ich zbiory. Podaję adresy: Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego w Łodzi (ul. Gdańska 102) lub Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi (ul. Matejki 34/38).

ANDRZEJ KEMPA

WSPÓŁTWÓRCY POMNIKA T. KOŚCIUSZKI

W 29 nr waszego pisma przeczytałam wspomnienie o rzeźbiarzu Mieczysławie Lubelskim — twórcy, a po wojnie odtwórcy zniszczonego przez hitlerowców pomnika Tadeusza Kościuszki.

Otóż najbliższymi współpracownikami Mieczysława Lubelskiego w czasie jego pobytu w Łodzi i pracy nad rekonstrukcją pomnika byli rzeźbiarze — małżeństwo Elwira i Jerzy Mazurekowie. Jerzy Mazurek był też wykonawcą postaci Naczelnika, natomiast płaskorzeźby wykonywał rzeźbiarz Antoni Bilas. Jerzy Mazurek mieszka w Łodzi (jego żona już nie żyje) i jest w posiadaniu bogatej dokumentacji z okresu pracy nad rekonstrukcją pomnika.

Wydaje mi się (i nie tylko mnie jednej), że dziennikarskim obowiązkiem Bogusława A. Makowskiego było dotrzeć do Jerzego Mazureka szczególnie, że fakt jego współpracy przy budowie pomnika jest powszechnie znany — przynajmniej tej części społeczeństwa łódzkiego, która jest już zainteresowana historią naszego miasta.

KRYSTYNA MALISZEWSKA

TO NIE BYŁ JESZCZE WICEPREMIER!

Nie po raz pierwszy już czytam w polskiej prasie błędną informację dotyczącą Hilarego Minca. Także w „Odgłosach” nr 29/88 Jan Sawicki (Kto był pierwszym kierownikiem PAP „Pol-prasa” pisze, iż „przybyła z Lublina red. Julia Mincowa, żona ówczesnego wicepremiera Hilarego Minca”. Otóż w pierwszej połowie 1945 roku Hilary Minc był tylko ministrem przemysłu, natomiast wicepremierem był w latach 1949—1954, I wicepremierem 1954—1956. W Encyklopediach PWN błędnie podają, iż wicepremierem był od 1948 roku.

Hilary Minc zmarł w 1974 roku, Julia Mincowa w 1987.

CZESŁAW ŻYLINSKI

ŻURAWIEJKI, ŻURAWIEJKI...

Ma rację p. Raczkowski. Zawiodła pamięć mojego rozmówcę prof. G. Günthera — rzeczywiście 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich stacjonował we Lwowie, a nie w Stanisławowie, gdzie mieścił się 6 Pułk Ułanów Kaniowskich. O nich to właśnie śpiewano taką żurawijkę:

„Mina dumna, a łeb pusty
To jest pułk ulanów szósty”.

Najslynniejsza jest jednak żurawijka o 14 Pułku Ułanów: „Hej dziewczyno, w górę kiecki
Jedzie ulan jazłowiecki”.

O ulanach z Bydgoszczy śpiewano: „Beczką pija, nie pijani
To bydgoscy są ulani”.

Natomiast o ulanach z Grudziądza żurawijka głosiła: „Mają dupy jak z mostadza
To ulani są z Grudziądza”.

Niezłą sławę miał 5 Pułk Strzelców Konnych z Tarnowa: „Pod kocami dziewczki chowa
To jest piąty pułk z Tarnowa”.

Nie wiadomo czemu 21 Pułk Ułanów stacjonujących w Równem nazwano Nadwiślańskim. Stąd żurawijka: „Nadwiślańskich miano uzieli
Chociaż Wisły nie widzieli”.

Nie najlepszą sławą cieszył się 17 Pułk Ułanów Wielkopolskich: „Czy to świat, czy to dzień
Siedemnasty zawsze wieje”.

Co zresztą nie okazało się prawdą we wrześniu 1939 roku, bo właśnie ulani 17 Pułku dokonali wypadu na teren Trzeciej Rzeszy, potem walczyli nad Bzurą, koło Głowna i w Kampinosie — wreszcie przegrali się do Warszawy, gdzie brali udział w obronie stolicy, aż do kapitulacji.

Hasła „żurawiejki” nie ma w żadnym dostępnym mi słowniku wyrazów obcych: ani u Kopalińskiego, ani u Tokarskiego, ani w słowniku Arcta z 1927 roku, Cezary Leżański w swojej książce „Zostały tylko ślady podków” pisze, że są one wzięte z tradycji rosyjskiej i autorem żurawiejek był niegdyś sam Michaił Lermontow.

JERZY WILMAŃSKI

TELEFON 36-77-70

W odpowiedzi na przesłaną notatkę dotyczącą krytycznego materiału autorstwa Ryszarda Binkowskiego, opublikowanego w tygodniku „Odgłosy” 13.07.1988 r., a dotyczącą punktu usługowego w Łodzi przy ul. Łagiewnickiej 118 uprzejmie informuję, że przedsiębiorstwo nasze nie posiada pod wyżej wymienionym adresem zakładu usługowego, a zatem krytyka nie dotyczy PHAWM „DOMAR” w Łodzi.

Int. KAROL CZYZEWSKI



Rok założenia 1988

Proponujemy ubezpieczenia dzieci i młodzieży szkolnej na zasadach znacznie korzystniejszych niż proponowane przez PZU.

WYSOKOŚĆ SKŁADEK I ŚWIADCZEŃ DZIECI I MŁODZIEŻY WG TABELI

Rodzaj świadczeń	250 zł	500 zł	750 zł	1.000 zł	1.250 zł
1. W razie śmierci	100.000	200.000	300.000	400.000	500.000
2. W razie 100 proc. inwalidztwa	200.000	400.000	600.000	800.000	1.000.000
3. Koszty leczenia	20.000	40.000	60.000	80.000	100.000
4. Koszty protez i innych środków ochrony	40.000	80.000	100.000	160.000	200.000
5. Koszty przeszkolenia zawodowego inwalidów	40.000	80.000	120.000	160.000	200.000
6. Świadczenia za niezdolność do nauki powyżej 1 m-cia za każdy m-c.	3.000	6.000	9.000	12.000	15.000

25%

TYŁE ZYSKASZ PRZYCHODZĄC DO NAS

Informacje i zawieranie umów u pośredników i w przedstawicielstwie Westy do 15.10.1988 r. Nasz adres:

PRZEDSTAWICIELSTWO „WESTY”,
Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

2583/K



Tylko sprzęt RTV zakupiony
w **Pewexie**
zagwarantuje najwyższą
jakość transmisji olimpijskich
z Seulu

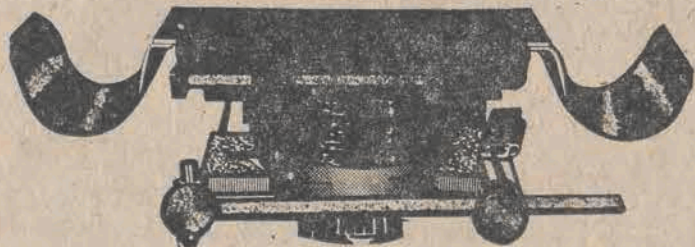
Z A P R A S Z A M Y

do sklepów w:

ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska 143 i ul. Marynarska 4
PIOTRKOWIE, Rynek Trybunalski 7
TRYBUNALSKIM, ul. Mszczonowska 30
SKIERNIEWICACH,

2574/K

UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY,

jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29;

Prace można również nadsyłać pocztą.

OŚRODEK OBLICZENIOWY LZSP
w Łodzi

S P R Z E D A
MASZYNY KSIĘGUJĄCE
typu „Ascota” i „Soentron”.

Szczegółowych informacji udziela kierownik średniej mechanizacji, tel. 33-17-95.

2575/K



2505 K

TWP * TWP * TWP * TWP * TWP * TWP



KURSY JEZYKÓW OBCYCH
TOWARZYSTWA WIEDZY POWSZECHNEJ
w Łodzi, ul. Piotrkowska 68

O R G A N I Z U J E M Y

początkowe, zaawansowane, tradycyjne i laboratoryjne
(w tym również przyspieszone)

kursy języków:

ANGIELSKIEGO, NIEMIECKIEGO, FRANCUSKIEGO,
WŁOSKIEGO, HISPANIEGO, ROSYJSKIEGO,

a także

KONWERSACJE ANGIELSKIEGO,

oraz

kursy przygotowujące
do egzaminów państwowych i na wyższe uczelnie.

ZAPISY DOROSŁYCH: TWP, ul. Piotrkowska 68 (nad „Orbisem”), II p. co-
dziennie (prócz sobót), w godz. 15-19, tel. 33-01-04.

ZAPISY MŁODZIEŻY: w następujących ośrodkach nauczania:

- ul. Bratysławska 6a (DK „KAROLEW”), tel. 87-02-07
- ul. Podhalańska 1 (DK „ROMUS”), tel. 43-66-39, po godz. 13
- ul. Rydzowa 5 (DK „RELAX”), tel. 52-20-82.

PRZYJMUJEMY ZLECENIA od INSTYTUCJI i ZAKŁADÓW PRACY na or-
ganizację kursów na ich terenie (w tym również od DOMÓW KULTURY).

2573/K

Sklepy PEWEX-u zapraszają

WIELKA POSEZONOWA

OBNIŻKA CEN!

Od 12 września ponad 800 atrakcyjnych artykułów



taniej

2571/K

Czy w jednym z pierwszych filmów Andrzeja Konczalowskiego, które zrealizował na Zachodzie — „Uciekającym pociągu” można dopatrzeć się jakichkolwiek cech „rozlewnej rosyjskiej natury”, czegoś, co zabiera się ze sobą na całe życie mimo zmiany szerokości geograficznej, związanego z miejscem urodzenia sposobu patrzenia na świat i ludzi? Odpowiadam pośrednio, nawet nieco wykrętnie, bowiem ten utwór w równym stopniu mi się podoba i nie podoba — wadą „Uciekającego pociągu” jest to, iż jego reżyser pragnął zrobić utwór uniwersalny. To znaczy, „zatrzeć ślady”, uwolnić się od dawnych obciążeń, pozabawić czegoś specyficznego. I dlatego efekt jest taki jaki jest — mamy pozycję, która ma być w zamyśle (i widać dość gorączkowo w tym zakresie starania) amerykańska, ale co rusz wylazi coś poetyckiego, co klóci się z brutalną akcją filmu, a co ma swój rosyjski rodowód. Dlatego ten utwór, choć naprawdę nieźle zrobiony, ma wyraźne pęknięcie. Może zresztą w tym jego nieco „kaleki” widać?

Scenariusz „Uciekającego pociągu” oparty został na pomysły Akira Kurosawy, a w ostatniej scenie reżyser posługuje się cytatem z Szekspira, jakby uniwersalizującym jeszcze bardziej wymowę filmu, który choć dzieje się w konkretnym miejscu — na Alasce — nie odnosi się tylko do jednego miejsca geograficznego. Oczywiście byłoby przesadą stawiać zarzut twórcy, iż nie odwołuje się do tradycji swego kraju rodzinnego i szuka inspiracji całkowicie poza nim. Ale przecież, co pragnę udowodnić w dalszym wywodzie — od siebie, jako owocu konkretnej wyobraźni, wykształconej na specyficznym systemie znaków kulturowych, jeśli się jest twórcą takim jak Konczalowski, uciec się nie da.

W czym rzecz? Oto mamy w „Uciekającym pociągu” schemat fabularny zaczerpnięty z mocnych, męskich filmów o „twardzieliach”, tu wpisany w scenariusz więzienia na Alasce, z którego ucieka ktoś nieprzeciętny, przestępca o wyjątkowej sile charakteru, nadzwyczaj sprawny fizycznie. Jest to zresztą postać tak

Ruchome obrazy.

W którą stronę ucieka ten pociąg?

niezwykła w swoim otwartym dążeniu do doskonałości (oczywiście w uprawianiu działalności przestępczej), nie poddająca się żadnej presji zewnętrznej, otwarcie załatwiająca wszystkie porachunki, iż zaczyna być w pewien sposób mitologizowana przez współczesnych, stanowiąc symbol tego, komu się udaje (widocznym tego znakiem może być fakt trzykrotnej ucieczki z tego specjalnie strzeżonego więzienia). Ale też Manny znajduje godnego — jeśli to można tak rzec — przeciwnika — także strasznego „twardziela”, człowieka pozbawionego wszelkich skrupułów, znającego tylko prawo pięści, który wyznaje zasadę, iż przestępca musi się bać w więzieniu silniejszych od siebie, inaczej nie da się rady go utrzymać za kratkami. To szef służby więziennej. Wygrawszy sprawę w sądzie (protest przeciwko zachowaniu się kierownika więzienia) Manny wie, iż zacznie się ostatni etap pojedynku między nimi. Nie ma innego wyjścia, co zresztą uzmysławia mu specjalnie zastawiona zasadzka. Trzeba uciekać, aby niezależnie od tego, czym się to skończy, udokumentować, iż stać człowieka na osiągnięcie wolności. Nawet na bardzo krótko.

Można by więc powiedzieć, że film „Uciekający pociąg” składa się z dwóch części — pierwsza więzienna prezentuje punkt wyjścia konfliktu, jego główne postacie, a także scenę i warunki, w których zostaje wywołany i ujawnia się z całą siłą. Druga — plenerowa jest dalszym ciągiem tego samego konfliktu, mimo że toczy się w pociągu ograniczającym miejsce i czas, iż jest taka kameralna. Gdy okaże się, iż pociąg pedzi po szynach ze znaczną szybkością (około 150 km na godz.), bez maszynisty, który umiera w czasie jazdy, stanie się dla bohatera i jego młodego towarzysza, który „zabrał się” do ucieczki przypadkowo, czymś w rodzaju zamkniętej klatki. A więc także więzienia, z którego nie ma wyjścia.

Zwróćmy przy tym uwagę, iż sekwencja pierwsza jest jakby zaczerpnięta z amerykańskich filmów więziennych, podobny jest sposób prezentowania bohaterów, atmosfery panującej w zamkniętym kompleksie budynków, taki sam rodzaj ostrego, drażniącego — doprowadzonego niemal do skrajności dialogu. Czuć, że traktowany jest tu gorzej niż złe, świadomie prowadzi się działania upodabające, byle złamać, wycisnąć w zarodek zarzewie buntu, nie dać za dużo myśleć. Wszyscy więźniowie są żądni zemsty, załatwiania porachunków. Ta sekwencja nie ma zresztą w klimacie nic „rosyjskiego”, ale też czuje się jakby odrobina przerysowania, jakby było w niej nieco szarży. Zbyt wiele farby musi użyć Konczalowski, by stworzyć właściwy obraz sytuacji, jakby obawiał się, że będzie odbiegał od normy amerykańskiej.

W sekwencji plenerowej bardziej pozostaje sobą. Mamy tu przede wszystkim wyeksponowany motyw ucieczki, owego dążenia do wolności za wszelką cenę, chronienia się w scenarii przyrody, co tak często spotykamy w twórczości Rosjan. Do relacji między uciekającymi i ścigającymi (bo w niedługim czasie po ucieczce szef więzienia podejmuje działania na śmierć i życie, już w obronie własnej godności), i drugiej — między starym Manny’em i młodym, silnym ale głupim kolegą, dochodzi trzecia, bardzo w klimacie rosyjska a właściwie nic nie wnosząca do filmu. Wywołana jest ona niespodziewanym pojawieniem się pomocnicy maszynisty, która spala, gdy pociąg ruszał i teraz także jak pozostała, ze względu na nieczyste urządzenia, jest skazana na śmierć. Tu, w tych scenach z okutaną po uszy młodą dziewczyną Konczalowski nagle staje się „liryczny”. Kiedy Manny podejmuje trud rozłączenia pędzących wagonów, by uratować życie dwójce młodych a skończyć ze sobą jednocześnie uśmierciwszy wroga (z którym stoczył pierwszy etap zwycięskiego pojedynku), uznajemy to za dość mało wiarygodne. Jak to, ten „twardziel” daje wyraz wzruszeniom, jakimkolwiek emocjom? Ale przecież także zakończenie — całkowicie poetyckie, nierealistyczne, wsparte na dokładnym cytatem z Szekspira odchodzi od przyjątej konwencji „męskiego kina”. Okazuje się, że Rosjanin Konczalowski nie wytrzymał, musiał dać upust wzruszeniom, zostawić miejsce na poezję.

A więc odejść od siebie nie można. A przynajmniej nigdy do końca.

Jakie będą jego następne filmy?

MALGORZATA KARBOWIAK

NR 38 (1590), 17 WRZEŚNIA 1988 R.

1 Pod prąd Władza w procentach

Władza wpływa na człowieka podobnie jak alkohol: najpierw wprowadza w dobry nastrój, „rozjaśnia umysł”, ośmiela, dodaje pewności siebie, potem — tłumi kompleksy i samokrytycyzm, wreszcie — coraz bardziej ogranicza pole widzenia, wzmacnia upór, oślepia i usypia. W niektórych przypadkach — także wywołuje urojenia. Prawie każdy, kto zakosztował władzy, pragnie jej ponad wszystko, jak pijak pragnie jeszcze jednego kieliszka wódki. Nie zna przy tym miary i tak długo będzie pił, póki w butelce nie pokaże się dno, a wtedy — albo popada w apatię i płacze nad swym garbatym losem, który tak srodze go doświadcza, albo też staje się arogancki, agresywny i broni swego picia aż całkiem nie opadnie z sił.

Rzadko który alkoholik potrafi przyznać się, że jest alkoholikiem, tak jak dzierżymord nie powie raczej głośno, iż jest dzierżymordą. Przeciwnie, sięgając po kolejną szklankę, wytykając będzie innym, że chłaja jak świnię i nie ma u nich żadnej kultury picia, na co znajdzie tysiąc przekonywujących — jego zdaniem — dowodów. Charakterystycznym objawem jest również nieustanne szukanie okazji do wypitki — początkowo w towarzystwie, potem — coraz częściej w samotności i „do lustra”, a także nieślabnąca chęć zdobycia alkoholu nawet wówczas, gdy sklepy są już zamknięte i — za wszelką cenę.

Oczywiście nie każdy używający alkoholu musi stać się alkoholikiem. Dotyka to tylko pewnej części pijących, wcale jednak nie tak małej, co widać choćby na imieninach u cioci, gdzie za jej szczęście i zdrowie wychylają zgodnie wszyscy, a zaledwie jeden czy dwoje kończy biesiadę pod stołem. Widok jest jednak na tyle żalony, że pozostali biesiadnicy spoglądają na takiego delikwenta z wyraźną dezaprobatą i zazwyczaj nie mają ochoty zasiąść z takim już więcej przy wspólnym stole, chociaż bywa też, iż ktoś odezwie się, że bez Staśka czy Franka nic nie może się udać, gdyż jest on po prostu niezaprzeczalny.

W Polsce alkoholizm jest plagą, pije się dużo i tego, a wieloletnia walka z nim, mimo wspaniałego wprost prawa w tej dziedzinie, przynosiła mizerne jak na razie rezultaty. Nie skuteczne też na ogół bywa leczenie — tak dobrowolne, jak przymusowe — jako, że kto raz wszedł w środowisko pijaków, nie potrafi szybko się z niego wyzwolić, a i ono broni go, by nie stracił oddanego i gotowego na wszystko kompana, który zna już dobre metody i sekrety.

W Polsce władzę zdobyć można — jak alkohol — bez większego trudu. Także przed trzynastą. Nie potrzeba do tego ani dużych pieniędzy, ani wiedzy rozległej, zdolności, talentu krasomówczego, ani nawet uznania i popularności wśród wyższych czy szerszych kręgów społeczeństwa. Wystarczy zwykła przemożna chęć sprawowania władzy, trochę sprytu i znajomości, czasem — szczęścia. Bardzo różne są bowiem kryteria, jakie decydują o zdobyciu władzy. A ponieważ w Polsce zaczyna się już na poziomie kierownika sklepu, który arbitralnie decyduje, ile komu sprzedać kostek margaryny, urzędniczkę w urzędzie obsługującą patentów z głębokim poczuciem wyższości nad nimi, tudzież milicjanta / stopnia starszego szeregowca, dla którego wyrzucenie kupu śmieci w parku bywa alchemią. W porównaniu z wyrzuceniem jednej uleki na ulicę, sięgnąć po nią może praktycznie każdy. Nienaganny przebieg dotychczasowej pracy zawodowej, uprzejmość, uczynność i odpowiedzialność nie są przy tym co-

chami, które miałyby większe znaczenie.

Jak wynika z naukowych analiz oraz codziennych obserwacji laika, jakąś władzą dysponuje u nas co najmniej kilka milionów obywateli. Samych stanowisk kierowniczych mamy bodajże około miliona, co stawia nas zdecydowanie w światowej czołówce — w porównaniu z ogólną liczbą ludności w kraju. I to też, podobnie jak alkoholizm, zasługuje na miano patologii, gdyż nadmiar władzy nikomu jeszcze nie wyszedł na dobre.

Osobliwością jest również i to, że z możliwości, jakie daje władza, korzysta się u nas przy byle okazji w myśl zasady: „co masz zjeść jutro, zjedz dzisiaj; co masz zrobić dzisiaj, zrób jutro”, a odnosi się to szczególnie do niższych i najniższych szczebli, stonowiących mniej więcej dziesięćdziesiąt procent całości. Na tych też właśnie szczeblach władza najmocniej uderza do głowy i wbrew pozorom jest najsilniejsza, czego przykre skutki odczuwamy wszyscy. A komu już raz uderzy, ten barć o niechęć nie godzi się na jej ograniczenie — nane stylu —

czy stosunku do ludzi i czyni absolutnie wszystko, aby nie mając szans na pieniądze, zachować przynajmniej władzę. Tak samo jak alkoholik, który pije z powodu swego ubóstwa i braku perspektyw na lepsze życie, choć gdy go zapytać, odpowie pewno, że wódka wcale mu nie smakuje i najchętniej rzuciłby to picie w cholerę. Władza bowiem jest u nas oficjalnie bardzo nisko wynagradzana i legalnie dorobić się na niej raczej nie sposób.

Podobno jednym z lepszych sposobów walki z alkoholizmem jest większa podaż napojów niskalkoholowych, sprzedaż ich w mniejszych opakowaniach oraz ograniczanie dostępności.

Podobno...

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem Historia magistra vitae

Do niedawna mówiło się naiwnie, że przeszłość nie można zmienić. Była taka, jaką była i nie się na to nie poradzi. No dobrze, ale jaka ona właściwie była?

Prasa i telewizja radziecka ogłosiły światu, że w roku bieżącym w Związku Radzieckim nie będą się odbywać (tj. znaczy dziś trzeba by już powiedzieć nie odbyły się) w żadnej szkole średniej, ani na uczelniach wyższych, egzaminy z historii. Nie odbyły się dlatego, że istniejące podręczniki uznano za sfałszowane. Wszystko, co napisano przez siedemdziesiąt lat istnienia Związku Radzieckiego na temat historii najnowszej trzeba uznać za niebyłe.

Nie wyobrażam sobie co będzie się dziać dalej, przecież w tej chwili w umysłach paruset milionów mieszkańców tego świata istnieje wielka luka historyczna, wielka tabula rasa, która zapełni, jak wiele będzie potrzebował na to czasu?

Świadomość, że cała wiedza o przeszłości, zwłaszcza najnowszej, może być i była preprowana, obojętności ludzi rozmawianych w śledzeniu historycznych tropów.

Kilka lat temu ogłosił w „Polityce” swe wspomnienia Henryk Korotyński, były wie-

loetni redaktor „Życia Warszawy”, potomek kilkupokoleniowego rodu dziennikarskiego w stolicy. Wspomina o tym jak to zdarzało się, że posel co innego mówił w Sejmie, a co innego potem wносił do protokołu. Albo więc sam przestraszył się własnych słów, albo też został odpowiednio zmonitowany w imieracji nadzrzednych, to znaczy nie wiadomo czyich, skoro Sejm jest w państwie najwyższym organem stanowiącym. Wynikałoby więc, że i stenogramy sejmowe nie są dosłownym zapisem tego, co działo się na sali, czyli nie są wiarygodnym dokumentem historycznym.

Amerykanie zamknęli całe, ogromne podobno, archiwa akt dotyczących zbrodni wojennych Trzeciej Rzeszy. Wielki kawał prawdy został usunięty sprzed oczu ludzkich. Wszystko to w sumie jest zjawiskiem niewątpliwie tragicznym. Jednocześnie jednak jakaś to niezwykła satysfakcja tak się przebiega przez góry przemilczeń, zakłamań i fałszowań, szukać w tym wszystkim maleńkiego ziarenka prawdy, jak kwiatu paproci, w wielkiej dżungli chwastów. Ta satysfakcja to jedyny impuls działania wszystkich rzetelnych badaczy, szperaczy i przyzwyczajonych, którym dedykuję ten felieton z „yczeniem, aby nie ubadali na duchu i nie zaniedbywali swej mozołnej, detektywistycznej krzątania.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport Protesty i zdziwienia

W dawnych czasach królowie i książęta ogłaszali swoje decyzje: „My, miłośnicy wam panujący...”. Dziś zdarza się, że poszczególne osoby usiłują występować w imieniu innych, nie zawsze mając do tego prawo. I też jest śmiesznie. Takie coś zdarzyło się Tadeuszowi Tatarowi z Tych, który napisał list do redakcji „Tempa” w Katowicach. Redakcja list ten wydrukowała i tak mogłam się dowiedzieć, że Tadeusz Tatar utożsamia się z kibicami aż dwu województw jednocześnie. Tadeusz Tatar z Tych napisał bowiem: „my, kibice z terenu woj. katowickiego i bielsko-bialskiego doznaliśmy szoku!”. A dlaczego doznali oni szoku?

Tadeusz Tatar z Tych, „jako kibice z województw katowickiego i bielsko-bialskiego, doznał — czy doznali — szoku na wieść o mającym nastąpić wyjeździe Dariusza Dziekanowskiego do Eintrachtu Frankfurt. Zdaniem korespondenta „Tempa” Dziekanowski nie pokazał jeszcze, co umie, a już wyjeżdża. W związku z tym Tadeusz Tatar z Tych pisze: „Żadamy podjęcia męskiej decyzji, która zapobiegłaby zachwianiu prestiżu polskiego piłkarstwa”. Żądanie to mogę skomentować — my Bogda Madej — jako kibice z Łodzi i okolic, że się wcale tym nie martwimy, bo nie nie może zachwiać prestiż polskiego piłkarstwa, który to prestiż jest już i tak bardzo zachwiany. Poza tym pozdrawiamy ki-

biców z województw katowickiego, bielsko-bialskiego i ekologicznego. Trzymajcie się!

Jedni protestują, że ktoś wyjeżdża, inni, że nie wyjeżdża. I do tego drugiego protestu byłabym się przychyliła. Chodzi tu o wyjazd dr Michała Firsowicza. Od lat opiekuje się on ciężarowcami, zna ich wszystkich, pracuje z nimi, radzi, leczy i pomaga. Każdy, kto umie myśleć logicznie, pomyślałby, że dla dobra tej grupy zawodników, do Seulu powinien pojechać właśnie dr Michał Firsowicz. Pomyślałby, że to rzecz naturalna, oczywista, że dr Michał Firsowicz może pakować walizki i starać się o paszport. I byłby się pomylił. Seulu dr Michał Firsowicz nie zobaczy, gdyż jedzie tam ktoś inny, kto żadnego z ciężarowców dotąd nie widział, ani oni jego. Widać ktoś powinien był pojechać i pojechać, a ktoś inny nie pojechać, chociaż powinien.

Wyobrażam to sobie tak. Odpowiedni urzędnik, w odpowiednim rozdziale, w rubryce — lekarze — ma na przykład liczbę 15. Na karcie ma też wykaz nazwisk lekarzy, którzy pojechać powinni, bo to znamy i krewni ludzi ustosunkowanych. Więc rozdziela z tej listy nazwiska przypisując je do poszczególnych ekip. Później się okazuje, że lekarze, którzy opiekowali się zawodnikami już się nie mieszczą. Zatem — rzecz prosta — nie pojedą. W końcu czym się różni jeden lekarz od drugiego? Każdy kończy medycynę i ma dyplom. 15 równa się 15. Wszystko w porządku. Może się myle, może było inaczej, ale faktem jest, że dr Michał Firsowicz nie zmieścił się, a zawodnicy i trenerzy protestują. I mają rację.

Protestuje również krakowskie „Tempo”, którego zdaniem w zespole polskich lekkoatletów powinien znaleźć się Bogusław Mamiński, a nie znalazł się. Nie osiągnął minimum, jakie mu wyznaczono. „Tempo” słusznie zauważa, że nasi lekkoatleci, a również inni sportowcy, nie wystąpili na olimpiadzie w Los Angeles nie ze swojej winy, że mają nie 4 lata przerwy między olimpiadami, a lat 8, więc coś to również powinno znaczyć. I dlatego Bogusław Mamiński powinien pojechać do Seulu, bo i zresztą wyniki ma nie takie złe. „Tempo” nawet sugerowało, aby PZLA zmieniła zdanie w sprawie Bogusława Mamińskiego, ale jak będzie tego rezultat nie mogę przewidzieć, bo piszę przed 8 września, a do tego czasu może jeszcze, choć nie musi, nastąpić zmiana w składzie olimpijskiej ekipy.

Nie pojedzie do Seulu również Jacek Wszola, bo też nie osiągnął minimum. Miał skoczyć 2,32 m, a skoczył 2,28. Zabrakło 4 cm. I — po wyjeździe. Jacek Wszola wprowadzie tłumaczy się, że na pytanie skierowane do prezesa PZLA Mieczysława Kolejwy, ile powinien skoczyć, usłyszał odpowiedź: „Musiał pan skoczyć wysoko”, ale fakty to nie zmienia. Widać „wysoko” dla Jacka Wszoly znaczy co innego i dla prezesa — co innego. Być może Jacek Wszola nie był zbyt wytrwały i nie wymusił dokładniejszej odpowiedzi. Ktoś chyba w PZLA wie, jak wysoko jest „wysoko”.

Te protesty i zdziwienia są różnej wartości, ale w sumie dla kibiców sportu z całej Polski nie znaczą tyle, ile znacząły niegdyś, gdy sport polski stał na wyższym poziomie. Na medale raczej nie liczę, jeśli coś wpadnie przez przypadek, to i tak to nie zmienia poziomu i statusu polskiego sportu. Ale będzie przyjemnie. I tyle.

BOGDA MADEJ

P.S.

Już po napisaniu felietonu dowiedziałam się, że Bogusław Mamiński pojedzie jednak do Seulu. I ślusnie!

B. M.

ODGŁOSY 15

— Umrzesz! — krzyknęła.
Ale on nie już nie słyszał, poza szumem własnej krwi w uszach. Zerwał z niej futro, obnażył jej ciało, popatrzył na jej śladu duże piersi i czarny trójkąt na ionic i padł na nią, przynajmniej ją ciężarem swego ciała. Ona wyrwała się mu, gryzła go w rękę, ale przecież mimo młodego wieku był mężczyzną i miał siłę większą od kobiety. Dwa razy ciężką rękawicą uderzył ją w twarz aż utraciła przytomność, potem wyjął na wierzch sterczącego członka i wszedł nim między jej nogi. Oprzytomniała, lecz już nie broniła się, gwałt zdawał się jej sprawić przyjemność. Wreszcie strzyknął w nią nasieniem, odczłapał głęboko i uwolnił jej nagie ciało od siebie.

Napotkał oczy Zylfiki nieruchome, zimne i wrogie. Splunął pogardliwie chowając prącie do rozporoka.

— Nie dajesz, pani, większej przyjemności niż dworska dziewczka. Rozkosz z tobą niewarta jest ani śmierci, ani niewoli.

Zadygotała jak gdyby ją spoliczkował, zaś Olt Powala, jak po walce z Estami, poczuł się znowu prawdziwym mężczyzną.

— Nie gniewaj się na mnie, pani. Kiedyś sama zachęcałaś mnie, abym zażył z tobą rozkosz.

Milczała. A on pragnąc odpłacić się jej za strach, który w nim dawniej budził, mówił: — Nie gniewaj się, pani, bo nikomu nie powiem, co się tu stało oraz o tym, że rozkosz z tobą niewarta jest śmierci lub niewoli. Nie próbuj też zranić mnie nożem. Za jeden twój nieostrożny ruch każę obciąć ci piersi, a przecież może z mojego nasienia zrodzi się dziecko, które będziesz musiała wykaranić.

To mówiąc opuścił namiot i zaczął sprawdzać czy wyszła odzież Zylfiki. Nie rozmawiał z nią już więcej, ani się do niej nie zbliżył. Przed wieczorem odjechała lewym brzegiem na czele swoich dziesięciu Sauro-matów, kierując się w górę rzeki w poszukiwaniu najdogodniejszego miejsca do przeprawy.

Opowiada się, że w połowie miesiąca zwanego Tyczen lub Sieczeń w grodzie Łęczycy pojawiły się wojska Olta Powala, prowadząc uwabionych z niewoli wielu mieszkańców tej urodzajnej ziemi oraz dwustu Estów. Osiedlono ich w zniszczonej najazdem krainie, część jednak wziętych do niewoli odesłał Piastun do Gniazda i okolic, obdarowując nimi swoich Lestków. Podobno odesłano też trzy sante pełne złota, które Piastun zabrał ze skarbcza Łęczycy Białego. Całą Ziemię Łęczycą nadał Oltowi Powale i ożenił go z najmłodszą córką starego Łęczycy, aby okoliczna ludność widziała w Oltie Powale i jego dzieciach swoich prawowitych władców. Ze starszej zaś córki uczynił Piastun swoją nałożnicę, potem zaś wydał za mąż za jednego z ocalałych przy życiu młodych Łabędzów, których wychował na prawowitych Lestków.

Z niecierpliwością, trawiając czas na ucztach, oczekiwał Piastun nadejścia tarczowników, których mu obiecał Awdańec.

Tymczasem, zamiast piechoty Awdańca przysłał Herim wieść, że na świętej górze Słęża znowu zebrał się wodzowie kilku plemion Słężan i radzili, czy nie uderzyć na kraj Polan, który dziwnie szybko urósł w potęgę i po zniszczeniu Kalisii trzymał w swym ręku cały handel idący z Wrocławia na północ. Podobno razem ze Słężanami zjawiał się przeciw Piastunowi także i Lestek Czesław, któremu nadano gród Czesztram oraz ziemie aż po rzekę Baryczę, a to dlatego, że pokłócił się z Awdańcami o jakieś rzekomo porwane przez nich stado koni i teraz szukał u Słężan pomsty na Awdańcach. Poprosił więc Awdańce poprzez Herima, aby Piastun pozwolił im ukarać zdradzieckiego Czesława i najechać jego warownie w Czesztramiu. Póki co jednak, jak twierdził Awdańec, nie mogą przybyć z pomocą Piastunowi, gdyż nie są w stanie przewidzieć, czy Słężanie nie uchwala wojny z Polanami, a wtedy ich wojska będą potrzebne do obrony granicy państwa.

— Czy wierzysz, panie, w zdradę Czesława? — zapytał Piastuna Spicimir. — A jeśli Awdańce kłamią, gdyż chcą poosiąść warownie Czesztram i podjudzać nas przeciw Czesławowi? Bo to jedno tylko wydaje mi się prawdą, że Awdańce pragną ziemi aż po Baryczę. Czesław zawdzięcza ci

zbyt wiele, aby znowa się ze Słężanami przeciw tobie.

Odpowiedział mu Piastun:

— Czy nie mówiłem ci wiele razy, Spicimirze, że kto buduje na ludzkiej wściekłości, ten buduje na błocie? Masz rację jednak, gdy twierdzisz, że Awdańce chcą grodu Czesztram i ziemie aż po rzekę Baryczę. I jest zapewne prawdą, że najechną ziemię Czesława i zabrali mu stado koni. Zapewne prawdą jest, że myśli on o zemście na Awdańcach. Jeśli jednak szuka pomocy nie u mnie, ale u Słężan, zawiśnie na szubienicy. Zostawmy więc sprawy swojemu biegowi. Gdy ukończymy wojnę, dokładnie dowiemy się jak się mają rzeczy z Czesławem, a do tego czasu rozkażę Herimowi, aby Awdańce zostawili Czesława w spokoju. To jednak wydaje mi się pewne, że Awdańce więcej myślą o ziemiach aż po Baryczę niż o tym, aby ze swymi wojskami pośpieszyć mi z pomocą. Nie wiedzą, że im bardziej ktoś czegoś pragnie, tym

ze swego wywyższenia i pocłował w czoło, kłęczącego przed nim Olta.

— Tak, synu. I przeciw Mazowii — potwierdził.

W Plocku nakarmiono obficie armię Piastuna. Zaledowano żywnością sante, konie dostały obfity obrok na dalszą drogę do grodu Włocławia. Zylfika — cała w purpurze — ze złotym diademem na piersi i w złotej opasce na włosach — czekała na Piastuna siedząc na tronie w sali przyjęć, otoczona przez swoich sauro-mackich wojowników. Nie było obok niej drugiego tronu dla Piastuna i wydawać by się mogło, że to nie swego władcę przyjmuje, ale jakiegoś gościa. Zrozumiał to Piastun, gdy tylko stanął w drzwiach do paradyjnej komnaty i pojechł towarzyszący mu Lestkowie, których było zaledwie pięciu.

Cofnął się Piastun do sieni i powiedział tak głośno, że musieli to słyszeć wszyscy towa-

Przemilczała tę znieprawę, pokornie zniżając głowę. A on mówił dalej:

— Idę mordować, grabić, palić i niszczyć. Tam, gdzie stąpnę, nawet trawa długo nie wyrośnie. Wezmę więc, pani, trochę twego wojska, a może i ty ruszysz ze mną do boju?

— Daleko idziesz, panie?

— Za siedem rzek.

— Estowie grożą pomstą. Muszę mieć wojsko gotowe do walki i nie uszczupić swoich sił. Jestem też w ciąży i nie wolno mi odbywać drogi za siedem rzek.

— Czy nareszcie urodzisz olbrzymia? Czy wiesz, że wedle naszych praw wciąż jesteś moją żoną i mógłbym cię skazać za cudzołóstwo?

Odpowiedziała dumnie:

— A czy ty pamiętasz, panie, że masz pierworodnego syna imieniem Kir?

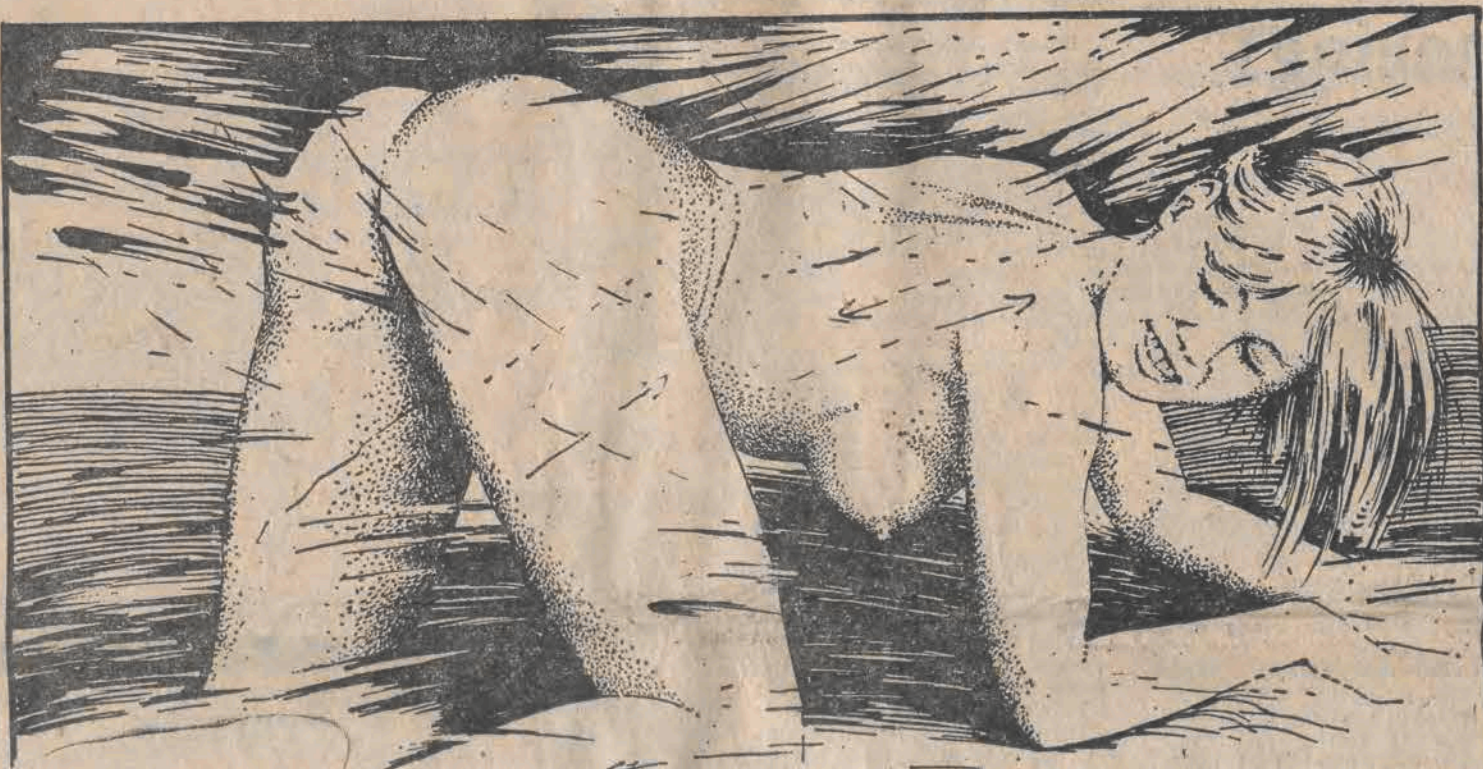
— Nikomu jeszcze nie dałem imienia jako swemu synowi. Wiele synów i córek ma każdy władca, ale ten tylko jest prawdziwym, któremu on nada imię.

Z zadowoleniem obejrzał Piastun rozbudowujący się wciąż drewniany gród otoczony wałami z potrójną palisadą, wysokie drewniane wieże bramne, kupieckie podgrodzie i zamaryznięty o tej porze roku port rzeczny z dziesiątkami statków i łodzi wyciągniętych na brzeg. W grodzie czekał na niego Nor z siedemdziesięcioma konnymi wojownikami. Było wśród nich kilku Normanów służących dawniej w Gnieźnie. Teraz uważali się za Lestków i nosili białe płaszcze oraz hełmy z kościami ogonami. Zabawna wydawała się innym ich mowa, tak na przykład, zamiast „Lestkowie” mówili o sobie „Lechici”. Z czasem przekonał się Piastun jak zaraził się bywając takie określenia, albowiem wkrótce ludzie prości nazywali wojowników w białych płaszczech — Lechitami, zapominając, że słowo to wzięło się od „Lestk” co znaczy — sprytny, przebiegły. I takie jest moje zdanie, że od piastunowego ludu Polan wzięli swoją nazwę.

(19)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

mniejsza jest nadzieja, aby to otrzymał od władcy.

Tak orzekł Piastun, gdyż był niemal pewien, że Słężanie, którzy od dawna rozpadli się na małe opola, nigdy nie zdołają mu naprawdę zagrozić. O wiele poważniejszą wydała mu się natomiast wieść inna. Oto przybiegli od Pałuki goniec z wiadomością, że Pomorcy uderzyli zdradziecko na Nakło, spalili je i przeszli rzekę Noteć, gromiąc wojska Pałuki oraz zamykając je w Złynie.

Zarządził więc Piastun wymarsz swej armii złożonej z czterystu Lestków, kazał dla nich zabrać pięćdziesiąt wozów z żywnością i zdecydował się wyruszyć bezzwłocznie — lecz dokąd, tego nikt nie wiedział. Myślano, że pojedzie na pomoc Pałuce, ale ku zdumieniu wszystkich skierował się na Góluu zbudowany przez jego Normanów. Droga do Góluu najkrótsza była przez gród Włocławia nad Vistulą, Piastun jednak udał się najpierw do Plocka na Mazowii.

Zanim się to jednak stało, na pożegnanie wezwał do siebie Olta Powale, jeszcze raz wziął go w swoje piastowanie i pozwolił, aby mu Olt włożył diadem w jego dłoń.

— Zostawiam ci urodzajną ziemię — powiedział do Olta. — Masz stu Lestków, którym nadasz wioski i będziesz ich wyróżniał, ponieważ to oni są ostoją naszego państwa. Podniesiesz wały grodu Łęczycy tak wysoko jak tylko można i będziesz pilnował granic z Ludźmi Skrzydlatymi. Nie sądzę, aby odważyli się na ciebie uderzyć, ponieważ są słabi, a do ich władcy, komesa Sieradza, wysłałem posłów i dary, zapewnając go o swoich pokojowych zamiarach oraz obiecując zapłacić za ich zboże, które sprzedali Jaszczółtowi w Witlandii. Zbroj swoje wojska i pomóż mi, umacniając gród Łęczycy przeciw Ludźmi Skrzydlatym.

— I przeciw Mazowii, panie — dodał Olt.

Wtedy Piastun podniósł się

rzyszający Zylfice Sauro-maci oraz ona sama.

— Gdzie my jesteśmy? Na dworze królowej Ajtwar czy też u mojego wasala? Czyż nie wzięłem w piastowanie całej Mazowii?

Zylfika tylko na krótką chwilę okazała wahanie. Nagle podniosła się z tronu, zeszła po trzech stopniach podwyższenia i oświadczyła:

— Oto zbliża się mój małżonek, Piastun. Niechaj wejdzie w pokój, a ja mu się skłonię jako mężowi.

Wszedł Piastun do sali paradyjnej i po hunskim dywanie skierował się do złotego tronu. Idąc udawał, że nikogo nie dostrzega, nawet Zylfiki. Zasiadł na tronie i wtedy dopiero skłonił głowę w jej kierunku. Wówczas ona przyklękła na jedno kolano i podała mu swoje dionie, a on je wziął w swoje dionie, a następnie nakrył jej głowę połą swego wyartego białego płaszcza.

Następnie przyniesiono złoty obel dla Zylfiki, która usiadła obok Piastuna na podwyższeniu.

— Rada cię widzę, mój panie i mężu — oświadczyła. — Wiele przeżyłam z tego od Estów, którzy zniszczyli jeden z moich grodów. Nie odniosłam jednak żadnych korzyści z twego zwycięstwa nad Dywiną.

— Bo to moje wojska pokonały Estów — odrzekł Piastun. — Nośisz, pani, męskie szaty, należasz więc stawać do walki jak mężczyzna. Władasz Mazowią, ale wojska masz albo za mało albo jest niesprawne w walce.

Wiele też żon może mieć władca, lecz ta zasługuje na szacunek, która urodzi olbrzymia. — Wciąż jeszcze, panie, wierzysz w istnienie olbrzymów? Czy nie mówiłam ci kiedyś, że oni żyją jedynie w starych pieśniach.

Podniósł się Piastun ze swego tronu i tak przemówił do zebranych Lestków i Sauro-matów:

— Pochodzę z rodu Spalów Olbrzymów. Zdobylem Kruszwic, Gniazdo, Poznań i dziesiątki innych grodów. Spaliłem Kalisję i posiadam ziemię Łęczycy. Pokonałem Estów, wypienilem możnych i komesów. Jedną nogą oparłem się o brzeg morza, a drugą wsparłem na rzece Baryczy. Zbudowałem państwo tak potężne jakiego tu jeszcze nie było. Powiedźcie: czy zwykły człowiek może coś takiego potrafić? Zaiscie, musi we mnie płynąć krew olbrzymów.

Cisza się zrobiła po tych słowach, a Dago Pan i Piastun znowu usiadł na swoim tronie. — To ja, panie, zdobyłam dla ciebie Mazowię — odezwała się Zylfika.

— Szkoda, że jej obronił nie potrafił — odparł pogardliwie. — Następnie zaprosiła go Zylfika na ucztę, na której — jak się opowiada — on nie wziął do ust ani kęsa mięsa, nie wypił ani łyka piwa lub miodu. Wczesnym rankiem podałono mu osłodzonego Winda, a on mimo starczego mrozu wyruszył na czele czterystu Lestków na lewy brzeg Vistuli, a potem tym lewym brzegiem dotarł do Włocławia.

Polacy, a od Lestków powstała nazwa Lechitów lub Lachów, jak kto woli.

Do Włocławia przybył Herim. Trochę przyszył, wytyślała mu czaszka nad czołem. Nosił się strojnie i dużo pił jak gdyby gnębiony jakąś wielką troską.

Podczas pijaństwa z Dagomem i Spicimirem, wyznał im Herim, że rządy Gedanii stają się coraz bardziej surowe. Za najmniejszą kradzież każe ucinac prawą dłoń, za gwałt — kastruje lub wieszka. Rozesłała też posłańców do wszystkich wiejskich grodziczków, aby podobne prawa wprowadzili u siebie, ale mało kto się do tego zastosował.

— Lud nienawidzi Gedanii i tęskni za tobą, panie — oświadczył w końcu Herim. — Jeśli nie powrócisz szybko, będziesz rządził krajem ludzi kalekich.

Alle to słowa Herima, zamiast Piastuna zmartwił, jak gdyby dały mu jakąś wewnętrzną radość.

— Co myślisz o tym Spicimirze? — zapytał.

— Myślę to, co i ty, panie. Nie jest źle, gdy lud kogoś nienawidzi.

— A bywa jeszcze lepiej, kiedy tęskni za swoim władcą — dodał Piastun. — Uczy „Księga Grzmotów i Błyskawic” w rozdziale o sztuce rządzenia ludźmi, że władca albo władczyń powinni być łagodni, aby lud myślał, że przez któregoś z nich zdoła zmienić surowość obyczajów władcy. Ktoś musi się wydawać dobrym a ktoś zły, aby lud miał nadzieję. Kiedy nie ma nadziei, chwytają za oręż. Teraz wiem, że im dłużej nie będzie mnie w Gnieźnie, tym więcej będę kochany.

— Lud śpiewa pieśni o pięknej i dobrej Zylfice — wrócił Herim. — Wielu, którym grozi kara od Gedanii, myśli, aby uciec na Mazowię.

Uśmiech zniknął z twarzy Dagona. Rzekł twardo: — Gedania musi i urodzić

olbrzymia, a to znaczy, że umrze.

— A jeśli tak się nie stanie? — zapytał Herim.

Piastun zgłowił w dłoni srebrny kubek do miodu.

— To będzie znaczyło, że cudzołóżyła.

— Ona? — zdumiał się Herim.

Piastun zawiesił swój chmurny wzrok na Spicimirze, a ten rzekł:

— Każdą kobietę można oskarżyć o cudzołóstwo. I zawsze znajdują się świadkowie. Im surowiej przestrzega obyczajów, tym surowsza spotyka ją kara, budząc radość ludu.

Od tej chwili przez dłuższy czas nie padło między nimi ani jedno słowo. W milczeniu napemiali kubki i przypili do siebie. Wreszcie trochę ochrypłym głosem Dagon zapytał Herima:

— Ile bitew przegrał Pałuka, zanim zamknął się w Złynie?

— Trzy, panie. Nawet Szubin poddał.

— Niech więc się broni w Złynie, na mnie jednak nie licz — gniewnie ściągnął brwi Dago. — Nie jestem od tego, aby wspierać nieudolnych, ale budować wielkie państwo.

Nazajutrz odesłał Herima do Gniazda wręczając mu bogate podarunki dla Gedanii. Nie przekazał Herimowi żadnego posłania, aby złagodziła surowo obyczaje. Dokąd i kiedy zamierzał wyruszyć ze swoją armią — nikomu słowa nie wyrzekł.

W dniach zimowego przesilenia słońca cztery duże szczepy Pomorców zebrały się na wielkim wiecu w magicznych kręgach kamiennych nad Czarną Wodą. Kręgi te — ogromne podługowate głazy wkopane w ziemię na sztorc i tworzące wielkie kołiska — przed wiekami zbudowali Goci, którzy tu przybyli aż z Morza Ostyjskiego. W owych kręgach kamiennych odbywali swoje sądy i wiece czyli „thingi”, obok chowali nie spalone ciała zmarłych, pokrywając je brukiem kamiennym lub syjąc ziemne kurhany z dużym głazem zwany „stella”. Goci dobrze współżyli z pomorskimi Sklawinami, zajmując zresztą najbardziej nieurodzajne skrawki ich ziemi, przeważnie wrzosowiska i pustkowia przypominające im surową północ. Wiele słów sklawińskich przeniknęło wtedy do języka Gotów, podobnie jak wiele słów gockich przeszła do mowy Sklawinów, jak choćby „mekus” czyli miecz. Aż pewnego razu długo naradzali się Goci w owych kręgach kamiennych, potem zaś wszyscy wywędrowali na południowy-zachód, pozostawiając pomorskim Sklawinom owe kręgi magiczne i wiele swoich obyczajów, jak właśnie ten — odbywania „thingów”.

Władca Tucholan imieniem Barnim (od pomorskiego słowa „barnić”, to znaczy bronić) — pragnął walki z Polanami, którzy pod władzą jakowegoś Piastuna dopiero co scalili swoje państwo i ośmielili się na prawym brzegu rzeki Noteć, w miejscu zwanym Nakło, zbudować drewniany gród i sypały wały obronne. Noteć bowiem uznawał Barnim za odwieczną granicę między Pomorcami i Goplanami, którzy teraz przyjęli nazwę ludu Polan. Naruszone granice i Barnim chciał wojny. Dlatego posłał wici do szczepu Widyżów, do Charzyków, a także Gwów, gdyż samotnie nie śmiał uderzać na Polan, słyszał bowiem o sile Piastuna, o jego okrucieństwie, o rzekach pełnych trupów ludzi pomordowanych przez niego z powodu nieposłuszeństwa. Lecz także dowiedział się o wielkich bogactwach Piastuna, które on zdobył pałac starożytną Kalisję — podobno złoto i srebro było u niego tak tanie jak słoma. Tucholan zaś omijały szlaki karawan kupieckich, którzy woleli udawać się na północ do Sambów i Kurów przez kraj Polan albo wzdłuż brzegu morza, gdzie wladali Kaszebe, lud liczny i potężny. Wkrótce jak obuchem w głowę zostali uderzeni Pomorcy wieścią, że Piastun zawiadnął ujściem Vistuli, ową sławną Witlandią i ożenił się z księżniczką Gedania. Odłatał Witlandia zarządził w imieniu Piastuna niejaki Jaszczółt, który upodobał sobie córkę potężnego wodza Kaszebe, Bolebuta, wziął ją za żonę, obdarowując sówicę swego testcia. Tak więc owa Witlandia wspierała się nie tylko o siłę Piastuna, ale pozostając w przyjaźni z ludem Kaszebe, mogła w każdej chwili liczyć na ich siłę zbrojną.

C.D.N